tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 12 (1315)
17-23.03.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Bohdan Piętka
Krwawe zaślubiny z Bałtykiem

Jan Grabowski
Co naprawdę wydarzyło się w Markowej

Joanna Sarapata
Masz talent, zajdziesz daleko

Jacek Pałkiewicz
Na tropie dinozaurów

Watykanista Marco Politi

CZY FRANCISZEK ZMIENIŁ KOŚCIÓŁ

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
12 >
9 771509 311508

eprasa.pl 8b496024aa

74 Internationale Filmfestspiele Berlin
Nagroda czytelników Berliner Morgenpost

Srebrny Niedźwiedź
74 Internationale Filmfestspiele Berlin
Najlepszy scenariusz

74 Internationale Filmfestspiele Berlin
Nagroda Gildii filmowej

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY JEROZOLIMA KONKURS GŁÓWNY

GERMAN FILM AWARDS ZŁOTA NAGRODA NAJLEPSZY FILM

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY SYDNEY KONKURS GŁÓWNY

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY STAMBUŁ

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY KARŁOWE WARY

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY TRANSYLWANIA

SYMFONIA O UMIERANIU

REŻYSERIA
MATTHIAS GLASNER

TA HISTORIA JEST JAK RODZINNA SESJA TERAPEUTYCZNA

W KINACH OD 21 MARCA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl 8b496024aa

Jerzy Domański

Histeria wojenna

Jako naród znaleźliśmy się między zanikającym, wręcz szczątkowym pacyfizmem a galopującą histerią militarną. Tak widzę stan nastrojów Polaków po obróbce propagandowej, którą nam zaaplikowali politycy. Od prawej do lewej. Z wyjątkami, które można bez wysiłku policzyć. Widać, że jako zbiorowość lubimy chodzić tam, gdzie nas prowadzą. Choć powszechnie wiadomo, że histeria niewiele ma wspólnego z mądrością. A jeszcze mniej z rozwagą. Może jednak patrzę na te wojenne nastroje zbyt surowo. Bo trudno im nie ulec, jeśli od wielu tygodni całą dobę słyszymy o bezpieczeństwie. I o zagrożeniu wojną, która jest tuż za progiem. Słowa bezpieczeństwo i zagrożenie padają na przemian. By mobilizować ludzi wokół flagi biało-czerwonej. Czyli wokół władzy.

Coraz częściej jestem pytany nie tylko o zagrożenie wojną, ale wręcz o to, kiedy Rosja nas zaatakuje. Gdy przypominam, że od trzech lat Rosjanie nie mogą zdobyć Charkowa, strach opada. Oczywiście nic, a zwłaszcza pokój nie jest nam dany na zawsze. Można więc i należy przyszykować kraj i ludzi, by byli gotowi na każdy scenariusz.

Nie trzeba było rozwalać wszystkiego, co w sprawie obronności robiono w PRL, teraz bylibyśmy w lepszym położeniu. A skoro z głupoty wyzerowano wszystko, łącznie z sensownymi rozwiązaniami, to teraz do nich będziemy wracali. Kto ma jednak wystarczające kompetencje, by to zrobić mądrze, rozważnie i skutecznie? W jakim stanie są kadry polityków i wojskowych, każdy widzi. Do generalskiego zaciągu Macierewicza, nominatów Dudy i Błaszczaka nie mam zaufania, bo w większości to nie kwalifikacje decydowały o ich awansach, ale polityka i zwyczajne kumoterstwo.

Trudno przecież uwierzyć w kompetencje tych, którzy stoją za wieloma bezsensownymi zakupami. Czy jest jeszcze inny kraj, który kupił czołgi od Amerykanów, Koreańczyków i Niemców? Przecież tym nawet mistrz świata w logistyce nie jest w stanie sensownie zarządzać. Jestem za wzmacnianiem naszego potencjału wojskowego, ale nie tak bezsensownie i drogo, jak to zrobiono.

Największy i najgłośniejszy chór skupił się na zagrożeniu ze strony Rosji. Tak jest łatwiej, bo płynie się na fali. A co z Niemcami? Prawica, dzielnie wspierana przez inne partie, wymusiła na Niemczech radykalny wzrost wydatków na zbrojenia. Są to kwoty ogromne. Wielokrotnie przekraczające nasze wydatki. Potęgę militarną Niemcy budują m.in. pod presją PiS. To największy błąd, jaki można było popełnić w polityce międzynarodowej. W dłuższej perspektywie ta krótkowzroczna polityka jest zapowiedzią poważnych problemów. Przez dziesiątki lat pilnowaliśmy swoich żywotnych interesów i powstrzymywaliśmy tendencje rewizjonistyczne i militaryzację Niemiec. Aż przyszło PiS i zepsuło to, co jakoś działało. Historia rozliczy Kaczyńskiego. Tylko co z tego?

BĄKOWSKI

eprasa.pl 8b496024aa

W NUMERZE

ZAGRANICA
8 **Europa stawia się Trumpowi**
A PiS chce przed nim klękać
37 **Turcja: koniec terroru?**
Co dalej z kurdyjską niepodległością?
40 **Bastion demokracji walczącej**
Bolsonaro – brazylijski nie całkiem Trump

KOŚCIÓŁ
11 **Jak Franciszek zmienił Kościół**
– rozmowa z Markiem Politim

KRAJ
16 **Hejter za kratami**
Sypie się sitwa Dariusza Mateckiego
20 **Paśniki dla swojaków**
Kolesie w bankach z udziałem skarbu państwa
24 **Covidowe dzieci**
Skąd problemy z uwagą i zachowaniem
34 **Co naprawdę wydarzyło się w Markowej**
Muzea zafałszowują obraz Zagłady

HISTORIA
28 **Krwawe zaślubiny z Bałtykiem**
Bitwa o Kołobrzeg

OPINIE
32 **Radosław S. Czarnecki**
Kres epoki romantyzmu w polityce

KULTURA
43 **Boy nadal aktualny**
– rozmowa z Moniką Śliwińską
46 **Masz talent, daleko zajdziesz**
Joanna Sarapata. Malarka w butiku Cartiera
50 **Qulturalia**
66 **Utamaro – drzeworyty japońskie**

SPORT
52 **Europejskie puchary i polski jarmark**
Geszefciarstwo zarządów klubów

OBSERWACJE
55 **Na tropie dinozaurów**
Wędrówki Jacka Pałkiewicza po pustyni Gobi
58 **Od zachcianki do biznesu**
Słodycz sławy dubajskiej czekolady

ZWIERZĘTA
60 **Nieuchwytny jak borsuk**
Badacz szuka go w Puszczy Białowieskiej

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Histeria wojenna
19 **Jan Widacki**
Z dala od wielkiej polityki
23 **Andrzej Romanowski**
Polska-Niemcy: wspólna sprawa!
27 **Andrzej Szahaj**
Tęsknota za dzikim kapitalizmem
31 **Roman Kurkiewicz**
Kuszenie kamaszami
51 **Tomasz Jastrun**
Szaleństwo i nadzieja
54 **Wojciech Kuczok**
Postprawdy

40
ZAGRANICA

BASTION DEMOKRACJI WALCZĄCEJ
Bolsonaro – brazylijski nie całkiem Trump

55
OBSERWACJE

NA TROPIE DINOZAURÓW
Wędrówki Jacka Pałkiewicza po pustyni Gobi

60
ZWIERZĘTA

NIEUCHWYTNY JAK BORSUK
Badacz szuka go w Puszczy Białowieskiej

Projekt okładki: Krzysztof Kettner

FOT. ALBERTO PIZZOLI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 8b496024aa

Ukraina na krawędzi

Wreszcie w oddali widać koniec walk na Ukrainie. Dziś Ukraina ma problemy z brakami w sprzęcie militarnym, pieniędzmi na utrzymanie państwa, infrastrukturą energetyczną oraz mierzy się z dezercjami i ucieczkami poborowych z kraju. Niestety, durna Europa chce walczyć do ostatniego Ukraińca, a nawet zaczyna się zastanawiać nad wysłaniem na Ukrainę żołnierzy krajów ją wspierających. Jankesi natomiast prą do zakończenia konfliktu, bo osiągnęli swój cel – osłabili militarnie i gospodarczo Rosję. By wywrzeć presję, odcięli Ukrainę od pieniędzy, dostaw broni i amunicji oraz danych wywiadowczych. Miejmy nadzieję, że to faktycznie przyśpieszy podpisanie traktatu pokojowego, a my nie dołączymy do tego konfliktu jako strona walcząca.

Michał Czarnowski

Mentzen na Podkarpaciu

Mentzen na Podkarpaciu

Wyborcy PiS pójdą za Mentzenem. Moja babcia w pierwszej turze będzie głosować na niego

Mieszkam niedaleko Kolbuszowej. Wstyd i tyle. Program tego kandydata to cynizm i egoizm. Najbardziej bawią mnie te brawa w wykonaniu pracowników najemnych, a i ten radośnie witający Mentzena na rynku biznes – są to najczęściej pracownicy na samozatrudnieniu, bo szefowi „tak się opłaca". Może i powinien wygrać Mentzen, a potem Konfederacja wybory parlamentarne. Jak ci wszyscy ich miłośnicy zaczną zasuwać za miskę ryżu, optyka im się zmieni. Szkoda tylko kraju.

Robert Kisiel

Kim pan jest, panie Brzoska?

Kim pan jest, panie Brzoska?

Szef InPostu pojawia się w mediach. Jest wszędzie. Gdyby ludzie pamiętali poprzednią odsłonę Brzoski, byliby bardziej sceptyczni

Jako były listonosz i kurier z pierwszej linii frontu w okresie blaszek do listów wiem, w jaki sposób budowała się potęga tej firmy. Powiem tylko tyle: jeśli ktoś ma fatalne skojarzenia i doświadczenia ze słowem biznesmen, to tutaj trafił w dziesiątkę.

Michał Jacek Wysocki

Czego chce Ameryka Trumpa?

W naszym kraju na tematy polityczne wypowiadają się profesorowie, doktorzy, eksperci, ale odpowiedzi są zawsze takie same lub podobne, czyli po myśli władzy. Szersza dyskusja polityczna już nie istnieje. Demokracja, o którą tak walczono, została sprowadzona do zapisów na papierze. USA to raczej państwo upadłe, a opieranie wszystkiego na sile wojskowej nikogo już nie nastraszy. Armia USA w razie czego i tak nie będzie nas bronić, bo i w jakim celu? Sami pchamy się w kłopoty, a liczymy na innych. (…) Europa jest dzisiaj bardzo słaba, co prof. Kuźniar powinien wiedzieć, a wyrzucanie miliardów na zbrojenia nic nie da. Rosja nie ma zamiaru atakować, ale odstraszać to można zające, a nie Rosję, bo państwu mającemu broń atomową i tak nic nie zrobimy. Najwyżej poszczekamy. W USA to zrozumieli. Kończy się era świata jednobiegunowego, nastał świat wielobiegunowy. Zmiany w geopolityce nabierają tempa, szkoda, że w Warszawie jeszcze o tym nie wiedzą.

Andrzej Kościański

ZDJĘCIE TYGODNIA

Afgańczycy z żywnością przekazaną przez organizacje charytatywne podczas ramadanu. Kandahar, 9 marca 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 8b496024aa

Który kraj wydał najwięcej na obronność w 2024 r.? Dla Polaków przekonywanych przez polityków, że to my jesteśmy absolutnym rekordzistą, bo wydajemy ponad 4% PKB, niespodzianką może być przeliczenie na kwoty. **Niemcy wydały 90,5 mld euro**, **Francja 59,6 mld**, a **Polska 36 mld**. Dalej są Włochy (31,9 mld), Holandia (19,9 mld) i Hiszpania (19,7 mld).

•

Według Krajowej Administracji Skarbowej **w 2024 r. wystawiono 291 tys. fikcyjnych faktur VAT**.

•

W Europie obowiązkową służbę wojskową mają Dania, Szwecja, Norwegia, Finlandia, Estonia, Litwa, Rosja, Białoruś, Ukraina, Mołdawia, Grecja, Turcja, Austria i Szwajcaria („Angora").

•

W Polsce kredyty hipoteczne są najdroższe w Europie. Hiszpania ma oprocentowanie 3,34%, Francja – 3,41%, Włochy – 3,44%, Niemcy – 3,92%, Szwecja – 4,44%. A Polska? 7,91% (**Europejski Bank Centralny, „Angora"**).

•

Po ponad siedmiu miesiącach zakończyło się okupowanie przez Ukraińców części (1,1 tys. km kw.) obwodu kurskiego w Rosji.

•

Jesienią 2024 r. w polskich szkołach było **247 998 uczniów ukraińskich**, z których 179 694 trafiło do Polski po wybuchu wojny 24 lutego 2022 r.

•

11 Orłów dostał film „Dziewczyna z igłą" Magnusa von Horna, koprodukcja polsko-duńsko-szwedzka. Są to nagrody m.in. za najlepszy film, reżyserię, scenariusz, za główną i drugoplanową rolę kobiecą, zdjęcia, muzykę i scenografię. Za najlepszy dokument uznano film **„Wanda Rutkiewicz. Ostatnia wyprawa" Elizy Kubarskiej**.

•

Państwowa Straż Pożarna przeznaczyła na kursy MBA w Collegium Humanum 800 tys. zł. Łącznie te studia ukończyło prawie 100 strażaków. W tym wielu byłych komendantów wojewódzkich PSP, dyrektorów biura, a nawet żona byłego komendanta straży pożarnej.

•

Dariusz Matecki, jeden z najbardziej obrzydliwych posłów w historii, najbliższe dwa miesiące spędzi w areszcie. Z zarzutami, które postawiła mu prokuratura, ma w perspektywie sporo lat życia za kratkami. Matecki to kolejny związany z Ziobrą polityk o kryminalnej przeszłości. **Nie posłuchali Beaty Szydło, która mówiła** do ówczesnej opozycji, **że „wystarczy nie kraść"**.

•

431 medyków zarabia miesięcznie między 100 a 300 tys. zł, 666 – między 80 a 100 tys. zł. Rekordzista wystawia faktury na 299 tys. zł miesięcznie. Większość lekarzy zarabia od 15 do 25 tys. zł (raport Agencji Ochrony Technologii Medycznych i Taryfikacji).

•

To musiało tak się skończyć. Kombinezony skoczków narciarskich stały się polem do eksperymentów naukowych i pokusą do oszustw. Na mistrzostwach świata w Norwegii na szwindlu złapano gospodarzy. Posypały się dyskwalifikacje.

•

Do 28 **izb wytrzeźwień trafiło** w 2023 r. **ponad 118 tys. osób**.

•

Przepis o konfiskacie aut pijanym kierowcom wprowadzony 14 marca 2024 r. przyniósł efekt w postaci **zatrzymania 7611 pojazdów**.

PRZEBŁYSKI

Gawkowski, ojczulek Wiosny

Pomysł był dobry. Ciąg wielu konferencji prasowych miał pokazać, jak bardzo Krzysztof Gawkowski jest zarobiony. Jak dzielnie, prawie nie śpiąc, wicepremier i minister cyfryzacji walczy, by obywatele byli bezpieczni i technologicznie zaawansowani. Słuchając Gawkowskiego, myślimy, że już jesteśmy w XXII w. Ale co widzimy, jak się budzimy? Obiecanki cacanki. Choć wiele gadał na konferencjach, później gdzieś to się Gawkowskiemu zapodziało. Jakie są efekty tego bicia piany przez półtora roku? Takie jak zapowiedzi Gawkowskiego, że pracuje nad opodatkowaniem gigantów cyfrowych. Rano to ogłosił, a po paru godzinach Ministerstwo Finansów poinformowało go, że nic mu do podatków. Cały Gawkowski. W rządzie robi to, co robił w Wiośnie. To był genialny pomysł na kariery takich ludzi jak Biedroń, Śmiszek, Scheuring-Wielgus i parunastu, których Gawkowski ulokował na posadach rządowych.

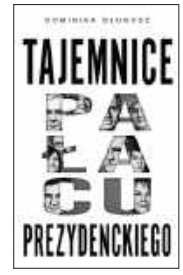

Pałac wart…

Robert Jaruga wziął na tapet książkę Dominiki Długosz „Tajemnice pałacu prezydenckiego". A smakowity to kąsek, z opowieścią o relacjach Marty Kaczyńskiej z Andrzejem Dudą z czasów, gdy był on prostym ministrem u Lecha Kaczyńskiego. Nie byłoby powodów do spekulacji, gdyby nie to, co wiemy o bohaterach tej historii. Marta Kaczyńska-Zielińska, a po drodze Smuniewska i Dubieniecka. Trzy małżeństwa, dwie córki, jeden syn i jedno zaprzeczenie ojcostwa. Czy w międzyczasie miała romans z Dudą? Jest zdjęcie, które by to potwierdzało. I jest reakcja Agaty Kornhauser, która, manifestując swoje wkurzenie, przez pół roku unikała Pałacu Prezydenckiego. Czy to Marta Kaczyńska protekcją u stryja otworzyła Dudzie drogę do prezydentury?

Sztab jak kula u nogi

Mentzenowi trudno będzie przegrać wyścig o drugą turę z Nawrockim. Na czym opieramy tę śmiałą prognozę? Nie jest taka śmiała, gdy się zajrzy do sztabu wynalazku Kaczyńskiego. Paweł Szefernaker, główny macher, to wiecznie ponury sztywniak. Gorsza kopia Nawrockiego, który jednak czasem pokazuje zęby w wymuszonym uśmiechu. Z kolei szefem kampanii internetowej kandydata PiS jest Adam Andruszkiewicz. Narodowiec z Grajewa. Przytulony przez Morawieckiego miał mu organizować poparcie w tym środowisku. Bez efektu. Ktoś ważny w PiS musi tak bardzo nie lubić Nawrockiego, że mu wcisnął do sztabu tę niemotę.

Lewica: minus jeden

Nowej Lewicy jest mniej. Właśnie z partii wystąpił Marek Rutka, wiceprzewodniczący struktur na Pomorzu. „Jest cała masa różnych powodów, które gdzieś się nawarstwiały", tłumaczył odejście. My wiemy, że praprzyczyną był styl, w jakim Rutkę traktowało szefostwo partii.

Marek Rutka jest członkiem Rady Mediów Narodowych. W tym pięcioosobowym ciele Nowa Lewica miała dwóch członków. Dziś nie ma żadnego.

FOT. ADRIAN GRYCUK/WIKIPEDIA, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, YOUTUBE

eprasa.pl 8b496024aa

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy wprowadzić ponownie powszechny pobór?

PŁK W ST. SPOCZ. PROF. TADEUSZ PANECKI,
historyk wojskowości

Czy tego chcemy, czy nie, czas powszechnego pokoju i spokojnych lat, którymi cieszyła się Europa, skończył się wraz z agresją Federacji Rosyjskiej na Ukrainę i prowadzoną przez Kreml polityką, której celem jest powrót do status quo sprzed 1989 r. Jak zatem militarnie przygotować kraj do odparcia ewentualnego zagrożenia? Czy powrót do zawieszonego w 2008 r. poboru zapewni nam wystarczającą siłę obronną? W tej kwestii społeczeństwo jest prawie równo podzielone. Wiadomo też, że armia zawodowa w obecnym stanie i WOT nie wystarczą. Długotrwałe wojny wygrywają rezerwiści, którzy zastępują poległych żołnierzy zawodowych. Wzmacniając zatem liczebnie zawodowe Wojsko Polskie, równolegle należy szybko wyszkolić rezerwy. Optuję za powszechnym szkoleniem mężczyzn w wieku 18-28 lat w pięcio-, sześciomiesięcznych cyklach. W szkołach średnich proponuję przywrócić przedmiot przysposobienie obronne, a kobiety objąć dobrowolnym szkoleniem w zakresie opieki medycznej, łączności, informatyki itp.

DR MAGDALENA M. BARAN,
redaktor prowadząca, miesięcznik „Liberte!”

Myśliciele powiadali, że bycie żołnierzem to poboczny zawód wszystkich mężczyzn, dziś powiedzielibyśmy: wszystkich obywateli. Jednak obowiązkowy pobór powszechny, z którym szczęśliwie pożegnało się moje pokolenie, nie jest dobrym pomysłem. Są nim dobrowolne szkolenia, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Dzisiaj służenie ojczyźnie przyjmuje inne formy niż tylko stanie z bronią na granicy, bo zmieniła się sama wojna. Zamiast poboru potrzebujemy mądrej edukacji dla wszystkich. Edukacji, która nauczy nas rozpoznawać zagrożenia hybrydowe oraz przejawy dezinformacji i manipulacji, pokaże, jak zachować się w sytuacji zagrożenia. Edukacji dotyczącej ustawy o obronie cywilnej i ochronie ludności, ale też podstawowego szkolenia dającego pojęcie o posługiwaniu się bronią, udzielaniu pierwszej pomocy itd.

DR MATEUSZ ZAREMBA,
politolog, Uniwersytet SWPS

Odpowiedź może mieć wymiar strategiczny i symboliczny. W pierwszej kwestii to oczywiście pytanie do specjalistów od wojskowości. Warto zauważyć, że nikt się nie spodziewał prowadzenia wojny w stylu pierwszej połowy XX w., tak jak to robi obecnie Putin. Jeśli chodzi o symboliczność, to ewentualne ogłoszenie poboru jest pewnym zerwaniem z dotychczasowym poczuciem rozprężenia. Urealnia perspektywę potencjalnego zagrożenia i wojny. Powrót do powszechnego szkolenia wojskowego będzie również powrotem do dawnego sposobu myślenia o armii i funkcjach obronnych państw.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 8b496024aa

Europa stawia się Trumpowi

A w Polsce PiS zajęło pozycję bezrefleksyjnie proamerykańską

Robert Walenciak

„Wszyscy staliśmy się gaullistami", cytuje słowa szefa holenderskiego MSZ Caspara Veldkampa brytyjski „The Economist". Gaullistami, czyli zwolennikami niezależności militarnej i gospodarczej od USA.

Kilka tygodni prezydentury Donalda Trumpa zmieniło wszystko. Nie powinniśmy być zaskoczeni, Trump większość swoich działań zapowiadał już podczas kampanii wyborczej. Ale nikt nie wierzył, że zapowiedzi spełnią się tak szybko. I to w atmosferze brutalnych oskarżeń i połajanek. Wersal się skończył.

„Unia Europejska to jeden z najbardziej wrogich i nieuczciwych organów podatkowych na świecie, który został utworzony wyłącznie w celu czerpania korzyści ze Stanów Zjednoczonych", napisał Trump na platformie Truth Social. W innym wpisie stwierdził, że głównym celem Unii jest „dymanie" USA. Europa znalazła się więc na liście wrogów Ameryki. I nie jest to żart.

•

Po pierwsze, ekipa Trumpa ma inną wizję stosunków międzynarodowych niż jej poprzednicy. Inaczej chce układać świat, widzi go jako koncert mocarstw. Preferuje inną jego architekturę.

Chce rozluźnić więzi północnoatlantyckie, nie chce być czymkolwiek związana. Mamy więc zapowiedź innego funkcjonowania NATO. Słynny art. 5, który mówi o obronie każdego członka paktu, ma działać inaczej – nie automatycznie, ale według woli amerykańskiego prezydenta. Mamy zapowiedź zwinięcia amerykańskiego parasola nad Europą. Mamy grę z Ukrainą i bezpośrednie rozmowy amerykańsko-rosyjskie, które trwają przynajmniej od listopadowego zwycięstwa Trumpa. Dotyczą nie tylko Ukrainy, ale także usunięcia – jak to określają Rosjanie – przyczyn rosyjsko-ukraińskiego konfliktu. Oraz innych spraw, które są w polu zainteresowań Rosjan i Amerykanów. Rosja jest zatem partnerem, z którym Trump chce układać świat. Ameryka pokazuje w ten sposób, że nie zamierza się liczyć ze zdaniem państw europejskich. I że to, co ustali z Moskwą, zostanie im tylko przedstawione do akceptacji.

Poczucie Europejczyków, że Amerykanie i Rosjanie traktują ich jak bogatą dziedziczkę, którą można łatwo złupić, jest wzmacniane kolejnymi wypowiedziami Trumpa i Putina.

Charakterystyczne były „żarty" prezydentów Łukaszenki i Putina po ich spotkaniu w Moskwie 13 marca. „Jeśli Rosja dogada się ze Stanami Zjednoczonymi, Ukraina i Europa będą skończone – mówił Łukaszenka. – Negocjacje między USA a Rosją trzymają los Europy w swoich rękach. Nie oszukają nas. Znamy swoje cele". Tę wypowiedź Putin próbował łagodzić słowami: „Europa będzie miała tani rosyjski gaz".

Wzmianka o gazie nie jest przypadkowa. Gdy parę tygodni temu Trump ogłosił rozmowy pokojowe z Rosją, natychmiast skoczyły notowania na moskiewskiej giełdzie. A najwyżej akcje Gazpromu. Dziwne? Przecież trudno przypuszczać, że Gazprom będzie sprzedawał gaz Ameryce. Kupcem może być tylko Europa. A jej w negocjacjach nie ma. O co więc chodzi?

Tropem może być druga informacja, że od tygodni w Szwajcarii toczą się rozmowy dotyczące reaktywowania gazociągu Nord Stream II. Naprawioną linią popłynie gaz do Europy. Ale struktura właścicieli będzie inna – do Niemców i Rosjan dołączyć mają Amerykanie. Na tym polega pomysł – Amerykanie i Rosjanie łączą siły, żeby zarabiać na Europie. Co wnoszą? Rosjanie – gaz, którego nikomu innemu nie mogą sprzedać. Amerykanie – podkuty but, którym zamierzają wymusić na Europie zdjęcie sankcji.

•

Jeżeli jesteśmy przy sprawach handlowych, stanowią one drugą oś konfliktu Ameryka-Europa. Ten konflikt eskaluje. W tempie, za którym nie sposób nadążyć, bo wszystko zmienia się z godziny na godzinę. Donald Trump regularnie, w dziwnej euforii ogłasza kolejne cła na kolejne produkty. Co sprowokowało komisarza UE ds. handlu Marosza Szefczovicza do smutnej konstatacji, że „amerykańska administracja nie szuka porozumienia z Unią".

Nie szuka, bo administracja Trumpa i on sam traktują Unię Europejską w sposób szczególny. W zakresie wymiany towarów Unia ma nadwyżkę nad USA w wysokości 157 mld euro. Ale w dziedzinie usług cyfrowych nadwyżkę mają Amerykanie, i to niebagatelną – 109 mld euro. Dla big techów Europa jest kluczowym rynkiem, on daje im, jak mówi Szefczovicz, aż 40% przychodów.

Co istotne, big techy czerpią gigantyczne korzyści z rynku europejskiego, a podatki, które płacą od generowanych tu zysków, są

W zakresie wymiany towarów Unia ma nadwyżkę nad USA w wysokości 157 mld euro. Ale w usługach cyfrowych nadwyżkę mają Amerykanie, i to niebagatelną – 109 mld euro.

eprasa.pl 8b496024aa

Europosłowie PiS i Konfederacji głosowali przeciwko rezolucji dotyczącej potrzeby wzmocnienia bezpieczeństwa europejskiego. Ale i tak przyjęto ją zdecydowaną większością głosów.

symboliczne. I cała machina przedstawicielstw amerykańskich pilnuje, by nic w tej sprawie się nie zmieniło. Polityka Ameryki jest więc taka: tam, gdzie Europejczycy radzą sobie dobrze, np. w sektorze motoryzacyjnym czy towarów luksusowych, Ameryka nakłada cła. Żeby było sprawiedliwie. A tam, gdzie Stany mają przewagę, żadnych ceł nie może być, bo narusza to zasady wolności.

Przekonaliśmy się o tym niedawno, gdy Krzysztof Gawkowski, wicepremier i minister cyfryzacji, zapowiedział, że za kilka miesięcy jego resort przedstawi projekt podatku cyfrowego, który zostanie nałożony w Polsce na big techy. Natychmiast odezwał się Thomas Rose, przyszły ambasador USA w Polsce. I to jak! „Autodestruktywny podatek, który zaszkodzi tylko Polsce i jej relacjom z USA. Prezydent Trump również odpowie, jak należy. Cofnijcie podatek, by uniknąć konsekwencji!", napisał. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że ambasador będzie łajał polskich ministrów i im groził.

•

Pouczania i pokrzykiwania Europa usłyszała już w połowie lutego, podczas wystąpienia wiceprezydenta USA J.D. Vance'a, który zarzucił jej odejście od demokratycznych wartości i cenzurowanie niewygodnych treści. Oto kolejny obszar wojny, którą administracja Trumpa wypowiedziała Europie – ideologiczny. Towarzyszą jej gesty poparcia dla partii i ludzi skrajnie prawicowych i antyeuropejskich: dla AfD, dla ugrupowania Marine Le Pen, dla Viktora Orbána. Trump ewidentnie gra na siły polityczne przeciwne europejskiej jedności i popiera tych, którzy chcą Unię rozwalić, by powróciła dawna skłócona Europa. Bo Unia rozbita, skonfliktowana to łatwiejszy łup.

•

Nic zatem dziwnego, że i Unia, i Europejczycy po tak intensywnych atakach Trumpa mają go dość. Pokazują to sondaże. Na pytanie, czy Trump stanowi zagrożenie dla twojego kraju, twierdząco odpowiada 78% Brytyjczyków, 74% Niemców i 69% Francuzów. Ameryce w Europie się nie ufa, Ameryka należy do złego tonu. Przykład pierwszy z brzegu – sprzedaż Tesli w Europie w styczniu 2025 r. spadła o 45% rok do roku. Mimo że w tym samym czasie rynek samochodów elektrycznych poszerzył się na kontynencie o 37%.

Wiatr niechęci do Ameryki łapią w żagle politycy. Emmanuel Macron ma wreszcie okazję odzyskać inicjatywę polityczną i wykorzystuje to. Gra na nucie gaullistowskiej, mówi o niezależności Francji, o tym, że nie zamierza korzyć się przed Ameryką. Ustawia sobie w ten sposób w kącie opozycję – tę z prawa i tę z lewa. Swoją szansę na odzyskanie uciekającej popularności dojrzał też brytyjski premier Keir Starmer. Podobnych gestów spodziewajmy się także po nowym kanclerzu Niemiec. A Angela Merkel, która obwinia się dziś za piękny europejski sen lat 2008-2022, mówi otwarcie: jak się nie zjednoczymy, zostaniemy starci na proch. Te słowa są odbiciem europejskich nastrojów.

Efekty szoku widzimy w pierwszych działaniach. Europa jest bardziej zjednoczona i zdecydowana na wspólne działania. Przede wszystkim w sprawach militarnych.

•

Dlaczego militarnych? Odpowiedź jest prosta. Mamy inaczej wyglądający świat. Obecnie najważniejszym elementem określającym pozycję państwa jest siła militarna. To dlatego licząca 140 mln mieszkańców Rosja, o gospodarce wielkości Włoch, jest stawiana wyżej niż 340-milionowa Unia Europejska. To dlatego Unia zadrżała, gdy Trump zapowiedział, że zwinie rozpostarty dotąd nad nią parasol militarny i sam wynegocjuje z Rosją to, co chce. I pokój w Ukrainie, i nowy porządek świata. Zadrżała, bo będąc słaba militarnie, niewiele znaczy.

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

eprasa.pl 8b496024aa

Jest to lejtmotyw ostatnich działań. Budowa siły militarnej, tak by we wszystkich rozmowach na temat przyszłości świata być przy stole jako partner, a nie jako tort do podziału. Unia już to wie. Na szczycie w Brukseli zdecydowała o stworzeniu funduszu na zbrojenia w wysokości 150 mld euro. To realne pieniądze, „powinny służyć finansowaniu zakupów od europejskich producentów, co pomoże wzmocnić nasz własny przemysł zbrojeniowy", powiedziała Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej. Firmy europejskie poczuły więc zapach pieniędzy.

Prezes Rheinmetall już zapowiedział inwestycje rzędu 8 mld euro w rozbudowę mocy produkcyjnych. To oczywiste – Rheinmetall zanotował w 2024 r. zysk w kwocie ponad 900 mln euro, a portfel zamówień na 2025 r. ma o 37% większy. Widzi świetlaną przyszłość. Podobny entuzjazm wykazują szefowie innych firm zbrojeniowych. A to, że polskie przedsiębiorstwa z tego stołu mogą zebrać tylko okruszki? Smutne, ale takie firmy mamy. Przynajmniej dziś.

Kolejnym etapem europejskiego przebudzenia było niedawne głosowanie w europarlamencie nad rezolucją dotyczącą potrzeby wzmocnienia bezpieczeństwa kontynentu. Przyjęto ją zdecydowaną większością głosów. Do rezolucji udało się włączyć poprawkę zaproponowaną przez europosłów PO-PSL, w której uznano naszą Tarczę Wschód za projekt flagowy dla wspólnego bezpieczeństwa Unii.

Gwoli przypomnienia: Tarcza Wschód obejmuje budowę fizycznych i naturalnych umocnień wzdłuż wschodniej i północnej granicy Polski. A jej budżet wynosi 10 mld zł na lata 2024-2028. Podkreślenie zatem, że to sztandarowy projekt obronny Unii, posłuży lepszemu jej finansowaniu. Dla Polski to ważne – jeżeli nasze firmy zbrojeniowe nie mają szans na znaczące pieniądze z Unii, niech przynajmniej znajdą się środki na budowę umocnień nadgranicznych. Bo one również będą służyć obronie Unii i budowie jej niezależności militarnej.

•

I tu pojawia się ostatni wątek – polski. Europosłowie PiS głosowali przeciwko tej rezolucji. Dlaczego? Nie odbierajmy im prawa do patriotyzmu – oni uznali, że „europosłowie koalicji 13 grudnia ochoczo poparli pierwszy krok w kierunku marginalizacji NATO i oddania narodowych kompetencji obronnych do Brukseli". Takimi słowami skomentował głosowanie Mariusz Błaszczak, przewodniczący klubu PiS w Sejmie. Czyli politycy PiS uważają, że inicjatywy zmierzające do rozbudowy sił obronnych Unii, jeżeli są poza NATO, służą nie Polsce, lecz Niemcom i Francji. Tak oto na naszych oczach dokonuje się pęknięcie w polskiej polityce zagranicznej i obronnej.

Unia i Europejczycy po intensywnych atakach Trumpa mają go dość. Pokazują to sondaże.

Mamy z jednej strony premiera i partie koalicji rządzącej, które są za rozbudową siły militarnej państw europejskich. Bo racjonalnie jest przyjąć, że Ameryka Trumpa może zachować się różnie i już nie należy tak do końca jej ufać.

Z drugiej strony PiS i prezydent Duda uważają, że trzeba stawiać na Trumpa, a wszelkie próby wzmocnienia Europy służą, jak wspomnieliśmy, przede wszystkim Niemcom i Francji. W tej układance PiS zajęło więc pozycję bezrefleksyjnie proamerykańską. A główną osią jest wierność Ameryce i pomoc w jej działaniach. Także antyeuropejskich. My jako koń trojański Ameryki w Europie? Jak najbardziej. Bo podlizywanie się Trumpowi i wiara w niego to – zdaniem PiS – polska racja stanu.

Trumpowskie bałwochwalstwo PiS tłumaczy dość szeroko. Po pierwsze, nie możemy ufać Niemcom i Francji, a ich wzmacnianie Polsce nie służy. Po drugie, idea jedności europejskiej jest z gatunku tych liberalnych, więc przez PiS nieakceptowanych. PiS było zresztą zwalczane przez instytucje unijne. Po trzecie zatem, PiS wierzy, że teraz ekipa Trumpa będzie zwalczać obecną koalicję i pomoże polskiej prawicy wrócić do władzy. Musk, J.D. Vance, ambasador Rose pomogą. Po czwarte, pokutuje na prawicy wiara, że jedyną gwarancją polskiego bezpieczeństwa są amerykańscy żołnierze. A gdyby jeszcze Amerykanie chcieli rozmieścić w Polsce broń atomową… O tym głośno mówi Andrzej Duda. J.D. Vance już mu odpowiedział, że byłby zaskoczony, gdyby tak się stało. Jego powściągliwość jest zrozumiała – sprawy te zostaną uregulowane w negocjacjach z Rosją, a nie w rozmowach z Dudą.

Jest jeszcze jeden element myślenia PiS: budowa Trójmorza. Czyli sojuszu państw od północy po południe kontynentu, między Niemcami a Rosją, w którym to Polska odgrywałaby wiodącą rolę, a patronem byłyby Stany Zjednoczone.

I tylko dla porządku dodajmy, że idea Trójmorza jest z gatunku political fiction. Pozostałe państwa traktują ją z dystansem – to dobry pomysł na rozbudowę sieci dróg, ale nie na wielką inicjatywę polityczną. Zostaje więc PiS niechęć do Niemiec i do europejskiego współdziałania oraz wielka chęć służenia Trumpowi. Partia, której ideą było wstawanie z kolan, dodaje do niej nowe hasło: na kolana przed Trumpem! W nadziei, że te wyrazy ufności go wzruszą.

Macron ma wreszcie okazję odzyskać inicjatywę polityczną i to wykorzystuje. Gra na nucie gaullistowskiej.

Tak oto wielki geopolityczny przełom, którego jesteśmy świadkami, wielka zmiana w Europie (wszyscy się zastanawiają, czy będzie skuteczna, czy nie skończy się na gadaniu), ma też wątek humorystyczny. Z udziałem Polaków.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8b496024aa

Dziedzictwo Franciszka i walka o sukcesję

Cztery kluczowe reformy to: oczyszczenie Banku Watykańskiego, zmiana podejścia Kościoła do kwestii seksualnych, walka z pedofilią i wzmocnienie roli kobiet w Kościele

Rozmawia
Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Właśnie ukazała się pana nowa książka: „Niedokończone. Dziedzictwo Franciszka i walka o jego sukcesję". Dlaczego pisząc o pontyfikacie Franciszka, użył pan określenia „niedokończone"?

– W przeszłości napisałem o Franciszku już trzy książki, które jako pierwsze poruszyły kwestię wewnętrznej wojny domowej w Kościele katolickim. Pierwsza nosiła tytuł „Franciszek wśród wilków", natomiast ostatnia część trylogii to „Franciszek, zaraza i odrodzenie". Najnowsza książka powstała na bazie obserwacji, że końcowy etap pontyfikatu Bergoglia ujawnia również ograniczenia jego działań: dawał impuls do zmian, ale nie udało mu się przeprowadzić całościowej reformy Kościoła. Dziś Kościół jest głęboko podzielony i rozdrobniony, a brak jednolitego kierunku działania stanowi poważne wyzwanie przy wyborze przyszłego papieża.

Jakie zmiany udało się wprowadzić Franciszkowi?

– Możemy wyróżnić cztery kluczowe reformy jego pontyfikatu: oczyszczenie Banku Watykańskiego, zmiana podejścia Kościoła do kwestii seksualnych, walka z pedofilią oraz wzmocnienie roli kobiet w Kościele.

Jednym z priorytetów Franciszka była gruntowna reforma Instytutu Dzieł Religijnych (IOR), znanego jako Bank Watykański. Konklawe, które wybrało Bergoglia – i które nie chciało po raz kolejny postawić na papieża Włocha po Niemcu i Polaku – miało na celu położenie kresu skandalom finansowym. Franciszek doprowadził do dogłębnej reorganizacji banku, eliminując możliwość wykorzystywania go do prania brudnych pieniędzy czy zarządzania funduszami pochodzącymi z korupcji, co wcześniej miało miejsce.

MARCO POLITI
– watykanista

Jak się zmieniło podejście do kwestii seksualnych?

– Należy podkreślić, że za pontyfikatu Franciszka takie tematy jak antykoncepcja czy zapłodnienie in vitro przestały być przedmiotem intensywnych debat jak za jego poprzedników. Najistotniejszą zmianą było uznanie pełnych praw osób homoseksualnych w Kościele katolickim. Papież Benedykt XVI podkreślał, że osoby homoseksualne zasługują na szacunek, ale jednocześnie określał praktykowany homoseksualizm jako „poważne zaburzenie moralne". Franciszek odszedł od tej narracji, ogłaszając, że wszyscy są dziećmi bożymi – także osoby homoseksualne. Przyjął w Watykanie transpłciowego Hiszpana z partnerem i zezwolił na błogosławienie par homoseksualnych, co symbolicznie zakończyło ich marginalizację w Kościele.

Jeżeli chodzi o walkę z pedofilią, od początku pontyfikatu ten papież surowo podchodził do nadużyć. Wszczął proces przeciwko Józefowi Wesołowskiemu, byłemu nuncjuszowi apostolskiemu w Santo Domingo, a także wydalił z Kolegium Kardynalskiego dwóch duchownych zamieszanych w skandale – kard. Theodore'a McCarricka, oskarżonego o wykorzystywanie nieletnich, oraz kard. Keitha O'Briena, który dopuszczał się niestosownych relacji z dorosłymi seminarzystami. Papież nałożył również obowiązek zgłaszania przypadków nadużyć oraz wprowadził jasne procedury prawne pozwalające na szybkie działania wobec biskupów i patriarchów. Dokumentacja archiwów diecezjalnych może być

eprasa.pl 8b496024aa

teraz wykorzystywana w procesach cywilnych.

Jaka była reakcja na te regulacje?

– Reforma ta spotkała się z silnym oporem – aż 90% episkopatów na świecie biernie ją blokuje. W nielicznych krajach przeprowadzono niezależne badania dotyczące przeszłych skandali. We Włoszech nie rozpoczęto jeszcze systematycznego dochodzenia; Konferencja Episkopatu Włoch ograniczyła się do publikacji dokumentów dotyczących spraw już rozpatrzonych przez Święte Oficjum, nie powołując komisji do badania przypadków od czasów powojennych do dziś.

Rola kobiet w Kościele chyba się nie zmieniła?

– Przede wszystkim Franciszek jest pierwszym papieżem od 1700 lat, który przyznał kobietom i osobom świeckim prawo głosu podczas synodu biskupów. Znaczenie tego kroku można porównać do walki o prawa obywatelskie w Stanach Zjednoczonych, gdy czarni obywatele uzyskali pełnię praw.

Kiedy papież otworzył debatę o możliwości wyświęcania kobiet na diakonów i powołał pierwszą komisję w tej sprawie, jej członkowie byli podzieleni. Druga komisja również nie przyniosła przełomowych rezultatów. Obecnie oczekuje się na wyniki trzeciej, pracującej pod egidą Kongregacji Nauki Wiary, której raport ma zostać opublikowany w czerwcu 2025 r. Konserwatywne skrzydło Kościoła skutecznie hamuje postępy w tej kwestii.

Franciszek działa jednak pragmatycznie – zamiast forsować zmiany doktrynalne, wprowadza konkretne reformy w Kurii Rzymskiej. Po raz pierwszy w historii kobiety pełnią tam funkcje kierownicze. Przełożona zakonu została mianowana prefektem Dykasterii ds. Instytutów Życia Konsekrowanego, a od 1 marca inna zakonnica objęła stanowisko gubernatora Państwa Watykańskiego. Wiele kobiet zajmuje wysokie stanowiska w kurii, co stanowi wyraźny sygnał polityczny i krok ku zmianie.

30 lat temu kobiety w Kurii Rzymskiej odgrywały jedynie role służebne, bez możliwości kierowania urzędami. Dziś natomiast francuska zakonnica pełni funkcję podsekretarza Rady Synodu Biskupów, co ilustruje skalę przeprowadzonych reform.

Czego nie udało się dokonać Franciszkowi? Gdzie popełnił błędy?

– Działania Franciszka zaskoczyły nawet część jego elektorów. Z jednej strony powierzono mu zadanie oczyszczenia Watykanu, z drugiej – doceniano jego głęboko religijną osobowość. Gdy powiedział: „Wypuśćmy Chrystusa, mam wrażenie, że jest zamknięty, musi wyjść na zewnątrz”, wielu dostrzegło w nim pasję duszpasterską. Jednak niewielu spodziewało się, że podejmie tak odważne reformy dotyczące m.in. osób homoseksualnych, roli kobiet i innych drażliwych kwestii.

Podziały w Kościele zaczęły się nasilać już w 2014 r., gdy synod podjął debatę nad możliwością udzielania komunii rozwodnikom żyjącym w nowych związkach. Za pontyfikatu Benedykta XVI niektórzy biskupi opowiadali się za takim rozwiązaniem, jednak synod nie przyjął jednoznacznych ustaleń. Franciszek w swoim dokumencie posynodalnym zamieścił przypis, który pozostawiał otwartą furtkę. Z czasem stała się ona powszechną praktyką, co zmobilizowało konserwatywne skrzydło Kościoła, w tym kard. Raymonda Leo Burke’a i kard. Joachima Meisnera z Niemiec, byłego prefekta Kongregacji Nauki Wiary.

Od tamtego czasu przeciwnicy Franciszka zaczęli działać coraz aktywniej, korzystając z rosnącej potęgi mediów społecznościowych, które za Jana Pawła II nie istniały, a za Benedykta XVI dopiero raczkowały. Obecnie platformy internetowe jednoczą różne nurty myślowe i ludzi, którzy w przeciwnym razie pozostawaliby odizolowani w małych miejscowościach Ameryki czy Afryki.

Czy reforma Kurii Rzymskiej jest wystarczająca?

– Dziś nie chodzi już tylko o reformę Kurii Rzymskiej, lecz przede wszystkim o odnowę episkopatów na całym świecie, tak by cały Kościół podążał ścieżką reform. W tym aspekcie Franciszek nie odniósł pełnego sukcesu. Kościół jest podzielony: północnoamerykański episkopat balansuje między konserwatystami a reformatorami, polski i wschodnioeuropejski blokują zmiany, episkopat Europy Północnej zachowuje ostrożność, a afrykański stanowczo sprzeciwia się błogosławieniu par homoseksualnych. Największym wyzwaniem dla następnego papieża będzie zjednoczenie tej rozdartej wspólnoty.

Czy papież stał się outsiderem we współczesnym świecie?

– Franciszek był outsiderem zwłaszcza w kontekście wojny w Ukrainie. Jego stanowisko odbiegało od linii Brukseli, Waszyngtonu,

eprasa.pl 8b496024aa

NATO i Unii Europejskiej. Trzeba jednak przyznać, że wykazał się dużą przenikliwością, a w pewnym sensie także proroczą wizją. Potępił atak Rosji na Ukrainę oraz zbrodnie wojenne. Uważał jednak, że konflikt można było zażegnać, i konsekwentnie podkreślał konieczność negocjacji. Dziś, w obliczu brutalnej polityki Trumpa i dominacji interesów geopolitycznych, wojna w Ukrainie utknęła w impasie przypominającym konflikt koreański – żadna strona nie jest w stanie odnieść pełnego zwycięstwa.

Franciszek dostrzegł dwie kluczowe kwestie: po pierwsze, Stolica Apostolska powinna pozostać ponad podziałami, jak czyniła to w przeszłości. Po drugie, znaczna część świata – tzw. globalne Południe – nie chciała jednoznacznie opowiadać się po żadnej ze stron.

Również stanowisko Franciszka w sprawie wojny w Gazie nie jest jednoznaczne.

– Stanowisko papieża jest bardzo jasne. Franciszek potępił oczywiście barbarzyński atak z 7 października, ale jednocześnie skrytykował masakrę dokonaną przez rząd izraelski i armię w Gazie. W każdą niedzielę, podczas modlitwy Anioł Pański, papież mówi o Palestynie i Izraelu. Jest to stały punkt polityki Watykanu: Palestyna jest państwem i powinna zostać uznana. Watykan już oficjalnie ją uznał, a Stolicy Apostolskiej nie chodzi o abstrakcyjne dyskusje na temat praw Palestyńczyków w przyszłości, lecz o stwierdzenie, że mają oni prawo do własnego państwa. Jednocześnie Izrael ma prawo do bezpieczeństwa i jest już uznanym państwem. Oba państwa muszą współistnieć.

Surowość papieskiego potępienia masakr w Gazie doprowadziła do napięć z częścią społeczności żydowskiej, zwłaszcza z włoskimi rabinami i włoskimi wspólnotami żydowskimi. Jednak w liście do włoskich Żydów papież podkreślił, że Watykan i Stolica Apostolska zawsze były całkowicie zaangażowane w walkę z wszelkimi formami antysemityzmu. Nie ma to jednak nic wspólnego z prawem Palestyńczyków do posiadania własnego państwa i koniecznością znalezienia zrównoważonego rozwiązania pokojowego dla obu narodów na Bliskim Wschodzie.

Obserwujemy wzrost wpływów skrajnej prawicy, która prowadzi politykę represyjną wobec migrantów, mniejszości i kobiet, a także wykorzystuje religię do swoich celów. Na tym tle Franciszek jawi się jako postępowy liberał. Jak postrzega się go w tym kontekście?

– Franciszek to nie tylko przywódca religijny, ale także osoba o dużej świadomości politycznej. Od lat ostrzega przed ekspansją ekstremistycznego i konserwatywnego populizmu. Wielokrotnie zabierał głos w tej sprawie, zwłaszcza pod koniec ubiegłej dekady oraz podczas pandemii COVID-19 w 2020 r. Na spotkaniu biskupów regionu Morza Śródziemnego w Bari powiedział: „Mam wrażenie, że przeżywamy czasy lat 30. ubiegłego wieku", odnosząc się do rosnącego ekstremizmu, który – według niego – przybiera formy przypominające nazizm. Historia nigdy nie powtarza się w identyczny sposób, ale mechanizmy przemocy pozostają jego podobne. Papież podkreślał, że w przeszłości, jak i dziś, niektórzy celowo podsycają strach, podziały i nienawiść, wskazując rzekomych winnych. W latach 30. byli to Żydzi i Romowie, dziś są to migranci.

Jakie są zapatrywania papieża na tę kwestię?

– W tym kontekście Franciszek i Watykan stoją w opozycji do polityki prezydenta Trumpa. Obserwujemy wzrost autorytarnego i antydemokratycznego kapitalizmu, któremu towarzyszy populistyczny ekstremizm uzasadniający absolutną władzę samym faktem wyboru. Taka retoryka prowadzi do ignorowania demokratycznych mechanizmów kontroli oraz usprawiedliwiania każdej decyzji rzekomym boskim mandatem. W takim klimacie szerzy się strach wewnątrz instytucji państwowych – każdy, kto sprzeciwia się nowej władzy, jest traktowany jak wróg.

Franciszek dostrzegał te zagrożenia od samego początku. Pierwsze napięcia między Watykanem a administracją USA są już zresztą widoczne. W liście do amerykańskich biskupów papież potępił politykę nowego rządu wobec migrantów i ponownie podkreślił konieczność obrony ludzkiej godności. Dziś sami amerykańscy biskupi pozostają w konflikcie z władzami USA, które obcinają fundusze organizacjom charytatywnym, takim jak Caritas. Kiedy biskupi zaprotestowali przeciwko tym cięciom, wiceprezydent oskarżył ich o kierowanie się interesem finansowym. Dane pokazują jednak, że organizacje katolickie wydają na pomoc znacznie więcej, niż otrzymują z budżetu państwa.

To wszystko dowodzi, że w kwestiach praw człowieka, pomocy ubogim i wykluczonym rozbieżności między administracją Trumpa a Watykanem stają się coraz większe.

Pontyfikat Franciszka przypada na bardzo trudny i przełomowy okres. Oprócz wymienionych zagrożeń mierzymy się także ze zmianami klimatycznymi oraz rozwojem sztucznej inteligencji. Jak papież do tego podchodzi?

– Watykan bardzo uważnie przygląda się tym kwestiom. Franciszek podkreśla, że nowe technologie muszą być regulowane przez normy

Aż 90% episkopatów na świecie biernie blokuje walkę z pedofilią.

Marco Politi – włoski dziennikarz i pisarz, od 50 lat śledzi historię oraz politykę Watykanu. Biograf trzech papieży. Autor bestsellerów „Jego Świątobliwość. Jan Paweł II i nieznana historia naszych czasów" (napisany razem z Carlem Bernsteinem) i „Joseph Ratzinger. Kryzys papiestwa" oraz licznych książek, w tym trylogii poświęconej papieżowi Franciszkowi. Publikował na łamach „Il Messaggero", „La Repubblica", „Il Fatto Quotidiano". Przez sześć lat, w okresie od Gorbaczowa do Jelcyna, był korespondentem w Moskwie. W niemieckim wydawnictwie Herder ukazała się jego książka „Niedokończone. Dziedzictwo Franciszka i walka o jego sukcesję".

eprasa.pl 8b496024aa

Obecny papież zdobył ogromne uznanie społeczne i medialne. Jego następca powinien mieć przynajmniej podobną zdolność przyciągania wiernych. Nz. audiencja generalna w Watykanie, 22 stycznia 2020 r.

ustalone na poziomie międzynarodowym. Konieczne jest ustanowienie wspólnych zasad, tak jak zaczęła to robić Unia Europejska, aby zapobiec sytuacji, w której technologie te pozostaną w rękach potężnych grup ekonomicznych lub dominujących państw, co mogłoby prowadzić do podporządkowania jednostek.

Papież wyraził już tę opinię na szczycie G7, na który został zaproszony przez Giorgię Meloni.

– Powtórzył ją też w innych wystąpieniach. Widać jednak, że właśnie ta kwestia staje się jednym z pierwszych punktów silnego napięcia między Stanami Zjednoczonymi a Unią Europejską. Przykładem jest debata na temat wolności słowa, która była kluczowym tematem tegorocznej konferencji bezpieczeństwa w Monachium.

W latach 2013-2025 Franciszek konsekwentnie wspierał ważne kwestie etyczno-społeczne. Należą do nich: sprawiedliwość społeczna i gospodarka ukierunkowana na dobro wspólne, która nie powinna podlegać wyłącznie techniczno-ekonomicznym schematom; problematyka migracji, której nie można rozwiązać jedynie za pomocą środków policyjnych lub wojskowych; oraz kryzys ekologiczny i klimatyczny, ponieważ degradacja środowiska ma bezpośrednie konsekwencje dla codziennego życia ludzi, prowadząc do pustynnienia, podnoszenia się poziomu mórz, zanieczyszczenia powietrza i niedoborów wody.

Wszystkie te kwestie nie są jedynie „ekologiczną modą" ani abstrakcyjną ideologią środowiskową, jak niektórzy chcieliby sugerować, lecz realnymi problemami, które dotyczą życia każdego człowieka.

Pobyt papieża w szpitalu, jego stan zdrowia oraz wiek nasuwają nieuniknione pytanie o wybór następcy. Czy to czas na dyskusję o sukcesji?

– Od lat konserwatywna część Kościoła zastanawia się nad sukcesją, ale to pytanie nurtuje także reformatorów. Chcą wiedzieć, czy obrany kierunek zmian zostanie utrzymany, czy też reformy zostaną zatrzymane.

Jest jasne, że na papieża wywierano naciski – mówił o tym m.in. kard. Víctor Manuel Fernández, prefekt Dykasterii Nauki Wiary – aby skłonić go do rezygnacji, jednak bezskutecznie. Czym innym są jednak naciski, a czym innym refleksja nad przyszłością Kościoła. Skrzydło ultrakonserwatywne, które stanowczo sprzeciwiało się Franciszkowi i stanowi ok. 30% episkopatu, zdaje sobie sprawę, że nie ma wystarczającej siły, by narzucić swojego kandydata. Kluczową rolę odegrają umiarkowani, stanowiący ok. 40% hierarchii kościelnej, podczas gdy reformatorzy to ok. 25%. Pozostałe 5% to grupa trudna do sklasyfikowania – jak powiedziałby Andrea Camilleri (reżyser, pisarz – przyp. red.), „mająca formę wody".

Za pontyfikatu Franciszka tematy takie jak antykoncepcja czy zapłodnienie in vitro przestały być przedmiotem intensywnych debat.

eprasa.pl 8b496024aa

Jakiego papieża potrzebuje dziś Kościół?

– Wybór nowego papieża będzie wyjątkowo skomplikowany. Kościół potrzebuje kogoś, kto zdoła przezwyciężyć wewnętrzny konflikt, przywrócić jedność wspólnocie oraz nadać instytucjom nową architekturę – zarówno w zakresie prawa kanonicznego, jak i doktryny. Tego dziś brakuje: Franciszek wprowadził wiele reform, ale unikał zmian w zapisanym prawie, zdając sobie sprawę, że nie ma na to wystarczającego poparcia.

Franciszek jest pierwszym papieżem od 1700 lat, który przyznał kobietom i osobom świeckim prawo głosu podczas synodu biskupów.

Kolejną trudnością jest to, że sam umiarkowany kurs nie wystarczy – nowy papież musi być także postacią charyzmatyczną. Żyjemy w czasach, w których przywódca bez charyzmy nie jest w stanie skutecznie pełnić swojej funkcji. Benedykt XVI był wybitnym teologiem, ale brakowało mu siły oddziaływania Franciszka, co było wyraźnie odczuwalne. Obecny papież natomiast zdobył ogromne społeczne i medialne uznanie, dlatego jego następca powinien mieć przynajmniej podobną zdolność przyciągania wiernych.

Co o tym sądzi papież?

– Sam Franciszek zasugerował, że chciałby, aby jego następcą został „Jan XXIV". Wracając z Mongolii, powiedział: „Nie wiem, czy to ja pojadę do Wietnamu, czy zrobi to Jan XXIV". Jest jednak mało prawdopodobne, by wybrano jego kontynuatora. Najbardziej realny scenariusz to wybór postaci centrowej – kogoś o odpowiednim autorytecie i charyzmie, kto będzie w stanie pogodzić podzielony Kościół.

Kto znajduje się wśród kandydatów na następcę Franciszka na kolejnym konklawe?

– Wśród możliwych kandydatów wymienia się wielu hierarchów, jednak nie wyłaniają się jedna lub dwie dominujące postacie. Często wskazuje się na kard. Pietra Parolina, sekretarza stanu – człowieka wrażliwego, otwartego i zrównoważonego, mającego doświadczenie zarówno w strukturach watykańskich, jak i w dyplomacji. Wskazuje się też na kard. Mattea Zuppiego, patriarchę Jerozolimy, kard. Pierbattistę Pizaballę, oraz kard. Pétera Erdő, arcybiskupa Ostrzyhomia-Budapesztu, eksperta w dziedzinie prawa kanonicznego, którego niektórzy postrzegają jako „technokratę" zdolnego do uporządkowania Kościoła. Innym potencjalnym kandydatem jest kard. Jean-Claude Hollerich, jezuita z Luksemburga, który pełnił funkcję głównego relatora (koordynatora i osoby relacjonującej – przyp. red.) synodu.

Jeśli chodzi o Amerykę Łacińską, na uwagę zasługują postacie takie jak kard. Leonardo Ulrich Steiner odpowiedzialny za Dykasterię ds. Biskupów oraz kard. Óscar Andrés Rodríguez Maradiaga, jeden z kluczowych zwolenników Franciszka, choć później wyrażał pewne zastrzeżenia wobec jego decyzji.

Czy są kandydaci z Afryki lub z krajów dominujących w geopolityce, np. ze Stanów Zjednoczonych?

– Tradycja watykańska raczej wyklucza wybór kardynała z globalnej potęgi – przez wieki preferowano Włocha, aby uniknąć dominacji któregoś z mocarstw, takich jak Hiszpania, Austria, Francja, Niemcy, Anglia czy Ameryka dzisiaj.

Jeśli chodzi o Afrykę, po niedawnej nominacji kard. Fridolina Ambongo Besungu zwrócono większą uwagę na ten kontynent. Jednak Kościół afrykański jest często postrzegany jako zbyt konserwatywny w kwestii reform. Ambongo to silna osobowość i wpływowy gracz, ale jego ostrożne podejście do zmian budzi obawy części kardynałów, że mógłby hamować proces reform.

Czy istnieje możliwość, że Franciszek złoży dymisję, tak jak zrobił to Benedykt XVI? Co mogłoby go do tego skłonić?

– Papież Franciszek zawsze miał jasne i racjonalne podejście do kwestii rezygnacji. Już na początku pontyfikatu przekazał sekretarzowi stanu list, w którym określił, że w przypadku poważnego wypadku lub utraty zdolności decyzyjnych dokument ten zostanie upubliczniony.

Wielokrotnie podkreślał, że jest gotów ustąpić, przyznając, iż Benedykt XVI utorował taką drogę. Jednak w ostatnich latach, w obliczu agresywnych nacisków konserwatystów, dodał również: „Pamiętajmy, że kto jest papieżem, pozostaje nim na zawsze", i zaznaczył: „To Pan powie mi, kiedy nadejdzie ten moment".

Franciszek wielokrotnie podkreślał, że jeśli zabraknie mu sił fizycznych lub umysłowych do kierowania Kościołem, to ustąpi. Dodał także, że nie zamierza pozostawać w Watykanie, lecz przenieść się w inne miejsce, oraz że w przyszłości nie powinno się już używać tytułu „papież emeryt", a jedynie „biskup senior Rzymu".

Aż do obecnego kryzysu zdrowotnego były to jedynie teoretyczne rozważania. Teraz kwestia rezygnacji staje się coraz bardziej realna. Jeśli Franciszek ustąpi, będzie to wyraźny sygnał, że jego organizm nie jest już w stanie sprostać obowiązkom.

W niektórych kręgach kurii – nie tylko wśród jego przeciwników, ale także w gronie zwolenników – pojawia się przekonanie, że Franciszek chce doprowadzić do końca Rok Jubileuszowy. Jednak po ukończeniu 89 lat temat jego rezygnacji może stać się nieunikniony.

Rozmawiała
Agnieszka Zakrzewicz

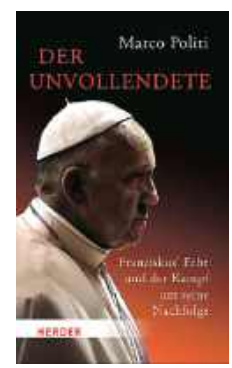

Książka Marca Politiego ukazała się w Niemczech i we Francji. W najbliższym czasie zostanie wydana również we Włoszech.

FOT. SHUTTERSTOCK (2), BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

eprasa.pl 8b496024aa

Matecki jeszcze w ławach sejmowych, z Mariuszem Goskiem i Zbigniewem Ziobrą oraz wspierającą dziś akcję „#MuremZaMateckim" Marią Kurowską i Norbertem Kaczmarczykiem, byłym wiceministrem rolnictwa od ślubnego traktora. 5 marca 2025 r.

Hejter za kratami

Początek końca obrzydliwej kariery politycznej Dariusza Mateckiego

Andrzej Sikorski

Po 15 miesiącach od przejęcia władzy w Polsce przez Koalicję 15 Października Dariusz Matecki trafił wreszcie za kratki. Nie powinno to być dla nikogo zaskoczeniem, bo ciemne chmury nad współpracownikiem Zbigniewa Ziobry zbierały się od dawna, nawet zbyt dawna, niektórzy już narzekali na opieszałość prokuratury. Zatrzymanie posła PiS nie ma związku z tragiczną śmiercią syna posłanki Magdaleny Filiks, ale data jest symboliczna. Aresztowanie nastąpiło 8 marca, czyli w drugą rocznicę pogrzebu Mikołaja Filiksa i w dzień jego 18. urodzin, których nastolatek nie doczekał…

Jednak nawet kajdanki na rękach i obstawa funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie starły z twarzy Mateckiego bezczelnego uśmiechu. Co było do przewidzenia, spodziewający się zatrzymania Matecki odegrał martyrologiczny spektakl dla ciemnego ludu o niewinnym pośle opozycji, ojcu malutkiego dziecka, oraz brutalnym reżimie Donalda Tuska. Wkrótce pojawią się doniesienia z aresztu o torturach, takich jak brudny koc, duszna cela, utrudnianie modlitwy czy monotonne posiłki.

Pół miliona za fikcyjną pracę

To Magdalena Filiks nagłośniła sprawę fikcyjnego zatrudnienia Mateckiego w Lasach Państwowych i inne nadużycia, których mieli się dopuścić politycy Solidarnej/Suwerennej Polski. Współpracownik Zbigniewa Ziobry wpadł w szał. Posłanka miała w LP informatora, który ostrzegł ją, że odbyło się spotkanie, na którym padło stwierdzenie: „Musimy tę szmatę uciszyć". Wkrótce pisowski redaktor naczelny Radia Szczecin Tomasz Duklanowski poinformował o aferze pedofilskiej w szeregach szczecińskiej Platformy Obywatelskiej. Ofiarą miało być „dziecko znanej parlamentarzystki". Żadnej afery jednak nie było, pedofil bowiem siedział od roku w więzieniu. Powodu do nagłaśniania sprawy również zatem nie było. Tego samego dnia, gdy Duklanowski podał „newsa", do boju ruszył Matecki. Zaczął atakować PO za rzekome tuszowanie afery. W mediach społecznościowych zamieścił zdjęcie Magdaleny Filiks ze skazanym, któremu zasłonił oczy ciemnymi okularami w różowych oprawkach, i podpisał bezczelnie: „Cześć Magdalena Filiks. Kolega stracił oczy, chociaż w rejestrze (pedofilów – przyp. A.S.) będzie bez okularów".

Było to wyjątkowo obrzydliwe. Ludzie szybko ustalili, kim byli pedofili i jego ofiara, 15-letni Mikołaj. W internecie rozpętano nagonkę. Podjudzeni m.in. przez Mateckiego hejterzy zaczęli obrzucać Filiks błotem, oskarżając ją, że ułatwiła pedofilowi wykorzystanie syna. Te same brednie powtarzali politycy PiS. Chłopak nie wytrzymał psychicznie. Wkrótce po upublicznieniu sprawy, kilkanaście dni przed 16. urodzinami, popełnił samobójstwo.

Matecki prawdopodobnie nigdy nie odpowie za przyczynienie się do śmierci Mikołaja (prokuratura umorzyła śledztwo), ale za inne przestępstwa być może trafi do więzienia na

eprasa.pl 8b496024aa

długie lata. Z sześciu zarzutów, jakie usłyszał w prokuraturze, dwa dotyczą fikcyjnego zatrudnienia w Lasach Państwowych. Ziobrysta ukradł w ten sposób prawie pół miliona złotych (o szczegółach pisaliśmy w artykule „Złodziejskie trofea", „Przegląd" nr 10/2025). Pozostałe zarzuty też dotyczą złodziejstwa. Matecki z kumplami kradli pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości, który miał pomagać ofiarom przestępstw. O ciężarze gatunkowym kryminalnych czynów świadczy to, że górna granica kary pięciu z sześciu zarzutów wynosi 10 lat więzienia. I taki maksymalny wyrok może usłyszeć współpracownik Ziobry.

Okradanie ofiar przestępstw

Przestępczy mechanizm wyglądał następująco. Koledzy Mateckiego założyli organizacje Stowarzyszenie Fidei Defensor (Obrońca Wiary) i Stowarzyszenie Przyjaciół Zdrowia, które dostały z Funduszu Sprawiedliwości w sumie prawie 17 mln zł. Za te pieniądze Fidei Defensor miało bronić chrześcijan przed rzekomym prześladowaniem, a Stowarzyszenie Przyjaciół Zdrowia – stworzyć portale internetowe „w celu prowadzenia akcji i działań informacyjnych wspierających sieć przeciwdziałania przyczynom przestępczości i pomocy pokrzywdzonym przestępstwem". Nie trzeba wyjątkowej przenikliwości, by się zorientować, że 17 mln zł to aż nadto na tak mało ambitne zajęcia, które w rzeczywistości miały przykryć złodziejski proceder.

To Matecki bezpośrednio u Zbigniewa Ziobry załatwiał przyznanie dotacji Fidei Defensor i Stowarzyszeniu Przyjaciół Zdrowia. Potem minister sprawiedliwości i prokurator generalny informował o tym swoich zastępców Michała Wosia i Marcina Romanowskiego oraz dyrektora Funduszu Sprawiedliwości Tomasza Mraza. Do jednego z takich spotkań doszło w domu Ziobry w Jeruzalu. Ziobro zgromadził współpracowników na oszklonej werandzie, a wcześniej nakazał im zostawić telefony w innym pomieszczeniu, w obawie przed podsłuchem.

Jesienią 2024 r. funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego zatrzymali na polecenie Prokuratury Krajowej Mateusza W., byłego wicewojewodę zachodniopomorskiego z Suwerennej Polski i zarazem byłego szefa Stowarzyszenia Przyjaciół Zdrowia, Adama S., prezesa Fidei Defensor, i kilka innych osób. Wszyscy usłyszeli zarzuty m.in. przywłaszczenia mienia. Mateusz W. i Adam S. trafili do aresztu, a wobec pozostałych osób zastosowano tzw. środki zapobiegawcze o charakterze wolnościowym, czyli dozór policji, zakaz opuszczania kraju i poręczenie majątkowe.

Pieniądze ze stowarzyszeń wyprowadzano na słupy – osoby, które wystawiały fikcyjne lub zawyżone faktury na różnego rodzaju usługi, np. konferencje, szkolenia i kampanie reklamowe. Jedną z konferencji Fidei Defensor miała organizować firma kuzyna działacza stowarzyszenia, zajmująca się… handlem paszami dla zwierząt hodowlanych, innym razem spółka z branży budowlanej. Słupy dostawały 10% wartości podpisanych umów. Pieniądze trafiały też bezpośrednio do Mateckiego. Zdaniem prokuratury poseł PiS nie tyko ukradł prawie 450 tys. zł, ale także próbował je wyprać, czyli zalegalizować. Kradzież polegała na tym, że Matecki „przyjął środki płatnicze pochodzące z pieniędzy z wynagrodzeń z tytułu fikcyjnego zatrudnienia oraz nienależnie uzyskiwanych dochodów od ustalonych osób, a następnie używał ich, przeznaczając na prywatne cele". Te „nienależnie uzyskiwane dochody" to były koperty zwane „darkowym", z pieniędzmi jako rekompensatą za działalność medialną na rzecz Fidei Defensor.

„Nie widziałem, w jaki sposób Matecki rozdysponowuje te pieniądze z koperty, poza jednym przypadkiem, gdy przekazałem mu pieniądze z koperty, on włożył je do swojego portfela, a następnie widziałem, gdy on tymi pieniędzmi wyjętymi z portfela kupił panele podłogowe", zeznał jeden ze świadków.

Prokuratura dysponuje solidnym materiałem dowodowym. Oprócz zabezpieczonych dokumentów śledczy mają zeznania świadków, w tym uczestników procederu przestępczego, którzy poszli na współpracę.

Czujni gangsterzy

Matecki i spółka działali z premedytacją. Zaplanowali kradzież pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości, a potem zacierali ślady. Na komunikatorze Signal założyli grupę o nazwie Wejście, aby ostrzegać się w razie wpadki i ewentualnego zatrzymania. Omawiali też sposoby

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 8b496024aa

Działania Mateckiego mają swoich fanów. Nz. protest, który odbył się w czasie spotkania Mariusza Goska z dyrektorem aresztu śledczego Warszawa-Służewiec w sprawie aresztowanego. 10 marca 2025 r.

szybkiego kasowania informacji na nośnikach elektronicznych. Matecki tuż przed zatrzymaniem miał się kontaktować z Marcinem Romanowskim, który ukrywa się na Węgrzech.

Z ujawnionych nagrań Tomasza Mraza wiemy, że jeszcze za rządów PiS w Ministerstwie Sprawiedliwości spotkali się Romanowski, Matecki, Mraz i Mateusz W. Koledzy rozmawiali o tym, jak będą się tłumaczyć z rozkradania Funduszu Sprawiedliwości.

„Panowie, to wygląda bardzo słabo. Żony w projektach… Co ja mam mówić na komisji sejmowej?”, zastanawiał się Romanowski. „Znaczy związków nieformalnych, w sensie koleżeńskich, no to trudno się wyprzeć, bo to będzie w internecie, to jest na zdjęciach, to jest wszędzie i…”, odpowiedział Mateusz W., a Matecki dodał: „No, ale formalnie to nie byłem związany ani z jedną, ani drugą organizacją”.

Matecki doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego koniec jest bliski. Już w grudniu 2023 r. zaczął się pozbywać majątku. Przepisał na rodziców siedem dziesiątych udziału w niedawno zakupionym domu (na który zaciągnął kredyt w wysokości 500 tys. zł), a pozostałą część zostawił żonie. Choć wziął kredyt na dom w 2020 r., w oświadczeniu majątkowym napisał, że w grudniu 2023 r. spłacił już połowę zobowiązania. Mało kto może sobie pozwolić na taki luksus, a większość Polaków swoje kredyty mieszkaniowe spłaca przez kilkadziesiąt lat. Ale, jak wiemy, Matecki „zarobił” dzięki przestępczemu procederowi prawie 1 mln zł.

Przepisanie domu jednak niewiele może pomóc. Otóż Zbigniew Ziobro niechcący zastawił na swojego współpracownika pułapkę. W 2017 r. dokonał zmiany prawa, wprowadzając instytucję konfiskaty rozszerzonej. Państwo może odebrać majątki skazanym za przestępstwa, jeśli ci nie dowiodą, że zdobyli dobra w uczciwy sposób. Matecki zatem będzie musiał udowodnić, że dom spłacił z legalnie zarobionych pieniędzy, a to mało prawdopodobne.

Tuż po decyzji sądu o areszcie dla Mateckiego Adam Bodnar napisał na portalu X: „Ciąg dalszy nastąpi…”. Czyżby następny w kolejce do postawienia zarzutów był Zbigniew Ziobro?

Andrzej Sikorski

Prawdziwe źródła zysków banków

„Przegląd” publikował ostatnio teksty o bankach, które warto uzupełnić refleksją o prawdziwych źródłach wysokich zysków tych podmiotów. Najkrócej: banki są pośrednikami handlującymi pieniędzmi. Od jednych je przyjmują, drugim pożyczają. Przyjęte muszą oddać na każde żądanie, więc trzeba ostrożnie pożyczać. Zarabiają jak każdy pośrednik. Sektor bankowy jest bardzo silnie uregulowany. Prawie wszystko zależy od narzuconych z zewnątrz reguł działania. W ostatnich latach regulacje skłaniają banki do finansowania długu publicznego. W portfelach banków więcej jest papierów rządowych niż kredytów. Aktywa kredytowe zostały dodatkowo opodatkowane, inwestycje w papiery skarbowe – nie. Narzucone zasady zarządzania ryzykiem kredytowym powodują, że wielu klientów ich nie spełnia wymogów. Kredytów jest mało, działalność kredytowa jest kosztowna, wymaga badania ryzyka, obsługi klienta, na niespłaconych kredytach ponosi się straty. NBP utrzymuje wysokie stopy procentowe, więc inwestowanie w papiery skarbowe jest bardzo dochodowe, dodatkowo nie niesie ryzyka.

KLIENT PŁACI ZA WSZYSTKO

Jak się żyje bankierom? Rekordowe zyski banków i rekordowe płace prezesów, a dla ludzi figa

Banki spółdzielcze: życie w czekoladzie

Niegdyś służyły rolnikom, rzemieślnikom i drobnym handlowcom. Dziś marnieje

Dlaczego depozyty są tanie? Mamy inflację i na rynku jest dużo pieniędzy, które trudno kierować na akcję kredytową. Nie ma sensu płacić więcej za pieniądze, których jest nadmiar. Cały mechanizm wynika z gry rynkowej, w której o stopach procentowych decyduje NBP, a rząd – o długu publicznym i podatkach. Oni stworzyli warunki do wysokich zysków banków. Banki z tego korzystają, jak wszyscy na rynku. Nic się nie zmieni, jeśli nie będziemy wskazywać prawdziwych przyczyn krytykowanych zjawisk.

Wiesław Żółtkowski

Więcej o bankach na s. 20

eprasa.pl 8b496024aa

Z Galicji

Jan Widacki

Z dala od wielkiej polityki

Ostatnie dni upłynęły pod znakiem wielkiej polityki. Ameryka wymusiła na Ukrainie zgodę na 30-dniowy rozejm. Poszło jej dość łatwo mimo stosowania odrażających metod. Teraz próbuje wymusić rozejm na Rosji. Tu już chyba tak łatwo nie będzie. Co ma dać 30-dniowy rozejm? Ten zawarty w Korei w 1953 r. też chyba miał być 30-dniowy. Być może innego wyjścia nie było. Musimy mieć świadomość, że świat zachodni poniósł klęskę. Dlatego Trump tak gwałtownie chce się z tego świata wypisać, udaje teraz arbitra między tym światem a Rosją.

Bo co naprawdę ma dać taki rozejm (choćby przedłużany przez następnych kilkadziesiąt lat)? Utrwalenie podziału Ukrainy, zaakceptowanie de facto zdobyczy terytorialnych Rosji z jawnym pogwałceniem Karty Narodów Zjednoczonych. A także ośmieszenie europejskich trybunałów chcących postawić Putina przed sądem jako zbrodniarza wojennego. Nikt już nie ma wątpliwości, że Putin przed żadnym trybunałem nie stanie i dzięki Trumpowi wraca właśnie na międzynarodowe salony.

Musimy też przyjąć do wiadomości, że chociaż udajemy poważnego gracza, nie mamy realnego wpływu na politykę, którą kreują mocarstwa, realizując swoje egoistyczne, globalne interesy. Nie zmienią tego ani polemiki Sikorskiego z Muskiem, ani miny strojone przez prezydenta Dudę pod drzwiami Trumpa, ani jego przyklęki przed kantem Trumpowskiego biurka. A swoją drogą, nie podejrzewam, aby Musk odważył się nazwać „małym człowieczkiem" Ławrowa. I to nie dlatego, że Ławrowa ceni wyżej od Sikorskiego, ale dlatego, że ma respekt przed Rosją. Przed Polską nie ma, bo nie musi. Nie musi więc kryć swojego chamstwa i arogancji.

Zostawmy na chwilę sprawy, na które istotnego wpływu nie mamy, choć nas pośrednio dotyczą. Zostawmy wielką politykę. W małej, lokalnej też jest wiele do zrobienia. Nie mogąc zrobić wiele więcej dla Ukraińców w Ukrainie, nie dokuczajmy przynajmniej ukraińskiej mniejszości w Polsce, okażmy jej nieco więcej empatii.

Mają oto Łemkowie, których po akcji „Wisła" niewielu już w Beskidzie Niskim zostało, swoją Świętą Górę Jawor. Jest to miejsce, jak wierzą, objawień Matki Boskiej, traktowane jako miejsce kultu zarówno prawosławnych, jak i grekokatolików, również ze słowackiej strony granicy. Stoi na górze Jawor kaplica, jest ołtarz polowy, odbywają się do tego miejsca pielgrzymki, odprawiane są nabożeństwa. Tymczasem Nadleśnictwo Łosie zaplanowało w tym miejscu wybudowanie wieży widokowej, doprowadzenie do niej ścieżek edukacyjnych i rowerowych, które w oczywisty sposób zakłócą spokój i powagę tego ważnego dla Łemków miejsca kultu. W dodatku cała inwestycja ma być sfinansowana z programu Interreg Polska-Słowacja 2021-2027. Dla porządku – być może takie są wymogi unijne – zorganizowano konsultacje społeczne, na które zaproszono miejscowe parafie prawosławną i greckokatolicką, a także Zjednoczenie Łemków. Wszyscy zgodnie byli przeciwni. Argumentowali, że zmieni to zasadniczo charakter tego miejsca kultu, tak ważnego dla ich społeczności. Nie zrobiło to żadnego wrażenia. Wymagane projektem konsultacje zostały odfajkowane, projekt będzie realizowany.

Nie mogąc zrobić wiele więcej dla Ukraińców w Ukrainie, nie dokuczajmy przynajmniej ukraińskiej mniejszości w Polsce.

W Beskidzie Niskim mamy wiele pięknych, niewykorzystanych turystycznie i edukacyjnie miejsc oraz bardzo słabą infrastrukturę turystyczną. Jest co robić. Można postawić nie jedną, lecz dziesięć wież widokowych i doprowadzić do nich ścieżki. Ale dlaczego robić to akurat na świętej dla Łemków górze Jawor? Łemkowie protestują i proszą o pomoc. Co na to Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej, które ma sfinansować projekt? Co na to sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych? Co Rzecznik Praw Obywatelskich? Co lokalni posłowie – już nie mówię Lewicy, która na sztandarach ma wypisaną troskę o słabszych – ale też innych partii, którym szacunek dla praw mniejszości, albo chociaż miejsc kultu, powinien być bliski? ■

Przegląd
DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTubie i LinkedIn

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8b496024aa

Paśniki dla swojaków

Jak żerują na nas banki z udziałem skarbu państwa

Grzegorz Rudnik

Małgorzata Sadurska w sali notowań GPW podczas konferencji „Rekordowe zyski spółek fundamentem bezpieczeństwa gospodarczego państwa". 7 kwietnia 2022 r.

28 lutego br. marszałek Sejmu Szymon Hołownia zwrócił się do prezesa NBP o rozważenie obniżki stóp procentowych. W piśmie do Adama Glapińskiego dowodził, że oprocentowanie kredytów, zwłaszcza hipotecznych, jest najwyższe w Europie. Przekonywał, że taka decyzja byłaby ważnym impulsem dla całej polskiej gospodarki, mogącym stworzyć przestrzeń dla inwestycji, nowych miejsc pracy i zwiększenia popytu.

Większość komentarzy była, delikatnie mówiąc, nieprzychylna. Członkini Rady Polityki Pieniężnej Iwona Duda stwierdziła, że ewentualne obniżki stóp procentowych mogą nastąpić dopiero pod koniec 2025 r. i będą niewielkie. Inni podkreślali, że RPP oraz Narodowy Bank Polski są – i powinny – pozostać niezależne od polityków. Czyli mogą postępować, jak chcą, a odpowiadają „przed Bogiem i historią". To, że klienci banków, zwłaszcza ci, którzy zaciągnęli kredyty hipoteczne, są bezwzględnie wyzyskiwani – znaczenia nie ma. Trzeba przy tym zauważyć, że największymi beneficjentami polityki wysokich stóp procentowych są banki z udziałem skarbu państwa – PKO BP i Pekao SA.

Za władzy PiS w partii toczyły się brutalne boje o podział foteli w zarządach banków kontrolowanych przez skarb państwa.

PKO BP zarządza aktywami o wartości ponad 501,5 mld zł. W ubiegłym roku osiągnął rekordowy zysk – 9,3 mld zł. Tuż za nim lokuje się Pekao SA z aktywami na poziomie ok. 305,7 mld zł. Dane dotyczące zysku za 2024 r. nie są jeszcze dostępne – rok wcześniej było to ponad 6,5 mld zł. Z kolei na ósmym miejscu w rankingu największych działających w naszym kraju banków znalazł się Alior, który dysponuje aktywami w wysokości ponad 90 mld zł. Jego głównym udziałowcem jest PZU SA.

Jest też Bank Gospodarstwa Krajowego, w 100% należący do skarbu państwa. Jego aktywa na koniec 2023 r. wynosiły grubo ponad 222 mld zł. Bank ten udziela kredytów i pożyczek przedsiębiorstwom oraz jednostkom samorządu terytorialnego, finansuje projekty infrastrukturalne, zarządza programami europejskimi i dystrybuuje środki unijne, a także wspiera projekty związane z energetyką odnawialną i infrastrukturą cyfrową.

Za rządów PiS na jego czele stała od grudnia 2016 r. Beata Daszyńska-Muzyczka, ciesząca się wsparciem i zaufaniem premiera Mateusza Morawieckiego. Premier Donald Tusk odwołał ją 11 stycznia 2024 r. W połowie kwietnia ub.r. prezesem BGK został Mirosław Czekaj, w przeszłości zasiadający w wielu radach nadzorczych banków, kojarzony z prezydentem Warszawy Rafałem Trzaskowskim. Należy podkreślić, że zarówno Daszyńska-Muzyczka, jak i jej następca to profesjonaliści, mający odpowiednie kwalifikacje, by kierować tym bankiem. Niestety, nie zawsze tak jest.

Kolesie

To, że w bankach kontrolowanych przez skarb państwa zatrudniano partyjnych działaczy, nie jest niczym nowym. Tak działo się w przeszłości i tak dzieje się dziś. Jednak za rządów PiS proceder ten osiągnął rozmiary epickie. Mało tego, w partii toczyły się brutalne boje o podział foteli w zarządach tych instytucji finansowych. Najbardziej znany i dobrze opisany jest przypadek walki o stołki w Pekao SA.

eprasa.pl 8b496024aa

W grudniu 2016 r. zawarta została umowa sprzedaży przez włoski UniCredit za 10,6 mld zł pakietu 32,8% jego akcji Grupie PZU SA. Niemal natychmiast po przejęciu przez nią kontroli nad Pekao prezesem banku został Michał Krupiński – „złoty chłopiec PiS" w dziedzinie finansów, kojarzony z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą i jego komilitonami.

Po zwycięstwie PiS w wyborach z 2015 r. Krupiński został szefem PZU SA. Ściągnął wtedy do centrali brata ministra Ziobry, Witolda, który został doradcą prezesa PZU Życie. W Grupie PZU znalazła się też praca dla żony ministra, byłej dziennikarki Patrycji Koteckiej. Została dyrektorem marketingu w towarzystwie LINK4.

W 2017 r. Krupińskiego z fotela prezesa PZU SA wygryzł wicepremier Mateusz Morawiecki. Stało się to 22 marca, gdy prezes Jarosław Kaczyński był w Londynie. Ziobro nie zdążył z interwencją, ale znalazł miejsce dla byłego już prezesa naszego narodowego ubezpieczyciela w gabinecie prezesa Pekao SA. Krupiński zaś natychmiast ściągnął do banku Witolda Ziobrę, z którym przyjaźnił się od lat. Na tym stanowisku utrzymał się do listopada 2019 r. Oficjalnie odszedł na własne życzenie.

Jego miejsce zajął na chwilę od dawna związany z bankiem Marek Lusztyn, którego zastąpił Leszek Skiba, członek PiS, wiceminister finansów, niekojarzony z frakcjami walczącymi o wpływy w spółkach skarbu państwa. Miał to być pomysł ówczesnego ministra aktywów państwowych Jacka Sasina, który wtedy tasował karty w podległych mu spółkach. Tak skończyły się wpływy Zbigniewa Ziobry w Pekao SA.

W PKO BP działo się podobnie. W 2016 r. fotel wiceprezesa największego polskiego banku objął były poseł PiS z okręgu pilskiego Maks Kraczkowski. Odpowiadał m.in. za obszar bankowości międzynarodowej i transakcyjnej oraz współpracę z samorządami i agencjami rządowymi. Zasiadał poza tym w radach nadzorczych PKO Życie Towarzystwo Ubezpieczeń, PKO Leasing oraz Kredobanku.

Obok Małgorzaty Sadurskiej, szefowej kancelarii prezydenta Dudy, która w czerwcu 2017 r. przeniosła się do zarządu PZU SA, Kraczkowski stał się symbolem polityki kadrowej PiS na najwyższych szczeblach. Byli młodzi – on miał 37 lat, ona – 42. I pazerni. Gdyby nie polityczne kariery, jest mało prawdopodobne, by osiągnęli tak wysokie funkcje w bankowości i ubezpieczeniach. Oraz równie zacne profity.

Symbolem polityki kadrowej PiS na najwyższych szczeblach stali się Maks Kraczkowski i Małgorzata Sadurska, szefowa kancelarii prezydenta Dudy, która w czerwcu 2017 r. przeszła do zarządu PZU SA.

W tamtym czasie do obu banków trafili także działacze PiS skromniejszego szczebla. Co charakterystyczne, nie miało to większego wpływu na wyniki finansowe obu instytucji. Bo też nie jakość zarządzania, lecz reguły prawne decydują o zyskach banków w naszym kraju, zarówno tych pod kontrolą skarbu państwa, jak i prywatnych banków komercyjnych oraz banków spółdzielczych.

W kwietniu 2023 r. Maks Kraczkowski odszedł z zarządu PKO BP. Szacuje się, że zarobił w nim ponad 9 mln zł. Leszek Skiba opuścił stanowisko prezesa banku Pekao SA w maju 2024 r. Zarobił skromne 2,05 mln zł. Czempionem okazała się Małgorzata Sadurska, która w PZU SA zainkasowała ok. 10 mln zł.

Dziś w zarządach tych instytucji zasiadają osoby o wysokich kwalifikacjach, jednoznacznie kojarzone z nową ekipą rządzącą. I zarabiające nie gorzej niż poprzednicy.

Tajemnica sukcesu

Przez lata politycy prawicy wmawiali nam, że banki powinny być w polskich rękach, bo tylko to gwarantuje, że będzie taniej, uczciwiej i w interesie narodowym. Państwowe banki miały finansować rodzimą przedsiębiorczość, budownictwo mieszkaniowe, inwestycje infrastrukturalne itd. Praktyka okazała się inna.

Mimo że udział skarbu państwa w sektorze bankowym to dziś ok. 49%, a dwa największe polskie banki to PKO BP i Pekao SA, dla ich klientów nie ma to najmniejszego znaczenia. Oprocentowanie kredytów oraz wysokość ponoszonych przez nich opłat niewiele się różnią od tych oferowanych przez prywatne banki komercyjne.

Tu nie ma poważnej konkurencji. I być nie może, gdyż wszystko zależy od dwóch instytucji – Narodowego Banku Polskiego, a raczej od decyzji Rady Polityki Pieniężnej, oraz Komisji Nadzoru Finansowego.

List marszałka Hołowni do prezesa NBP prof. Adama Glapińskiego wywołał dyskusję o wysokości oprocentowania kredytów, zwłaszcza hipotecznych. Okazało się, że jeśli Rada Polityki Pieniężnej, utrzymując wysokie stopy procentowe, ma wpływ na poziom wskaźnika WIBOR, to Komisja Nadzoru Finansowego od lat toleruje wysokie marże banków i nie robi wiele, by oferowały one klientom kredyty o stałym oprocentowaniu.

Dodatkowo banki same ustalają wysokość marż. Zazwyczaj było tak, że gdy stopy procentowe (a wraz z nimi stawka WIBOR) rosły, banki obniżały swoje marże. Lecz ostatnio tak się nie dzieje – stopy procentowe ustalone przez Radę Polityki Pieniężnej są wysokie, a marże banków… delikatnie rosną. Ma to przykre konsekwencje, zwłaszcza dla tych, którzy zaciągnęli kredyty hipoteczne.

Można sobie wyobrazić, że RPP obniży stopy procentowe, a Komisja Nadzoru Finansowego wymusi na bankach wprowadzenie kredytów o stałym oprocentowaniu. Wtedy wysokość rat by spadła. Oznaczałoby to również zmniejszenie zysków osiąganych przez banki. Ich władze nie byłyby więc szczęśliwe. Podobnie jak zarządy PKO BP i Pekao SA. A przecież minister finansów potrzebuje pieniędzy. Bardzo dużo pieniędzy. Każdego roku musi sprzedawać obligacje skarbu państwa, by finansować deficyt budżetowy. Gros tych papierów wartościowych kupują

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 8b496024aa

banki działające w naszym kraju, z jednej strony zmniejszając tym sposobem nadpłynność sektora, z drugiej – gwarantując sobie pewny zysk. To samonapędzający się mechanizm, korzystny zarówno dla banków, jak i dla fiskusa. Za to klienci łupieni są z obu stron. Raty kredytów i ponoszone przez nich opłaty są w pewnej części… podatkiem, który trafia do budynku przy Świętokrzyskiej 12. Z kolei minister finansów czuje się komfortowo, wiedząc, że jego potrzeby pożyczkowe zaspokoją banki kontrolowane przez kolegę z rządu – ministra aktywów państwowych.

Oznacza to, że 2025 r. okaże się rekordowy dla sektora bankowego w Polsce. Na straży tego mechanizmu stoją Narodowy Bank Polski i Komisja Nadzoru Finansowego. Dziś nikt nie jest zainteresowany zmianami. Być może z wyjątkiem marszałka Hołowni, którego list do prezesa NBP tak skomentował główny ekonomista Polskiej Rady Biznesu Janusz Jankowiak: „Marszałek ma zbyt małą wiedzę, jak powinna wyglądać polityka pieniężna".

Mają tupet

Na początku marca br. na konferencji prasowej prezes Związku Banków Polskich Tadeusz Białek stwierdził, że według danych ZBP na koniec 2024 r. średnia marża dla kredytów mieszkaniowych wynosiła 1,7%, z czego 0,81 pkt proc. to ryzyko prawne, czyli rezerwy na kredyty we frankach szwajcarskich oraz ryzyko związane z podważaniem umów kredytowych w złotych. Związek Banków Polskich udział podatku bankowego w marży kredytowej określił na 0,24 pkt proc., a koszty operacyjne banków – na 0,65 pkt proc.

„Gdyby ryzyko prawne było niższe, to i marże byłyby niższe", zapewnił prezes Białek. I dodał: „Przy ryzyku prawnym na tym poziomie trudno wyobrazić sobie spadek marż. Ryzyko prawne wyższe od ryzyka kredytowego to sytuacja patologiczna". Szkoda, że prezes Białek nie wspomniał, że kredyty frankowe zostały wymyślone i były oferowane przez banki, które latami zarabiały na nich krocie. A gdy się okazało, że na skutek wyroków sądów europejskich muszą zwracać klientom niesłusznie zarobione na nich pieniądze, odkryły, iż „ryzyko prawne" może stać się częścią marży i w ten sposób da się przerzucić część kosztów na klientów. Przedstawiciele sektora bankowego mogą tak mówić, gdyż banki mają w swoich portfelach obligacje skarbu państwa na ponad 600 mld zł! Żaden premier im nie podskoczy, a minister finansów nie będzie rumakował.

Poza tym w polskim sektorze bankowym nie ma konkurencji. Nie ma banku, który zaoferowałby znacząco niższe oprocentowanie kredytów, szczególnie mieszkaniowych, i w ten sposób wymusił na innych podobne działanie. Instytucje finansowe kontrolowane przez skarb państwa na pewno tego nie zrobią. Mało tego – banki mają pretensje do rządu, że nie oferuje rozwiązań opierających się na programach gwarancji kredytowych oraz obniżaniu oprocentowania kredytów poprzez system dopłat i ulg podatkowych. Bo wtedy, być może, dałoby się coś zrobić.

Już wiemy, że takie rozwiązania prowadzą jedynie do wzrostu cen mieszkań oferowanych na rynku pierwotnym przez firmy deweloperskie, zainteresowane – tak jak banki – maksymalizacją zysków. A ponieważ deweloperzy skazani są na współdziałanie z bankami, jedni i drudzy grają w tej samej drużynie.

Na tym tle list do prezesa NBP jest co najwyżej gestem obliczonym na podbudowanie kampanii prezydenckiej marszałka Hołowni, o której mało kto pamięta. By rzeczywiście zrobić coś, co zmusi banki do obniżenia oprocentowania kredytów, nie tylko mieszkaniowych, powinniśmy prowadzić zupełnie inną politykę gospodarczą niż dziś. Rząd przede wszystkim powinien dbać o to, by inflacja w kraju była możliwie niska. Aby to osiągnąć, trzeba w pierwszej kolejności obniżyć ceny nośników energii – gazu ziemnego, paliw i węgla kamiennego. Rząd powinien też zrobić wszystko, by energia elektryczna była jak najtańsza. To nie jest łatwe zadanie, lecz możliwe.

Dziś Rada Polityki Pieniężnej ustawowo nie musi stać na straży niskiego bezrobocia ani nie musi dbać o wzrost gospodarczy. A powinna. Komisja Nadzoru Finansowego mogłaby skłonić banki, aby nie mydliły oczu klientom „ryzykiem prawnym", które ma przemożny wpływ na wysokość marży. Rząd powinien także zastanowić się, w jaki sposób zmniejszyć deficyt budżetowy, np. poprzez bardziej przemyślane decyzje zakupowe dotyczące Wojska Polskiego. Nie ma w NATO armii, która jednocześnie użytkowałaby trzy rodzaje czołgów – polskie, koreańskie i amerykańskie. To dla specjalistów od logistyki koszmar. W przypadku wojny potrzebne będą trzy rodzaje części zamiennych i trzy rodzaje zestawów narzędzi do napraw. Chyba że koreańskie czołgi będziemy serwisowali w Korei Południowej. O amunicji nie wspominam.

Podobnych przykładów jest znacznie więcej. To jednak się nie zmieni. Dlatego bankom, zwłaszcza największym, możemy już dzisiaj pogratulować rekordowych zysków w tym i nadchodzącym 2026 r.

Grzegorz Rudnik

Maks Kraczkowski zarobił w PKO BP ponad 9 mln zł. Leszek Skiba opuścił stanowisko prezesa Pekao SA w maju 2024 r. Zarobił skromne 2,05 mln zł. Za to Małgorzata Sadurska w PZU zainkasowała ok. 10 mln zł.

Banki mają w portfelach obligacje skarbu państwa na ponad 600 mld zł! Żaden premier im nie podskoczy, a minister finansów nie będzie rumakował.

eprasa.pl 8b496024aa

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Polska-Niemcy: wspólna sprawa!

Takie hasło powinno pojawić się na transparentach. Powinno być skandowane na manifestacjach. Rzecz w tym, że się nie pojawi i nie będzie skandowane. Wszak Niemcy – to odwieczny wróg.

Jakże absurdalna jest jednak ta klisza. I jak krzywdząca. A w każdym razie – jednostronna. Czy wielu naszych rodaków pamięta, że – przepraszam za oczywistości – cała kultura europejska przyszła do Polski przez Niemcy? Że granica zachodnia była przez stulecia najspokojniejszą polską granicą? Że saska dynastia Wettynów była w Polsce tak popularna, że jej powrót na tron w Warszawie zagwarantowała Konstytucja 3 maja? Że upadek powstania listopadowego zrodził w Niemczech specjalny nurt poezji: „Polenlieder"?

Pamięć o tym wszystkim w niczym nie zagraża pamięci o rozbiorach, o zaborze pruskim, o zbrodniach hitleryzmu. Ale pamięć każe też podkreślać rolę Niemiec w ostatnich dekadach, promowanie przez nie europejskich aspiracji Polski. A dziś, po niemieckich wyborach z 23 lutego, poczucie wspólnoty z Niemcami powinno być w Polsce jeszcze silniejsze. Wszak mamy podobne problemy. U nich drugą siłą polityczną stała się Alternative für Deutschland (AfD). U nas PiS i Konfederacja zgarniają razem niemal połowę polskich głosów. Wszystkie te ugrupowania są antyeuropejskie. I wszystkie cieszą się poparciem nowej administracji amerykańskiej.

Friedrich Merz, lider CDU/CSU i prawdopodobny przyszły kanclerz, tak mówił dwa dni po wyborach: „Interwencje Waszyngtonu były nie mniej dramatyczne, drastyczne i wreszcie oburzające niż interwencje, które widzieliśmy z Moskwy. (…) Nigdy się nie spodziewałem, że będę musiał w programie telewizyjnym coś takiego powiedzieć, ale (…) po wypowiedzi Donalda Trumpa jest jasne, że Amerykanom – a przynajmniej tej części amerykańskiego rządu – los Europy jest obojętny". Jak pamiętamy, Elon Musk, szara eminencja Białego Domu, otwarcie lobbował za AfD, a wiceprezydent J.D. Vance zignorował w Monachium kanclerza Olafa Scholza, bo wolał się spotkać z liderką AfD Alice Weidel. Dramatyczny ton wystąpienia Merza zdaje się świadczyć, że istniały inne jeszcze amerykańskie interwencje, które nie przedostały się do wiadomości publicznej. Jak znaczny był wpływ Muska na wyborczy triumf AfD?

Ta partia działa ostrożnie, lecz nie ma wątpliwości, że jest w istocie antypolska: dla terytoriów byłej NRD używa wszak nazwy „Niemcy środkowe". Bo dla niej „Niemcy wschodnie" – to Polska, ściślej mówiąc: jedna trzecia naszego terytorium. W dzisiejszej Europie tylko AfD i Węgry Viktora Orbána sugerują rewizję granic. A Rosja niczego już nie sugeruje – ona zmienia granice siłą. Oto prawicowa międzynarodówka. Ktokolwiek wspiera Trumpa, Vance'a i Muska, ten też wspiera Putina. Ale i bez czynnika rosyjskiego podważa, chcąc nie chcąc, integralność terytorialną, a więc i niepodległość Polski.

Pytanie, czy Ameryka będzie mieszać także w nadchodzących w Polsce wyborach prezydenckich, jest retoryczne. Nie wiemy tylko, jak brutalne środki zastosuje i jak będzie skuteczna. Na razie jesteśmy świadkami grubiaństwa: ostrej krytyki ministra Radka Sikorskiego przez sekretarza stanu Marca Rubia i chamskiego ataku przypuszczonego na szefa naszego MSZ przez Muska. Do wyborów mamy dwa i pół miesiąca, do prawdopodobnej drugiej tury – niecałe trzy. Będzie się działo.

Na razie warto korzystać z niemieckich doświadczeń, by wiedzieć, jak się bronić przed Amerykanami.

Tsunami, jakie zza oceanu uderza w Europę, Niemcy u siebie – choć nie bez strat – zahamowały. Dwaj oponenci, Scholz i Merz, mówią w sprawach Ameryki i Europy jednym głosem, obaj też wykluczają jakiekolwiek porozumienia z AfD. A zatem kordon sanitarny wokół tej partii będzie utrzymany. Powstaje oczywiście pytanie, co dalej, bo teraz Musk na swe interwencje będzie miał już więcej czasu. Na razie jednak warto korzystać z niemieckich doświadczeń, by wiedzieć, jak się bronić przed Amerykanami.

Bronić przed Amerykanami! Napisałem te słowa i się zdumiałem: a więc do tego już doszło, już takie nadeszły czasy? Ano nadeszły i nic na to nie poradzimy. Na razie zatem warto patrzeć na demokratyczne Niemcy. Na przykład na prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera, który akurat w dniu niemieckich wyborów uznał za konieczne przyjechać do Warszawy, by uczestniczyć w pogrzebie Mariana Turskiego. Przybył specjalnie, nie wygłosił żadnego przemówienia, stał skromnie w tłumie. I był jedyną głową państwa – polskiego państwa nie wyłączając. Dopóki więc polityką niemiecką sterują tacy ludzie, Polska może czuć się bezpieczna. O ile w ogóle można być bezpiecznym w dzisiejszym rozchwianym świecie.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8b496024aa

Covidowe dzieci

Deficyt uwagi, problemy z czytaniem, brak samodzielności. Zaczynamy mierzyć się z wpływem pandemii na najmłodszych

Kornel Wawrzyniak

Nauczyciele alarmują, że dzieci urodzone po 2012 r., zwłaszcza najmłodsze roczniki, które w tym roku szkolnym zaczęły naukę, mają ogromne problemy ze skupieniem i umiejętnościami społecznymi. Uczniowie, których pierwsze lata życia przypadły na okres pandemicznego lockdownu, jak również dzieci, które zaczynały w nim naukę, dzisiaj mierzą się z ogromnymi trudnościami. Nauczyciele są bezradni, za to rodzice potrafią jeszcze dołożyć do pieca.

Pokolenie głupków?

Objawem kompletnej ignorancji byłaby opinia, że wychowujemy najgłupsze pokolenie w dziejach. Jednak liczne sygnały od pedagogów i rodziców wskazują, że rośnie nam pokolenie kompletnie inne, często zaniedbane przez dorosłych, bo rzucone na pastwę współczesnych technologii, i to bez większej kontroli. Dorastanie w pandemii oczywiście ma na to wszystko wpływ, ale to jeden z czynników, a nie główny powód sytuacji, z którą od niedawna jako społeczeństwo zaczęliśmy się mierzyć. Gdzie leży więc problem?

„Zaburzenia i problemy behawioralne uczniów zdarzały się zawsze, we wszystkich rocznikach. Lockdown, kolejne fale pandemii i przymus nauki zdalnej oznaczały pozbawienie kontaktu nie tylko z rówieśnikami, ale i z innymi ludźmi poza najbliższą rodziną. Do tego – brak możliwości wyjścia na plac zabaw, boisko, spacer i rodzice pracujący zdalnie w pokoju obok. W szczególnej sytuacji znaleźli się uczniowie aktualnie uczęszczający do klas I-III, dla których były to pierwsze świadome doświadczenia. Stąd m.in. trudności z koncentracją, nieumiejętność komunikowania się, niećwiczone umiejętności społeczne”, tłumaczy portalowi Medonet Anna Wawryszuk, pedagog szkolny.

Problemy ze skupieniem to nie tylko ciągłe popatrywanie w telefon. Jedna z nauczycielek, z 30-letnim stażem, w liście do portalu Onet relacjonuje, jak rodzice wyręczają swoje dzieci we wszystkim, dziwiąc się jednocześnie, że nie są one samodzielne. Część uczniów podstawówek nie potrafi sama zawiązać sobie butów. Nagminne było również odrabianie za dzieci lekcji przez rodziców. Ten problem zniknął, bo skasowano zadania domowe.

– 12-letnia córka mojego brata codziennie go pyta, jakie będzie miała jutro lekcje. Nie ukrywajmy, wszystkie dzieci mają dziś telefon i dostęp do planu. Na dodatek plan wisi na lodówce. Poza tym to już piąta klasa. A co najważniejsze, w podstawówce plan jest ustalany na cały rok. To nawet nie jest żałosne, tylko przerażające. Za sześć lat to dziecko będzie miało już prawa wyborcze. Gdzie nas to zaprowadzi? – dramatycznie pyta Łukasz, inżynier z Krakowa.

Brak wymagań i wysiłku widać na każdym kroku. Nie można wszystkiego zwalić na telefony. A nawet jeśli w nich szukać źródła problemu, to chyba warto zadać sobie pytanie, kto te telefony dzieciom kupuje. Rodzice jednak nadal będą stosowali uniki w rozmowach o swojej odpowiedzialności. Część zgrywa luzaków i opowiada o przestrzeni i wolności dziecka. Inni ukrywają się za demagogami podającymi się najczęściej za psychologów dziecięcych lub specjalistów od tzw. parentingu. Po takim praniu mózgu rodzica, nie dziecka, nagle w domu, zamiast czegoś od pociech wymagać, zaczyna się rozmawiać o dialogu dziecka z samym sobą. Następnie przechodzimy do rozkładania na czynniki pierwsze tego, co nam mówi o sobie dziecko, kiedy nie wrzuca skarpetek do kosza na pranie. Co jednak o rodzicach mówi fakt, że nastoletnie dzieci nie potrafią podać godziny, patrząc na analogowy zegarek? Znak czasów? Nic bardziej mylnego! Warto najpierw sprawdzić aktualny podręcznik do matematyki z klas IV-VI. Mnóstwo zegarów.

> Uczniowie, których pierwsze lata życia przypadły na okres pandemicznego lockdownu, jak również dzieci, które zaczynały w nim naukę, mają dziś ogromne trudności.

Komórkowcy, którzy nie potrafią z nich korzystać

– Druga i trzecia klasa Stasia przypadła na okres ciągłych lockdownów. Chłopiec ledwo poznał kolegów, a już musieliśmy się izolować. Lekcje odbywały się na platformie Microsoft Teams. Nauczyciele nie potrafili z niej korzystać. I nie potrafią do tej pory. Nie nauczyły się więc i dzieci, bo nie miały od kogo. Byłaby to tylko zabawna anegdota,

eprasa.pl 8b496024aa

Podczas lockdownów lekcje odbywały się na platformie Microsoft Teams. Nauczyciele nie umieli i wciąż nie umieją z niej korzystać, więc i dzieci się nie nauczyły, bo od kogo?

gdyby nie fakt, że dziś przez Teamsy dzieci z klasy Stasia mają wysyłać sobie lekcje. Jest nawet wyznaczana osoba, która ma to robić w danym tygodniu. Najczęściej jednak do tego nie dochodzi albo zdarza się wysyłanie pomieszanych informacji z kilku dni, i to późnym wieczorem. Najbardziej niepokoi to, że te dzieciaki nie potrafią streścić, co robiły na lekcji – irytuje się matka ucznia z gdańskiej podstawówki.

Krąży po świecie taki żart: dzieciak w kółko patrzy w telefon, ale zadzwoń do niego – nigdy nie odbierze, bo nie słyszy. Każdy dobry kawał zawiera jakąś bolesną prawdę o rzeczywistości. Jeśli chodzi o umiejętność korzystania z elektroniki, której dzieci używają obecnie bez przerwy, to prawda rzeczywiście jest bolesna.

Z sondaży przeprowadzonych przez CBOS w 2019 r. wynika, że urządzeń elektronicznych używają nawet bardzo małe dzieci. Jedna trzecia rodziców deklaruje, że ich pociechy w wieku między 12. a 23. miesiącem życia już używają urządzeń z ekranami. Badanie przeprowadzone przez naukowców z Akademii Pedagogiki Specjalnej pokazuje zaś, że komórki wpływają bardzo negatywnie na zdrowie psychiczne dzieci. Wśród głównych problemów wymienia się m.in. nadpobudliwość, niepokój, przebodźcowanie, rozdrażnienie, gniew, napady agresji, kłopoty z koncentracją i ze snem. Rodzice zauważali także powiązanie między korzystaniem ze smartfonu a kłopotami z logicznym myśleniem oraz nieumiejętnością określenia swoich zainteresowań i wyrażania emocji.

– Podczas ostatniej lekcji bibliotecznej, którą prowadziłam dla przedszkolaków, od wejścia usłyszałam, że czytanie książek jest bez sensu. Dzieci od razu stwierdziły, że czytanie jest do bani, bo przecież odmawia się im wtedy kontaktu z telefonem. Można wręcz odnieść wrażenie, że traktują ten proceder jako karę – relacjonuje Basia, bibliotekarka z Warszawy. Jej obserwacje pokrywają się z innym głosem. – Większość dzieci ma trudności z koncentracją, nawet jeśli czyta się im bajki na głos. Wiercą się, zaczepiają innych kuksańcem, kopią lub próbują rozmawiać. Część nie jest w stanie wysiedzieć 10 minut, a mówimy o zerówce – mówi grudziądzka przedszkolanka z wieloletnim stażem.

Rodzice wyręczają dzieci we wszystkim, dziwiąc się jednocześnie, że nie są one samodzielne.

Jednocześnie rodzice twierdzą, że korzystanie przez dzieci ze smartfonów daje umiejętność posługiwania się technologią, może również służyć do nauki. To drugie może nawet być prawdą, jeśli rodzice interesują się dzieckiem. Same dzieciaki przyznają jednak, że elektronika taka jak smartfon czy tablet to dla nich przede wszystkim źródło rozrywki i sposób komunikacji na odległość. Plusy używania elektroniki nie równoważą więc minusów. Na przykład tego, że rośnie potrzeba stymulacji wywołana przez ekrany. Potwierdzają to nauczyciele. – W klasie mam dwóch takich

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8b496024aa

uczniów. Jeden potrafi odpłynąć po 10 minutach lekcji. Zaczyna mruczeć pod nosem. Zwróciłam uwagę rodzicom. Po kilku dniach zauważyłam, że dzieciak jest zdecydowanie bardziej skupiony i nie odpływa, tylko że podczas lekcji cały czas dźga się kredką w dłoń. Drugi po rozpoczęciu roku szkolnego prawie wszedł pod samochód, bo gapił się w telefon, idąc chodnikiem, i nie zauważył, że zszedł na jezdnię. W klasie, gdy nie ma telefonu, co chwilę sprawdza kieszeń, czy aby na pewno komórka mu nie wibruje. Obydwaj robią się całkowicie spokojni, gdy grają w Minecrafta. Właściwie się wyłączają i nie potrzebują innych bodźców, a nawet są na nie głusi – to relacja wychowawczyni szóstej klasy.

Dyktat mediów społecznościowych

– Niby że pokolenie Z jest jakoś ogarnięte i zorganizowane? Sportowcy turbo-ekstra-fit, nie jedzą cukru, tylko sypią do wszystkiego słodzik. Siłownia jest elementem szpanu. Ćwiczenia są przy okazji. Rozgryzłem temat już jakiś czas temu. Mój dorosły syn, student, robi sobie wszystkie posiłki z aplikacją. Zero własnej inwencji, skanuje się kody kreskowe z opakowań jedzenia, a aplikacja pozwala albo zabrania coś zjeść, licząc kalorie itd. Mogę wyjść na zgreda, który uważa, że kiedyś to było super, a teraz to telefon. Ale wiem, że stoi za tym kompletna pustka i rolka na Instagramie lub z TikToka. Szczególnie jak złapiesz dzieciaka na wyżeraniu słodyczy z szafki po obiadku fit – nabija się pan Roman.

O pokoleniu Z pisze się co kilka miesięcy – to rewelacje dotyczące najmłodszej generacji na rynku pracy. Część nie stawia się na rozmowy kwalifikacyjne, bo albo godzina jest nie taka, albo siedziba firmy się nie podoba. Młodzi mają też wyśrubowane wymagania dotyczące pracy. Chcą przychodzić na taką godzinę, jaka im się podoba, najlepiej pracować zdalnie z greckiej plaży i jeszcze tyle, ile się podoba, a nie tyle, ile potrzeba. Jakiś czas temu mówiło się o obecnych 18-, 24-latkach, że są pokoleniem płatków śniegu. Niestety, to określenie do nich dotarło i bardzo w nie uwierzyli. Ze względu na media społecznościowe młodzi dorośli bardzo dbają o pozory i autokreację.

– Moja dekadę młodsza kuzynka, singielka, lat 24, wrzuca co kilka dni zdjęcia z siłowni na Instagram. Napisałem jej gratulacje, że dba o siebie itd. Odpisała, że to ściema. Poszła na siłownię raz. Zrobiła kilkadziesiąt zdjęć, a teraz kreuje swój wizerunek. Ma to przyciągać chłopaków oraz dobrze wyglądać w razie rekrutacji do nowej pracy. Co robi w czasie, który mogłaby spędzić na jakiejś aktywności? Netflix – opowiada Łukasz z Krakowa.

Zarówno najmłodsi, jak i młodzi dorośli są ofiarami zaniedbań nie tylko rodziców, ale także decydentów. Kolejne pokolenia przez lata patrzyły na rzeczywistość przez technoentuzjastyczne okulary. To przysłoniło szerszą perspektywę. Nie regulujemy w Polsce właściwie żadnej kwestii związanej z higieną cyfrową życia dzieci. Ministerstwo Cyfryzacji musi wreszcie przestać piać z zachwytu nad big techami. A ministra Nowacka niech już sobie odpuści przeciąganie liny z klerem o lekcje religii i zastąpi je zajęciami z edukacji o świecie cyfrowym.

Wszyscy zaś musimy iść na detoks od elektroniki. I zabrać ze sobą dzieci.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Podatnicy płacą za kształcenie księży

Prof. Ewa Łętowska zwróciła uwagę na błąd w moim artykule „Podatnicy płacą za kształcenie księży" („Przegląd" nr 11/2025). Ta pomyłka wymaga wyjaśnienia. Prezesem Trybunału Konstytucyjnego w grudniu 2009 r. nie był Marek Kotlinowski. Pełnił on jedynie funkcję przewodniczącego w składzie orzekającym. Prezesem TK był wtedy Bohdan Zdziennicki. Warto zauważyć, że orzeczenie nie było jednogłośne. Autorką zdania odrębnego była prof. Ewa Łętowska. Za pomyłkę przepraszam. Błąd na szczęście nie ma wpływu na ogólny wydźwięk artykułu, który dotyczy nie TK, ale państwowych funduszy przeznaczanych na kształcenie księży. Dziękuję prof. Ewie Łętowskiej za zwrócenie mi uwagi.

Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 8b496024aa

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Tęsknota za dzikim kapitalizmem

Mamy modę na deregulację. W nawoływaniach do jej przeprowadzenia w Polsce ewidentnie słychać echa nastrojów zza oceanu. Ale i obawę rządzących dziś sił politycznych, może z wyjątkiem lewicy, przed oddaniem pola Konfederacji. Stąd także spotkanie premiera z przedsiębiorcami i zapowiedź kolejnego. Nie twierdzę, że w tych ruchach nie ma jakiegoś racjonalnego jądra. Z pewnością niektóre przepisy są głupie, inne nieprzejrzyste, a jeszcze inne całkowicie zbędne. Ale niepokoi mnie nuta pobrzmiewająca w wypowiedziach części zwolenników owej deregulacji, zarówno przedsiębiorców, jak i komentujących wszystko kibiców zmian. To ledwo skrywana tęsknota za dzikim kapitalizmem.

Nie przypadkiem tak często padają pochwały pod adresem ustawy Wilczka z końca lat 80., która przyczyniła się do uwolnienia energii gospodarczej Polaków, ale i do ustanowienia dzikiego kapitalizmu, tak charakterystycznego dla naszego kraju w latach 90. Dużo czasu zajęło nam jego cywilizowanie i śmiem twierdzić, że to proces wciąż niedokończony. W tym sensie upieram się, że potrzebujemy kolejnych regulacji. Szczególnie w odniesieniu do relacji kapitału i pracy, pracodawców i pracowników, ale także wielkiego biznesu i zdanych na jego kaprysy małych przedsiębiorców (budownictwo!).

Polska pozostaje krajem niesprawiedliwości społecznej, czego widomym znakiem jest nasz system podatkowy. Dziwię się też, że obecna władza tak się stara umilić życie biznesowi, a ignoruje los pracowników najemnych (ok. 17 mln). Polscy biznesmeni mają dobre, jeśli nie cieplarniane warunki działania, o czym otwarcie mówią ekonomiści. Pracownicy mają się dużo gorzej. Udział płac w polskim PKB nadal jest znacznie niższy niż w wielu krajach Europy, co pokazuje, jak niesprawiedliwy jest podział dochodu narodowego. Już ponad 3 mln zatrudnionych pracuje za najniższą krajową. Nie zmienia się patologiczny rynek pracy – ogromna liczba samozatrudnionych (najwyższa w Europie) pokazuje, że coś tu nie gra.

Poziom uzwiązkowienia sięgnął dna. Nie istnieją zbiorowe układy pracy, znane i stosowane w wielu krajach europejskich od dziesięcioleci (!). Może premier spotkałby się również z przedstawicielami związków zawodowych? Pochylił nad losem pracowników najemnych, którzy są nader licznym elektoratem? Rozumiem, że obecny rząd jest w gruncie rzeczy rządem prawicowym, z lewicą jako mało znaczącym dodatkiem, ale przecież i rządy prawicowe w Europie potrafiły dbać o interes pracowników, czego Niemcy są bodaj najlepszym przykładem.

Po co zatem iść śladem USA i na amerykańską modłę domagać się deregulacji? Gołym okiem widać, że tamten model kapitalizmu zbankrutował, że *american dream* zamienił się w *american nightmare*. Amerykanie zbierają dzisiaj zatrute owoce zwrotu, którego w gospodarce dokonał Reagan. Tylko uporczywe obstawanie przy religii wolnego rynku nie pozwala im dostrzec, że ponad 40 lat temu wkroczyli na ścieżkę wiodącą do upadku. Nawoływania licznych dziennikarzy i ekonomistów, abyśmy śladem Amerykanów uwalniali kapitalizm od regulacji, to nic innego jak namawianie, abyśmy w Europie powtórzyli amerykańskie błędy.

My zaś powinniśmy za wszelką cenę chronić nasz *european dream*, nie dając się zwieść opowieściami o „sklerotycznej Europie". Jakość życia w Europie jest najwyższa na świecie, także dlatego, że nie poszliśmy ścieżką wyznaczoną przez Reagana. Co z tego, że Amerykanie skuteczniej budują efektywność ekonomiczną, skoro jej owoce przypadają garstce wybranych, którzy od nadmiaru pieniędzy zaczynają świrować? Większość Amerykanów nie odczuwa poprawy bytu od kilkudziesięciu lat. Co z tego, że Amerykanie potrafią być innowacyjni na polu cyfrowym, skoro ich wynalazki są narzędziem powszechnego zidiocenia oraz budowania zrębów totalitaryzmu cyfrowego (kapitalizmu inwigilacji)? Tego w Europie chcemy? Braku urlopów macierzyńskich, pracy na okrągło przez dziesięciolecia, bez urlopu i szansy na płatne chorobowe? Obawy przed poważną chorobą, w Stanach często tożsamą z bankructwem? Demontażu państwa w imię bzdurnej ideologii anarchokapitalizmu? Setek tysięcy bezdomnych na ulicach?

Młodzi Polacy entuzjastycznie popierający Konfederację domagają się więcej kapitalizmu w kapitalizmie, nie zdając sobie sprawy, co to znaczy. Że zmniejszenie podatków to przepis na społeczną katastrofę. Że demontaż państwa socjalnego to skazanie się na dominację sił rynkowych, które potrafią zdemolować każde życie. Że brutalna walka wszystkich ze wszystkimi napędzana przez turbokapitalizm prowadzi prędzej czy później do duchowego i fizycznego upadku jednostek, o czym szybko się przekonają młodzi i zdrowi mężczyźni masowo dziś popierający Konfederację, pewni, że nigdy się nie zestarzeją ani nie będą potrzebować pomocy innych.

Budowanie nienawiści do własnego państwa to droga samobójcza dla wspólnoty. Skądinąd elementem tego jest atak na biurokrację. Zapominamy, że bez niej niemożliwy jest byt jakiegokolwiek nowoczesnego państwa. To tysiącom urzędników solidnie wykonujących swoją pracę zawdzięczamy jego sprawne funkcjonowanie. Nie są oni naszymi wrogami, lecz pracującymi za marne pensje strażnikami spokoju i bezpieczeństwa. Doceńmy ich pracę, zamiast rytualnie wieszać na nich psy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8b496024aa

Krwawe zaślubiny z Bałtykiem

Zdobycie Kołobrzegu było pierwszym wielkim samodzielnym zwycięstwem 1. Armii WP i kluczowym etapem walk o Pomorze Zachodnie

Bohdan Piętka

W dniach 4-18 marca 1945 r. rozegrała się bitwa o Kołobrzeg – największa obok walk o przyczółki warszawskie (16-23 września 1944 r.) bitwa miejska stoczona przez Wojsko Polskie walczące na froncie wschodnim. Bitwa o Kołobrzeg należy też do największych bitew oręża polskiego podczas II wojny światowej, obok walk Armii „Poznań" i „Pomorze" nad Bzurą (9-22 września 1939 r.), udziału 2. Korpusu Polskiego w bitwie o Monte Cassino (12-18 maja 1944 r.) i operacji łużyckiej 2. Armii WP (16 kwietnia-4 maja 1945 r.).

Zdobycie Kołobrzegu było pierwszym wielkim samodzielnym zwycięstwem 1. Armii WP i kluczowym etapem walk o zdobycie Pomorza Zachodniego. Pod koniec stycznia 1945 r. 1. Armia WP, działająca w ramach 1. Frontu Białoruskiego, dotarła do Bydgoszczy. Potem przystąpiła do forsowania Wału Pomorskiego, czyli długiego na ok. 270 km systemu umocnień polowych, który powstał w latach 30. XX w. i został rozbudowany przez Niemców w 1944 r. Były to walki bardzo ciężkie i zostały okupione znacznymi stratami, które wyniosły ok. 11 tys. żołnierzy (3130 poległych, 5905 rannych, 1957 zaginionych oraz 349 chorych i ewakuowanych do szpitali).

Główne walki o przełamanie Wału Pomorskiego zakończyły się 12 lutego 1945 r. W kolejnych dniach 1. Armia zdobyła Żabin, Wierzchowo i Czaplinek. Następnie otrzymała od dowodzącego 1. Frontem Białoruskim marsz. Żukowa rozkaz wyjścia na wybrzeże bałtyckie na szerokim odcinku od Kołobrzegu po Zalew Szczeciński, oczyszczenia tego terenu z resztek wojsk niemieckich i zapewnienia obrony przeciwdesantowej. Do 8 marca większość obszaru Pomorza Zachodniego została opanowana przez wojska radzieckie i polskie, a niemiecka Grupa Armii „Wisła" rozbita. Niepowodzeniem zakończyło się jedynie radzieckie natarcie na Kołobrzeg – ogłoszony 28 listopada 1944 r. przez Hitlera twierdzą.

Dwutygodniowy bój

Jako pierwsze zaatakowały Kołobrzeg 4 i 5 marca radziecka 45. Brygada z 1. Gwardyjskiej Armii Pancernej i 272. Dywizja z 19. Armii. Jednostkom tym nie udało się wedrzeć do miasta, którego broniły trzy umocnione linie obrony. Wtedy do walk skierowano część sił 1. Armii WP. Oblężenie z udziałem wojsk polskich rozpoczęło się 7 marca, kiedy do Kołobrzegu dotarli żołnierze 6. Dywizji Piechoty. Następnego dnia pierścień okrążenia zamknęła 3. Dywizja Piechoty. Ponadto w walkach ze strony polskiej uczestniczyły od 13 marca 4. Dywizja Piechoty oraz 4. Pułk Czołgów Ciężkich, wyposażony w 23 czołgi ciężkie IS-2 i 13 ciężkich dział pancernych ISU-122.

Ogółem w dwutygodniowym boju o Kołobrzeg wzięło udział w różnym czasie ok. 29 tys. żołnierzy polskich i radzieckich (w tym 28 tys. polskich). Liczebność sił niemieckich broniących miasta szacowana jest na 8-10 tys. żołnierzy. Byli to żołnierze z różnych jednostek niemieckich (m.in. 3. Armii Pancernej), marynarze i członkowie Volkssturmu, ale także francuscy ochotnicy z 33. Dywizji Grenadierów Waffen SS „Charlemagne" („Karol Wielki"). W czasie walk siły te były wspierane przez pociąg pancerny Panzerzug 72A oraz artylerię okrętową trzech ciężkich krążowników: „Admiral Scheer", „Lützow" i „Prinz Eugen", ostrzeliwujących miasto z morza.

Dowódcą Festung Kolberg został 1 marca 1945 r. płk Fritz Fullriede, przeniesiony do Grupy Armii „Wisła" z frontu włoskiego. W Kołobrzegu na ewakuację drogą morską oczekiwało kilkadziesiąt tysięcy niemieckich cywilów. Fullriede zamierzał walczyć, dopóki ostatni nie odpłyną na transportowcach. Tym należy tłumaczyć zaciekłość niemieckiej obrony. Znaczenie Kołobrzegu podkreślała też propaganda niemiecka, która odwoływała się do obrony twierdzy kołobrzeskiej przez wojska pruskie przed armią napoleońską w 1807 r.

W dwutygodniowym boju o Kołobrzeg wzięło udział w różnym czasie ok. 29 tys. żołnierzy polskich i radzieckich.

Kolejnymi etapami bitwy o Kołobrzeg z udziałem polskich żołnierzy były walki o kościół św. Jerzego oraz Białe i Czerwone Koszary, walki o Wyspę Solną, przełamanie drugiego pierścienia obrony niemieckiej, sforsowanie Parsęty, walki o Stare Miasto, fabrykę farmaceutyczną Anhalt (poległa tam ppor. Emilia Gierczak), gazownię, dworzec kolejowy, parowozownię, warsztaty kolejowe, forty Münde i Kamienny Szaniec oraz port. Walczono dosłownie o każdą ulicę, co prowadziło do znacznego wyczerpania fizycznego i psychicznego żołnierzy po obu stronach.

„Po trzydniowych, bez przerwy prowadzonych walkach i zdobyciu

eprasa.pl 8b496024aa

już kilkunastu ulic nastał okres niesamowitego wyczerpania żołnierzy obu walczących stron. Byli wyczerpani nerwowo i fizycznie. Spowodowało to, że walki toczyły się w dzień, a nocą wszyscy spali pokotem", wspominał Mieczysław Janczewski, jeden z polskich żołnierzy biorących udział w walkach o Kołobrzeg.

Przełom nastąpił w nocy z 13 na 14 marca, kiedy żołnierze 4. DP wyszli na brzeg morza i opanowali główne punkty oporu wroga w śródmieściu. W ciągu następnych dni przełamano trzecią linię obrony i po generalnym polskim szturmie rankiem 18 marca 1945 r. niemiecka obrona Kołobrzegu padła. Do 17 marca Niemcy ewakuowali morzem 40-70 tys. cywilów. Również część sił niemieckich zdołała się ewakuować drogą morską. Kołobrzeg został doszczętnie zniszczony – 90% jego zabudowy legło w gruzach.

Według meldunków 1. Armii WP straty jej jednostek w ciągu 11 dni walk o Kołobrzeg miały wynieść 1013 poległych, 2652 rannych i 143 zaginionych. Po stronie niemieckiej miało zginąć lub odnieść rany ok. 5 tys. żołnierzy, a 4 tys. zostało wziętych do niewoli. Wydaje się jednak wątpliwe, by szturmujący dobrze ufortyfikowane miasto ponieśli mniejsze straty niż jego obrońcy. Według sprawozdania Fullriedego straty niemieckie wyniosły ok. 2,3 tys. poległych, rannych i zaginionych.

Kołobrzeg został doszczętnie zniszczony – 90% jego zabudowy legło w gruzach.

W świetle powojennych ustaleń polskie straty w walkach o Kołobrzeg sięgnęły 4404 żołnierzy, w tym 1206 poległych i zaginionych oraz 3138 rannych.

Wydana w 2005 r. „Kołobrzeska Księga Poległych" Hieronima Kroczyńskiego, oparta na źródłach niemieckich, zawiera dane 1441 Polaków, którzy polegli, zmarli z ran, zaginęli lub stracili życie w wypadkach podczas walk w Kołobrzegu i jego najbliższej okolicy. Straty Armii Czerwonej Kroczyński ustalił na 257 poległych, a niemieckie na 441.

Twierdza Kolberg

Nie ulega wątpliwości, że straty 1. Armii WP w bitwie o Kołobrzeg należały do wysokich i były wyższe od strat 2. Korpusu Polskiego w bitwie o Monte Cassino (923 zabitych, 2931 rannych i 345 zaginionych). O wysokości tych strat przesądziły brak należytego rozpoznania ze strony radzieckiej, a w związku z tym brak świadomości sztabu marsz. Żukowa, że Niemcy przekształcili Kołobrzeg w silnie bronioną twierdzę, oraz błędna taktyka przyjęta przez sztab 1. Armii WP. Zdobywano kolejne umocnienia i linie obrony, zamiast przypuścić atak głównymi siłami w kierunku portu, którego upadek odciąłby Niemcom drogę ewakuacji i uczynił ich dalszy opór bezcelowym. W dodatku większości żołnierzy 1. Armii brakowało przygotowania do walk miejskich.

Żołnierze ci nie mieli doświadczenia w bitwach miejskich, poza 3. DP, która uczestniczyła w okupionym znacznymi stratami desancie na Czerniakowie podczas powstania warszawskiego i walkach o przyczółek czerniakowski (16-23 września 1944 r.).

18 marca 1945 r. około godz. 16 odbyła się ceremonia zaślubin Polski z morzem. Nawiązywała ona do identycznej uroczystości, która odbyła się 10 lutego 1920 r. w Pucku i Wielkiej Wsi z udziałem gen. Józefa Hallera. Kołobrzeskie zaślubiny zorganizowano w forcie Ujście, zlokalizowanym przy ujściu Parsęty do Bałtyku. Stamtąd rozpościerał się widok na morze. W tym miejscu zbudowano podest, ołtarz polowy i ustawiono krzesła. Nie były to jednak pierwsze zaślubiny Polski z morzem w 1945 r. 15 marca 1945 r. miała miejsce ceremonia w Dziwnówku, zorganizowana przez 2. Dywizję Piechoty 1. Armii WP z inicjatywy dowódcy 5. Pułku Piechoty płk. Antoniego Szabelskiego. Natomiast 17 marca taka ceremonia odbyła się w Mrzeżynie z inicjatywy mjr. Stanisława Arkuszewskiego, dowódcy 1. Samodzielnej Warszawskiej Brygady Kawalerii z 1. Armii WP. Głównym organizatorem i być może pomysłodawcą kołobrzeskich zaślubin był zastępca dowódcy 1. Armii WP ds. polityczno-wychowawczych ppłk Piotr Jaroszewicz (1909-1992), późniejszy premier PRL (1970-1980).

Uroczystość zaślubin w Kołobrzegu rozpoczęła się od złożenia raportu przez dowódcę 7. Pułku Piechoty mjr. Stanisława Russijana ppłk. Piotrowi Jaroszewiczowi. Następnie odbyła się msza polowa, którą celebrował kapelan 3. Dywizji Piechoty ks. kpt. Antoni Dudek. Po zakończeniu mszy orkiestra odegrała „Mazurka Dąbrowskiego" i wciągnięto na maszt flagę państwową. Potem

eprasa.pl 8b496024aa

minutą ciszy uczczono poległych i do żołnierzy przemówił ppłk Jaroszewicz: „Stoicie na odwiecznie polskiej ziemi. Tu na polski Bałtyk prowadzi szlak wytyczony przez Chrobrego i Krzywoustego. Żołnierz polski wrócił do Kołobrzegu nad Bałtyk. Zapamiętajcie sobie. To jest historia. Kiedyś o tym dzisiejszym dniu przyszłe pokolenia będą mówić z czcią, jak my mówimy o naszych wielkich przodkach. Wy tworzycie historię, jak niegdyś tworzył ją Chrobry i Krzywousty".

Taka narracja o Ziemiach Zachodnich była później powtarzana przez cały okres Polski Ludowej. Było to nawiązanie do polskiej myśli zachodniej, którą zapoczątkowała endecja na przełomie XIX i XX w. Nawiązanie jak najbardziej świadome. Polska lewica komunistyczna nie stworzyła polskiej myśli zachodniej, ale ją przejęła i uczyniła z niej jeden z fundamentów swojej polityki. Bo wbrew współczesnej narracji o „sowieckiej okupacji" w latach 1944-1989 chciała budować państwo polskie. Takie, jakie było możliwe w ówczesnych warunkach geopolitycznych. A co za tym idzie, szukała też więzi z narodem polskim i jego historią.

Do zaślubin z morzem władze Polski pojałtańskiej przygotowywały się co najmniej kilka dni, jeśli nie tygodni. Dzisiaj określa się to wydarzenie jako „propagandowe". Chodziło jednak nie tylko o podkreślenie powrotu Polski po 800 latach na Pomorze Zachodnie. 1. Armia odniosła w Kołobrzegu pierwsze wielkie zwycięstwo operacyjne, okupione ogromnymi stratami. W jej szeregach służyło wielu żołnierzy pochodzących z Kresów Wschodnich. Doskonale zdawali sobie oni sprawę, że nikłe są szanse powrotu Polski na Kresy. Mieli świadomość, że walczą o nowy dom dla siebie, o zapowiedzianą rekompensatę za straty wojenne, a faktycznie za przyłączenie Kresów Wschodnich do ZSRR. Zaślubiny z morzem były także po to, by pokazać, że ofiary ponoszone przez żołnierzy polskich na froncie wschodnim nie idą na marne.

Ceremonia zaślubin Polski z morzem nawiązywała do identycznej uroczystości z udziałem gen. Józefa Hallera.

Z Kresów nad Bałtyk

Nie było zatem przypadkiem, że aktu zaślubin dokonał pochodzący z Kresów rolnik, kpr. Franciszek Niewidziajło (1902-1978). Rzucając pierścień w morze, powiedział: „Przyszliśmy, morze, po ciężkim i krwawym trudzie. Widzimy, że nie poszedł na marne nasz trud. Przysięgamy, że cię nigdy nie opuścimy. Rzucając pierścień w fale, biorę z tobą ślub, ponieważ tyś było i będziesz zawsze nasze".

Franciszek Niewidziajło pochodził ze Stryjówki koło Zbaraża i w momencie dokonania symbolicznych zaślubin Polski z morzem miał 43 lata. Jego rodzina została tragicznie doświadczona przez wojnę i dwie okupacje. Starszy brat Michał, nauczyciel w Krasnymstawie, został rozstrzelany przez okupanta niemieckiego w Kumowej Dolinie koło Chełma – 3 i 4 lipca 1940 r. zamordowano tam w ramach Akcji AB 115 przedstawicieli miejscowej inteligencji. Młodszy brat Szymon jako komendant Strzelca został deportowany przez NKWD w lutym 1940 r. na Syberię. Zmarł z wycieńczenia w rejonie Magadanu. Sam Franciszek o mało nie zginął w 1943 r. z rąk UPA. W marcu 1944 r. radziecki Wojenkomat zmobilizował go wraz z synem Mieczysławem do Wojska Polskiego walczącego na froncie wschodnim. Opuścił wtedy Stryjówkę na zawsze.

Żołnierzy o takich życiorysach i korzeniach jak Franciszek Niewidziajło było wielu w jego macierzystym 10. Pułku Piechoty 4. Dywizji Piechoty oraz pozostałych jednostkach 1. Armii WP. W armii tej służyli różni ludzie: skierowani z ZSRR oficerowie, niejednokrotnie o polskich korzeniach, dominujący w aparacie politycznym komuniści, ale większość jej żołnierzy stanowili Polacy z Kresów Wschodnich, którzy niejednokrotnie doświadczyli deportacji na Syberię lub dramatu czystek etnicznych przeprowadzanych na Kresach przez nacjonalistów ukraińskich. To oni przywracali Polsce po setkach lat dawne ziemie piastowskie. Bez ofiary życia wielu z nich nie byłoby w granicach Polski Ziem Odzyskanych, o których dzisiaj pogardliwie i bezmyślnie mówi się „tzw. Ziemie Odzyskane". Ziemie te nie były prezentem od Stalina. Bez polskiej krwi przelanej w 1945 r. na Pomorzu nie byłoby takie oczywiste wytyczenie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, Winston Churchill chciał przecież ją wykreślić na Nysie Kłodzkiej i bez Szczecina.

Bohdan Piętka

FOT. NAC(2)

eprasa.pl 8b496024aa

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Kuszenie kamaszami

Gorączka wokółwojenna, podsycanie lęków i brak istotowo poważnej debaty nad innymi scenariuszami rozwiązywania konfliktów międzynarodowych, globalnych, granicznych, ekonomicznych stają się u nas normą. Zaczynamy oddychać militarystycznym powietrzem, przestając je odczuwać, zauważać, chronić się przed jego zabójczym oddziaływaniem. Wszystko to dzieje się w „zdroworozsądkowej" i „realpolitycznej" atmosferze samozadowolenia politycznego centrum. Głos odmienny się nie pojawia, znaki protestu są niewidoczne, opór albo nie istnieje, albo jest niezauważalny. Któryś generał peroruje na YouTubie: „Ewentualna wojna będzie długotrwała, krwawa i większość żołnierzy zawodowych nie dotrwa do końca. To rezerwiści będą jej zasadniczym podmiotem, oni ją skończą". Trzon polskiej armii stanowić będą żołnierze rezerwy, których może zostać powołanych pod broń ponad 340 tys. Donald Tusk rozwija wątki szkoleń, które w ostatnich wersjach są już, na szczęście, planowane jako dobrowolne i niepowszechne. Jeszcze kilka dni wcześniej deklarował, że „trwają intensywne przygotowania do szeroko zakrojonych szkoleń wojskowych dla wszystkich dorosłych mężczyzn". Ale rozmach wciąż jest. Zamierzenia rządu są takie, by szkolić 100 tys. osób rocznie. Dawać kasę – niemałą, 6 tys. zł miesięcznie, bonusować kursami prawa jazdy.

W retoryce Jarosława Kaczyńskiego patos potyka się o śmieszność, tromtadracja wjeżdża na pełnej prędkości: „Musimy mieć – zamiast pedagogiki tchórzostwa – powrót do etosu rycerskiego". Złotousty zbawca narodu z Żoliborza ma więcej przemyśleń: „Chodzi o to, że mężczyźni mają być także żołnierzami, czyli być w stanie także narazić się na śmierć. Co z tego, gdy ktoś będzie bardzo sprawny, ale jego pierwszą myślą będzie ucieczka?".

Bańka prowojenna puchnie aż miło (a raczej bardzo niemiło). Wyścig trwa. Celebryci deklarują, że mimo wieku zgłoszą się na szkolenia. 64-letni Tomasz Sianecki, współprowadzący w TVN 24 program „Szkło kontaktowe", zadeklarował zapis i udział w szkoleniu: „Na trzydniowe przeszkolenie, sprawdzę i obiecuję, że się zapiszę. Tu składam poważną deklarację i naprawdę to zrobię".

Jest jakimś rechotem historii, że w dobie broni nuklearnej, sztucznej inteligencji, dronów bojowych wracają stare śpiewki i klisze militarystycznych zaklęć. Zaraz pojawi się nowy reality show – „Za mundurem panny sznurem" czy inny „Rzut granatem i beretem". Równocześnie zacznie się szukanie i polowanie na zdrajców, odszczepieńców, piątą kolumnę, dezerterów, pacyfistów, anarchistów, lewaków i innych obdżektorów, choć w Polsce po pacyfistach nie ma śladu.

W tym roku minie 70 lat od powstania i publikacji tekstu zwanego Manifestem Russella-Einsteina, pod którym podpisał się także polski, żydowski fizyk Józef Rotblat, pracujący nad powstaniem bomby atomowej w Los Alamos – jedyny z tamtejszych naukowców, który, dowiedziawszy się, że bomba nie zostanie użyta wobec hitlerowskich Niemiec, tylko najprawdopodobniej wobec Japonii – wycofał się z prac. Przez dekady brał potem udział w pracach organizacji Pugwash na rzecz ograniczenia zbrojeń nuklearnych, za co w 1995 r. otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla.

Russell i Einstein proponowali odejście od myślenia o wojnie jako o dostępnym środku rozwiązywania problemów i konfliktów światowych. Pisali: „Musimy nauczyć się myśleć w nowy sposób. Musimy nauczyć się zadawać sobie pytania – nie o to, jakie kroki można podjąć, aby zapewnić zwycięstwo wojskowe tym, których wspieramy, ponieważ takich kroków już nie ma.

Czy powinniśmy wybrać śmierć, gdyż nie jesteśmy w stanie zrezygnować z naszych sporów?

Pytanie, które musimy sobie zadać, brzmi: jakie kroki można podjąć, aby zapobiec konkurencji wojskowej, której konsekwencje niechybnie będą katastrofalne dla wszystkich stron. (…) Wyrzeczenie się wojny wymagałoby ograniczeń suwerenności narodowej – co dla wielu jest nie do przyjęcia. Jednak największą chyba przeszkodą w zrozumieniu sytuacji jest to, że określenie »ludzkość« jest tak niejasne i abstrakcyjne. Ludzie z wielkim trudem dopuszczają do siebie świadomość, że niebezpieczeństwo dotyczy ich samych, ich dzieci i wnuków, a co dopiero, że miałoby obejmować także ledwo skonkretyzowaną w ich głowach ludzkość. (…) Przed nami, jeśli się na to zdecydujemy, stoi nieustanny postęp w zakresie szczęścia, wiedzy i mądrości. Czy powinniśmy wybrać śmierć, gdyż nie jesteśmy w stanie zrezygnować z naszych sporów? (…) Wzywamy rządy świata, aby publicznie przyznały, że drogą do realizacji ich celów nie może być wojna światowa – wzywamy je zatem do poszukiwania pokojowych środków w rozwiązywaniu wszystkich kwestii spornych".

Nie jest pocieszeniem, że po Hiroszimie i Nagasaki nikt już nie doświadczył skutków wybuchu i ataku bronią jądrową – gotowe do uderzenia arsenały nadal zagrażają istnieniu planety i życiu ludzkości. Ale może wciąż nie jest za późno, żeby ćwiczyć pokój, a nie wojnę? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8b496024aa

Kres epoki romantyzmu w polityce

Politycy zapomnieli, że esencją demokracji są rządy ludu i dla ludu

Radosław S. Czarnecki

Nie milkną echa monachijskiej mowy J.D. Vance'a, wzmocnione wydarzeniami w Gabinecie Owalnym z udziałem prezydentów USA i Ukrainy. Pewnie jeszcze to potrwa, drażniąc świadomość i myślenie demoliberalnych elit europejskich. Obydwa te wydarzenia są w pewnym sensie symbolem, przekroczeniem Rubikonu w polityce międzynarodowej. Show, który miał miejsce w Białym Domu na oczach świata, był doskonale wyreżyserowany i zaplanowany przez obydwie strony, jak to celnie określił w jednym z wywiadów znany rosyjski akademik, reżyser teatralny i działacz polityczno-społeczny Siergiej Kurginian, i jest po prostu efektem mediatyzacji, teatralizacji i banalizacji otaczającej nas rzeczywistości. O istocie tych procesów i przewidywaniach, do czego prowadzą, już 40 lat temu pisał Neil Postman w książce „Zabawić się na śmierć".

Europa oraz Polska są zaskoczone. Bo dotychczasowy sojusznik, de facto hegemon, potraktował nas tak, jak traktował innych, nieeuropejskich partnerów. A na to pracowano w Europie latami. Stary Kontynent okazuje się, oprócz swej nikczemności (podwójne standardy), intelektualnych nizin (jakość polityków europejskich jest dramatyczna) i cynizmu (ze wzniosłych zapowiedzi i szlachetnie brzmiących dokumentów w praktyce nic nie wynika), pustą retorycznie konstrukcją. Z jej reprezentantami nikt w świecie pozaeuroatlantyckim się nie liczy. Wystarczy przywołać potraktowanie Ursuli von der Leyen podczas wspólnej wizyty z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem w Pekinie czy pobyty minister spraw zagranicznych Niemiec Annaleny Baerbock w Malezji, Emiratach Arabskich albo Brazylii.

Świat Europie odpłynął

Pogrążenie się w bezkrytycznym zadowoleniu ze swoich osiągnięć, w dysputach nad sprawami, które większości ludzi nie interesują, bo ich nie dotyczą, zwłaszcza gdy żyje się coraz gorzej, zawsze było drogą do rozczarowań, frustracji, w efekcie do klęski. Gdy ów klimat samozachwytu zderza się z problemami trawiącymi resztę niezachodniego świata, widać, jak daleko świat Europie odpłynął.

Wydawało się Europejczykom po obaleniu muru berlińskiego i rozpadzie ZSRR, na kanwie idiotycznej, nierzeczywistej frazy o „końcu historii", z której jej autor Francis Fukuyama chyłkiem się wycofał, że nastały czasy wiecznego, romantycznego spokoju, wzniosłości i szczęśliwości. Oczywiście dla elit. Skandale korupcyjne, które targają środowiskiem brukselskich technokratów, świadczą o tym najlepiej. Dziś, gdy ów hegemon, rozpościerający do tej pory nad Europą atomowy parasol, pokazuje swoje janusowe oblicze, wszyscy są zaskoczeni i przerażeni.

A przecież on taki był zawsze. Po upadku w 1989 r. ideologicznego podziału świata i uśmiechniętej prezydenturze Billa Clintona, szczerego demokraty i liberała, wmówiono wszystkim, że teraz już będzie wyłącznie cool, a euroatlantycki sojusz będzie trwał do końca świata i jeden dzień dłużej. Zapomniano, że nie wszystko oprócz konsumpcji i „kasy" jest wyłącznie post- (postprawdą, postkulturą, posttradycją, postwartościami itd.). Zaowocowało to zanegowaniem wszelkich metanarracji i idei spoza tych uznawanych przez mainstream. Najważniejsze stały się emocje i indywidualizm sprowadzony do absurdu. A taka mieszanka okazuje się dla klimatu intelektualnego depresyjną, indywidualistyczną i egoistyczną.

Nie chciano pamiętać – z ignorancji, serwilizmu czy pospolitego cynizmu – że na długo przed Trumpem prezydenci USA tak samo jak on traktowali najlepszych sojuszników i oddanych partnerów. Jak obszedł się Waszyngton z Ngo Dinh Diemem (Wietnam Południowy), Mobutu Sese Seko (Kongo), Manuelem Noriegą (Panama), Ferdynandem Marcosem (Filipiny), Rezą Pahlawim (Iran) i Saddamem Husajnem (Irak), wspomaganym przez dekadę bronią i funduszami, kiedy prowadził brutalną i krwawą wojnę z Iranem. Nie pamięta się o porzuceniu Europy przez Waszyngton, zdjęć i ujęć filmowych z ewakuacji Amerykanów z Sajgonu czy Kabulu. I porzucanych na pastwę losu amerykańskich współpracowników.

Warto w tym miejscu zacytować słowa, jakie padły z ust prezydenta Lyndona Johnsona w 1964 r. podczas spotkania z ambasadorem Grecji, po objęciu rządów przez zwolennika liberalnej demokracji Jeoriosa Papandreu: „Niech pan posłucha. Mam gdzieś pański parlament i konstytucję. Ameryka jest słoniem, a Cypr i Grecja pchłami. Jeśli będą gryźć, słoń walnie je trąbą. Dajemy Grekom dużo dobrych amerykańskich dolarów, panie ambasadorze. Jeśli wasz premier zacznie gadkę o demokracji, jego parlament i konstytucja mogą mieć krótki żywot". I słoń machnął trąbą. W 1967 r. w Grecji doszło do przewrotu tzw. czarnych pułkowników.

eprasa.pl 8b496024aa

Czym to się różni od tego, co mówił w Monachium J.D. Vance? Albo od rozmowy ówczesnego wiceprezydenta USA Joego Bidena z prezydentem Ukrainy Petrem Poroszenką? Biden zażądał w kategorycznej formie, szantażując Ukraińca odebraniem dotacji finansowych, usunięcia z funkcji prokuratora generalnego Wiktora Szokina. Szokin rozpoczął śledztwo w sprawie nadużyć i korupcji w holdingu Burisma, w którym główną rolę odgrywał syn Bidena Hunter. I Szokin został w ciągu 12 godzin zdymisjonowany.

Trzeba zacząć od zejścia na ziemię

Polityka i relacje międzynarodowe to nie głoszone hasła o uniwersalnych wartościach, wolności, demokracji, swobodzie myśli i słowa oraz prawach człowieka. To twarda rzeczywistość. Bo są różne interesy z tymi wartościami związane. Istnieją i zawsze istniały kultury, które zupełnie inaczej te wartości pojmują. Dobitnie na ten aspekt zwrócił uwagę na konferencji w Monachium minister spraw zagranicznych Indii Subrahmanyam Jaishankar, co nad Wisłą szczebiocące media kompletnie pomijają. Jego wystąpienie było nie mniej krytyczne wobec Europy niż to wygłoszone przez J.D. Vance'a.

Europejscy politycy oraz brukselscy technokraci zapomnieli, że esencją demokracji są rządy ludu, sprawowane przez lud, dla ludu. A jak napisał bliski współpracownik Karola Wielkiego, jednej z pomnikowych dla UE postaci, twórca tzw. szkoły akwizgrańskiej, mnich Alkuin, vox populi, vox Dei. Czyli wybory ludzi, czy się podobają elitom i mainstreamowi, czy nie, mają zawsze swoje uzasadnienia praktyczne. I nie mogą podlegać powszechnemu moralizatorstwu czy napomnieniom z wysoka. Zacząć trzeba od zejścia na ziemię i odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się dzieje. Co powoduje ludźmi, wyborcami, że głosują właśnie na takich polityków, za takimi propozycjami?

Żeby zacząć coś naprawiać, zmieniać, trzeba najpierw zgłębić przyczyny kryzysu. Wymaga to spojrzenia na całokształt przestrzeni publicznej, powrotu do realistycznych, a nie emocjonalnych i marzycielskich, zasad prowadzenia nie tylko polityki przez duże P. Ludzie zdobywający władzę tracą zazwyczaj kontakt z rzeczywistością. Aby tego unikać, moim zdaniem należy zawsze, bez względu na pozycję i zakres posiadanej władzy, pamiętać o tym, by zaczynać od siebie (jak zalecał Sokrates).

A najsmutniejsze jest to, że lewica, będąca formacją polityczną, kulturową, społeczną wsłuchującą się w ów vox populi, wyalienowała się zupełnie z racjonalizmu, realizmu i oczekiwań ludu, swojego naturalnego elektoratu. Została sprowadzona przez polityków mieniących się jej liderami, miałkich intelektualnie i bezideowych, takich jak Tony Blair, do roli przystawki neoliberałów. Jakie przypudrowana lewica osiąga rezultaty, widać na przykładzie ostatnich wyborów w Niemczech, gdzie SPD, najstarsza, najbardziej zasłużona i będąca do niedawna esencją socjaldemokratyzmu i lewicowości partia, miała najgorszy wynik w XX i XXI w. Znamienne. ■

eprasa.pl 8b496024aa

Jan Grabowski

Co naprawdę wydarzyło się w Markowej

Muzeum Ulmów można najlepiej opisać jako modelowy przykład fałszowania historii Zagłady

Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej otwarło swoje podwoje w 2016 r. Markowa leży w południowo-wschodniej Polsce i jest wsią, w której Niemcy zamordowali w marcu 1944 r. ośmioosobową rodzinę Ulmów – ciężarną matkę, jej męża i szóstkę dzieci – oraz dwie żydowskie rodziny, które ukrywały się pod ich dachem. Ulmowie zostali zadenuncjowani przez sąsiada, członka polskiej policji granatowej.

Odwaga i poświęcenie rodziny Ulmów zostały dobrze udokumentowane i znajdują się w centrum wystawy głównej. Ale muzeum ma o wiele bardziej ambitne cele. Oprócz sprawy Ulmów stara się przedstawić wysiłki polskiego społeczeństwa w ratowaniu Żydów na całym Podkarpaciu, rozległym regionie południowo-wschodniej Polski. Podkreśla ogromne zaangażowanie katolickiego kleru, odważne czyny polskiego ruchu oporu i, oczywiście, bezinteresowne poświęcenia rzesz polskich „świadków", którzy ocalili swoich żydowskich sąsiadów podczas Holokaustu. Krótko mówiąc, muzeum Ulmów można najlepiej opisać jako modelowy przykład fałszowania historii Zagłady, gdzie bohaterskie czyny pojedynczych ludzi są ukazane jako moralne wybory polskich mas.

We wsi Polacy znaleźli 28 Żydów i ich zastrzelili, zabrali im wszystko, ofiarom wyrwali nawet złote zęby.

Wypaczanie Holokaustu roi się od pominięć, półprawd i braków kontekstu, pozostawiając nas z błędnym przekazem historycznym. Zacząć można od tego, że podczas wojny Markowa była dużą wsią, zamieszkaną przez ok. 5 tys. ludzi, w której „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej" zostało przeprowadzone przez lokalną ludność, z niemieckiego rozkazu, ale bez niemieckiej asysty. Skoncentrowanie i przetransportowanie miejscowych Żydów do najbliższego niemieckiego punktu koncentracji (kilka kilometrów dalej) zostało przeprowadzone rękoma polskich sąsiadów. Zdecydowana większość Żydów odmówiła zgłoszenia się w miejscu zbiórki, jak im nakazano, i ukryła się w pobliskich lasach. Wtedy zaczęły się obławy. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, miejscowi strażacy i uzbrojeni chłopi przeczesywali lasy, szukając zbiegów. Schwytanych okradali, bili i przekazywali Niemcom na stracenie. Bywało i tak, że miejscowi gwałcili Żydówki i zabijali mężczyzn bez żadnej asysty ze strony Niemców. Jak można się było spodziewać, muzeum w Markowej nie ma nic do powiedzenia na temat tego aspektu stosunków polsko-żydowskich podczas wojny. Celem muzeum jest przekazanie nam dowodów przyjaźni polsko-żydowskiej oraz pokazanie nam szlachetnych postaw i poświęcenia miejscowej ludności.

Żeby zrozumieć, co się naprawdę wydarzyło w Markowej, i dlaczego decyzje takich ludzi jak rodzina Ulmów były wyjątkowe, musimy wysłuchać głosów nielicznych ocalałych. Głosów, których nie da się usłyszeć w muzeum w Markowej. Jakub Einhorn był Żydem z Markowej, jedynym ocalałym ze swojej licznej rodziny. Po wojnie, rozpaczliwie poszukując sprawiedliwości i zadośćuczynienia, zeznał przed polskim sądem:

„Było to 12 grudnia 1942 r. – a datę tę pamiętam specjalnie dobrze, ponieważ poprzednio 8 grudnia, tj. we środę, zamordowano mi żonę i jedno dziecko. W niedzielę, to jest 12 grudnia, w czasie kiedy ja sam oraz moje 3 siostry oraz 1 brat ukrywaliśmy się u Katarzyny Bar, usłyszeliśmy, jak znajomy mi dobrze Michał Trznadel głosem donośnym zwoływał ludzi do zgromadzenia się koło Szmula domu, tj. koło domu mojego ojca Samuela Einhorna. […] za jakiś czas usłyszałem gwar na podwórzu oraz krzyk moich sióstr. Domyśliłem się, że odbywa się obława na Żydów, dlatego sam ukryłem się w kurniku i dzięki temu nie zostałem odnaleziony. Siedząc w ukryciu, słyszałem, a częściowo i widziałem to, co się działo na podwórzu. Widziałem wyraźnie, jak na podwórze sąsiednie Wojciecha Kluza ze stodoły zostali wyprowadzeni moi dwaj bracia przez Wojciecha Krauza i Orzechowskiego (zięcia blacharza z Markowej). Byli tam też i inni mężczyźni, lecz nazwisk ich dzisiaj nie pamiętam. Zauważyłem, że jeden z braci moich ma rozciętą głowę i krew mu spływa po twarzy, a w czasie tym usłyszałem z rozmowy uczestników obławy, że głowę bratu rozciął Orzechowski z Krauzem w czasie bicia go

eprasa.pl 8b496024aa

Otwarcie wystawy „Byli sąsiadami: ludzkie wybory i zachowania w obliczu Zagłady" w muzeum w Markowej, 26 stycznia 2022 r.

Rodzina Ulmów.

w stodole. Następnie sam, obserwując podwórze, zauważyłem, jak Krauz Wojciech bił w dalszym ciągu mojego brata po głowie. Wtedy to Antoni Bar czynił wyrzuty Wojciechowi Krauzowi: »dlaczego go bijesz, czy mało, że wydajesz go na śmierć?«. W dalszym ciągu obserwując […] zauważyłem, że komendantem grupy, która dokonywała poszukiwań, był Andrzej Rewer, ówczesny komendant warty. Następnie zauważyłem, że ujętych moich braci zaprowadzono do położonego naprzeciw domu Franciszka Niemczaka i zamknięto w piwnicy. Zaraz potem grupa pod wodzą Rewera udała się na dalsze poszukiwania. Znaleziono Żyda, którego nazywano »Stanisław«, i który ukrywał się na aryjskich papierach. W międzyczasie inne grupy ludzi dokonywały obławy w innych miejscach wsi i na polach, przy czym niektórzy z uczestników jeździli na koniach. W wyniku tych poszukiwań ujęte zostały i inne osoby, i sam widziałem, jak przyprowadzono i zamknięto w tej samej piwnicy Rywkę Tencer z dwoma córkami i małym dzieckiem. Kto przyprowadził te kobiety, nie rozpoznałem, albowiem koło piwnicy tej było kilkanaście osób. Obława trwała aż do zapadnięcia nocy […] jakiś nierozpoznany głos zawiadomił stojących mężczyzn, że pod Albigową ukrywa się Zelik [Zelig] z żoną i dziećmi. Ponieważ ktoś odezwał się, że Zelik posiada broń, nikt nie chciał pójść go ujmować bez asysty policji i wówczas zadzwonili na gestapo do Łańcuta. Za jakieś dwie godziny usłyszałem, że znowu przywieziono jakichś ludzi i jak zorientowałem się, był to Zelik z rodziną, których przywieziono furmanką i zamknięto w piwnicy […]. Zelików ujął Andrzej Rewer, Michał Szpytma i inni członkowie Straży Pożarnej. Zamkniętych w piwnicy ludzi pilnowano całą noc, a czynił to osobiście, uzbrojony w karabin, Andrzej Rewer. Słyszałem od Franciszka Bara, że Rewer zaproponował sołtysowi, by nie zawiadamiać gestapo, a tylko dać jemu samemu po 50 zł od głowy, i on osobiście wszystkich Żydów zastrzeli. Następnego dnia, co wiem od Michała Drewniaka, Rewer sam powiązał wszystkich ujętych i wyprowadził na okop koński, gdzie była już policja i ludzi tych zastrzeliła. Wiadomo mi, że cała Straż Pożarna oraz inni mężczyźni ze wsi brali udział w obławie […]".

Gdybyśmy mieli wierzyć Michałowi Szpytmie (pochodzącemu z Markowej, wicedyrektorowi IPN), który był kuratorem wystawy w muzeum w Markowej, Jakub Einhorn musiał po prostu błędnie zrozumieć całą sytuację. To jedynie Niemcy, jak pisze, szukali Żydów w Markowej. Jedna z ich ofiar prowadzona na egzekucję – mówi nam Szpytma, jako współautor książki o rodzinie Ulmów – zawołała do swojego polskiego sąsiada: „Żegnaj, mój przyjacielu!". Tyle Szpytma. Zamiast słuchać urzędnika IPN, posłuchajmy lepiej, co mieli do powiedzenia ocalali Żydzi. Mosze Weltz ukrywał się w pobliżu Markowej. Po wojnie, w 1947 r., złożył świadectwo przed Żydowską Komisją Historyczną:

„Wtedy, podczas akcji [w Sieniawie], część Żydów uciekła, część ukryła się w bunkrach. Wiedzieli o tym Polacy i na własną rękę zorganizowali polowanie na Żydów, aby ich obrabować, a potem zamordować. We wsi pod Łańcutem [o nazwie] Markowa Polacy znaleźli 28 Żydów i ich zastrzelili, zabrali im wszystko, ofiarom wyrwali nawet złote zęby. Hersztem tej grupy Polaków był Antoni Cyran. Przejął wszystkie żydowskie posiadłości, a dziś żyje wciąż w tej samej wsi. W tej samej wsi, Markowej, w masowym grobie leży ponad 200 Żydów z całej okolicy, którzy przez cały ten czas zastrzeleni zostali przez Polaków".

FOT. KRZYSZTOF KAPICA/EAST NEWS, IPN

eprasa.pl 8b496024aa

Yehuda Ehrlich, inny ocalały, ukrywał się w Sieteszy, pobliskiej wiosce leżącej za niewielkim wzgórzem, niecałe 2 km od ostatnich zabudowań Markowej. Zeznanie Ehrlicha, znajdujące się teraz w archiwum Jad Waszem, jest przejmujące i trafia w sedno:

„Były to ciężkie czasy […]. Trwały rewizje przeprowadzane przez Niemców oraz przez polskich chłopów, którzy chcieli znaleźć ukrywających się Żydów. Na wiosnę 1944 r. wykryto żydowską rodzinę ukrywającą się u polskich chłopów. Całą tą polską rodzinę – osiem dusz wraz z ciężarną żoną – zamordowano razem z ukrywającymi się u nich Żydami. W wyniku tego powstała wśród polskich chłopów, którzy ukrywali Żydów, wielka panika. Następnego ranka na polach odnaleziono 24 ciała Żydów. Zostali oni pomordowani przez samych chłopów – chłopów, którzy ukrywali ich w ciągu [poprzednich] 20 miesięcy".

W świetle tych zeznań kwestia ratowania Żydów w Markowej (i w okolicy) nabiera zdecydowanie odmiennego znaczenia. Ukrywanie Żydów było, bez żadnej wątpliwości, najniebezpieczniejszą ze wszystkich form konspiracji. Jednak prawdziwym zagrożeniem dla Sprawiedliwych Polaków nie byli Niemcy – stacjonujący w Przeworsku czy Łańcucie i niemający pojęcia o miejscach pobytu ukrywających się Żydów – ale sąsiedzi, którzy brali udział w obławach albo byli gotowi zadenuncjować do władz osoby udzielające schronienia. Ukrywanie Żydów w Polsce podczas wojny było tak niebezpieczne właśnie dlatego, że nie istniało społeczne przyzwolenie na to, żeby się angażować w tego rodzaju działania. Niestety, w muzeum w Markowej brakuje tej istotnej części historycznego kontekstu. Głosy ocalałych Żydów giną w zgiełku polskiego, narodowego samozadowolenia. To, co widzimy w muzeum w Markowej, to nie jest historia, lecz kolejny przykład Roszady Sprawiedliwych zastosowanej w celu obrony mitu niewinnej Polski.

Muzeum w Markowej nie jest wolno stojącym i odosobnionym przedsięwzięciem; to część większej ofensywy pamięci. W Michniowie, małej wsi leżącej 160 km na południe od Warszawy, w pobliżu Kielc, w 2017 r. otworzono z wielką pompą Muzeum Martyrologii Wsi Polskich. Michniów został spacyfikowany przez Niemców 12-13 lipca 1943 r. 200 mieszkańców stracono w trybie doraźnym za pomoc niesioną partyzantom, a ich domy spalono. Nowe muzeum upamiętnia jednak nie tylko tragedię Michniowa, ale także poświęcenie wszystkich polskich chłopów z całej Polski podczas II wojny światowej.

Tuż za muzeum w Michniowie rozciąga się wielki las, gdzie w sierpniu 1944 r. oddział partyzantów AK zamordował 50 Żydów.

Wystawa główna prezentuje historię mieszkańców polskich wsi, cierpiących pod sowiecką i niemiecką okupacją. Na zewnątrz muzeum rzędy krzyży trzymają straż nad wielkimi głazami reprezentującymi polskie wsie spacyfikowane przez Niemców albo przez ukraińskich nacjonalistów. Pomysł został najwyraźniej zapożyczony z Treblinki, gdzie podobne kamienie symbolizują unicestwione społeczności żydowskie. Przed opuszczeniem muzeum zwiedzający przechodzą przez ciemny korytarz, w którym znajduje się ekspozycja poświęcona polskim chłopom ratującym Żydów. Wystawa jest kalką z ekspozycji z Markowej. Są tam Sprawiedliwi Polacy z medalami Jad Waszem, są wdzięczni za ocalenie Żydzi i są niemieckie akcje odwetowe. Jednym słowem – Roszada Sprawiedliwych w czystej postaci. Muzeum, które (jeśli wierzyć jego nazwie) powinno ukazywać martyrologię polskich wsi, jest kolejną lukrowaną, patriotyczną, wspartą na mitach relacją o Polsce niewinnej.

W muzeum w Michniowie na próżno szukać wzmianki o życiu Żydów na polskiej wsi – a żydowska wiejska społeczność w rejonie kieleckim była prawdziwie interesującym zjawiskiem. Obławy po wsiach, łapanki Żydów, a następnie wywożenie ich do najbliższych gett w latach 1940-1942 powtarzały się setki razy w całym okupowanym kraju. Niestety, w muzeum nie ma na ten temat ani słowa. Bodzentyn, w którym 12-letni Dawidek Rubinowicz pisał swój dziennik, zanim zabrano go do Treblinki, znajduje się zaledwie 10 km od muzeum.

„12 sierpnia [1940]: przez całą wojnę uczę się samodzielnie w domu. Kiedy myślę o tym, że chodziłem do szkoły, to chce mi się płakać, a dzisiaj muszę siedzieć w domu i nie mogę nigdzie pójść.

1 września [1940]: wspominam to, przez co przeszliśmy już w tym krótkim czasie, ile cierpienia już doświadczyliśmy.

6 maja [1942]: Tato! – Tato, gdzie jesteś? Chciałbym cię jeszcze raz zobaczyć… A potem zobaczyłem go na ostatniej ciężarówce; oczy miał zaczerwienione od płaczu. Patrzyłem na niego cały czas, póki nie zniknął za rogiem, potem miałem nagły atak płaczu i poczułem, jak bardzo go kocham, i jak bardzo on kocha mnie…".

W muzeum w Michniowie nie ma ani jednego słowa o małym Dawidku, o jego życiu i śmierci. Podczas akcji likwidacyjnych latem i jesienią 1942 r. z polskich wsi skierowano setki tysięcy Żydów do transportów śmierci – w muzeum w Michniowie nie ma na ten temat ani słowa. A potem nastąpiły obławy i palenie domów, w których Żydzi znaleźli schronienie. Też nic. Tuż za muzeum w Michniowie rozciąga się wielki las. To tam, w sierpniu 1944 r. – mniej niż 2 km od imponującego budynku – oddział partyzantów „Barwy Białe" Armii Krajowej zamordował 50 Żydów – dzieci, kobiety i mężczyzn, uciekinierów z fabryki-obozu pracy HASAG w Skarżysku-Kamiennej. W muzeum – ani słowa o tym. To jest muzeum polskiego cierpienia, koniec i kropka.

Fragmenty książki Jana Grabowskiego *Wybielanie: Polska wobec zagłady Żydów*, Vis-à-vis Etiuda, Kraków 2024

eprasa.pl 8b496024aa

Knajpka z kurdyjską muzyką na żywo. Jeszcze w latach 90. jej wykonywanie i słuchanie było zabronione.

Turcja: koniec terroru?

Choć po oświadczeniu Abdullaha Öcalana niektórzy otrąbili historyczny sukces, sprawa może nie być aż tak prosta

Marcelina Szumer-Brysz
Korespondencja z Turcji

Pod koniec lutego, po przeszło 40 latach, odsiadujący wyrok dożywocia w tureckim więzieniu lider Partii Pracujących Kurdystanu Abdullah Öcalan ogłosił rozwiązanie organizacji i wezwał bojowników do złożenia broni. Niektórzy uważają, że to historyczny sukces, ale nie wszystko jest takie proste.

•

Do izmirskiej siedziby zdelegalizowanej już kurdyjskiej partii wchodzę prosto z ulicy. Nie jestem umówiona, bo nie sądzę, by ktoś tak po prostu zgodził się ze mną rozmawiać. Przychodzę więc bez zapowiedzi, a zgromadzonym w niewielkim pomieszczeniu ludziom nie wypada mnie wyprosić. Sadzają mnie za stołem, proponują herbatę, a na wieść, że jestem dziennikarką, jeden przez drugiego zaczynają opowiadać o tym, że Turcy zamykają Kurdów w więzieniach. Wymieniają: przewodniczący partii siedzi od trzech lat, wiceprzewodnicząca – od kilku miesięcy. W Syrii do Kurdów strzelają, a Öcalana trzymają już kolejną dekadę.

– To człowiek legenda, bohater, mąż stanu. Jemu zawdzięczamy to, kim jesteśmy. Od lat zabiega o pokój i pojednanie, ale nikt go nie słucha.

Zupełnie co innego słyszałam od tureckich przyjaciół, także tych z kurdyjskimi korzeniami. Dla nich, jak dla większości Turków, Abdullah Öcalan to terrorysta numer jeden, a Partia Pracujących Kurdystanu jest źródłem wszelkiego zła. Krewni niektórych zginęli w zamachach, inni wciąż pamiętają walki między bojownikami a tureckim wojskiem, zasieki i czołgi w miastach (ostatnio w 2015 r. w Diyarbakırze).

Nie inaczej uważali tureccy politycy. Gdy Öcalan poskarżył się Trybunałowi Praw Człowieka, a sędziowie zgodzili się, że jego proces nie był bezstronny, Recep Tayyip Erdoğan pełniący wówczas funkcję premiera powiedział, że oczywiście proces można powtórzyć: „Jeżeli świat chce kolejny raz przyjrzeć się szczegółom kryminalnej działalności tego terrorysty, jesteśmy w stanie mu to umożliwić, ale przypominam,

eprasa.pl 8b496024aa

że w Turcji mamy niezależny wymiar sprawiedliwości".

Terrorysta czy bohater?

A jednak ów terrorysta niekiedy politykom się przydawał. W 2019 r., w trakcie kampanii przed wyborami na burmistrza Stambułu, Öcalan zaapelował ustami prawników, by kurdyjscy mieszkańcy metropolii nie dali się wciągnąć w grę polityczną i raczej głosowali na kandydata Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP). Podobnych sytuacji było więcej i nie przypadkiem miały miejsce przed kolejnymi wyborami.

Öcalan to dla Kurdów człowiek legenda, bohater, mąż stanu. Jemu zawdzięczamy to, kim jesteśmy.

Najnowszy zwrot w trwającej dziesięciolecia historii miał miejsce kilka miesięcy temu, kiedy Devlet Bahçeli, lider nacjonalistycznej Partii Narodowego Działania (MHP), która pozostaje w koalicji z rządzącą Partią Sprawiedliwości i Rozwoju prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana, zaczął nawoływać do rozmów z Öcalanem.

Ten ruch wprawił Turków w osłupienie. Bahçeli, niegdyś zagorzały wróg wszelkich rozmów, zwolennik wykonania kary śmierci, na którą pierwotnie skazano pojmanego w 1999 r. Öcalana, a którą po zmianie tureckiego prawa zamieniono na dożywocie, zaszokował rodaków, twierdząc, że lider PKK powinien z sejmowej mównicy wyrzec się przemocy i rozwiązać organizację. Zasugerował jednocześnie, że jeśli tak się stanie, Abdullah Öcalan mógłby liczyć nawet na amnestię. Kilku parlamentarzystów oburzyło się do tego stopnia, że wysłało Bahçelemu sznur wisielczy – taki sam jak ten, z którym przed laty wyszedł na mównicę i grzmiał o karze śmierci dla Öcalana. Inni sugerowali, że polityk nie wie, co mówi, obarczając winą jego zaawansowany wiek.

Bahçeli się nie przejmował. Regularnie powtarzał nawoływania przy milczącej aprobacie prezydenta. W końcu i Erdoğan przemówił, stwierdzając, że oto otwiera się „historyczne okno możliwości".

„Niewykorzystanie okazji, by otworzyć drzwi nowej ery Turcji wolnej od terroryzmu, byłoby nieodpowiedzialne", mówił jeszcze w grudniu, dodając, że czas uleczyć rany zadane tureckim i kurdyjskim sercom przez terroryzm ostatnich 40 lat. „Jeśli zapadną decyzje i organizacja terrorystyczna podejmie niezbędne kroki, wszyscy zwyciężą", powiedział Erdoğan, zastrzegając, że jeśli PKK pozostanie głucha na to pokojowe wezwanie, znajdzie inne metody, by wyzwolić Turcję od terroru.

Öcalan wzywa: złóżcie broń

Bahçeli naciskał, a odwiedzający więzienie politycy zapewniali, że kwestią dni jest oświadczenie, które zaprowadzi pokój. Öcalan jakoby uznał, że w świetle działań tureckiego rządu może wygłosić historyczne oświadczenie. I rzeczywiście, 27 lutego odczytano – po turecku, kurdyjsku, angielsku i arabsku – historyczne słowa lidera PKK: „Zwołajcie kongres i podejmijcie decyzję: wszystkie grupy muszą złożyć broń, a PKK musi się rozwiązać. Wzywam do złożenia broni i przyjęcia historycznej odpowiedzialności za ten apel".

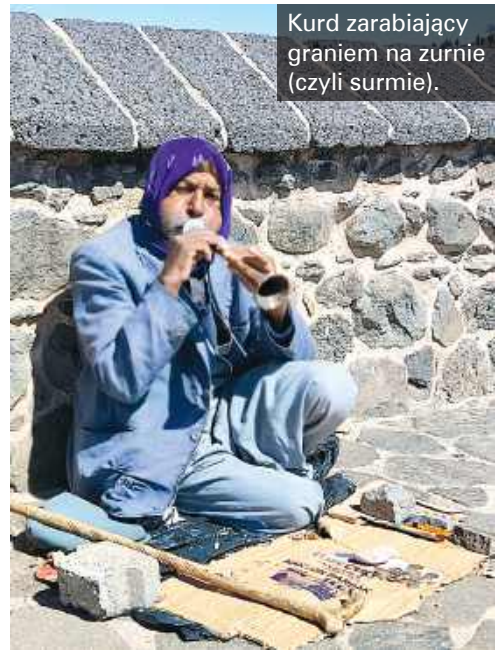
Kurd zarabiający graniem na zurnie (czyli surmie).

W oświadczeniu była też mowa o pozytywnej atmosferze stworzonej przez partie polityczne w Turcji, Devleta Bahçelego i prezydenta Erdoğana…

Choć nie wszyscy wierzyli, że to możliwe, jeszcze tego samego dnia liderzy Partii Pracujących Kurdystanu potwierdzili, że podporządkują się wezwaniu lidera. „Aby utorować drogę do realizacji wezwania Apo (pseudonim Öcalana – przyp. red.) do pokoju i demokratycznego społeczeństwa, ogłaszamy zawieszenie broni obowiązujące od dziś", oświadczyło kierownictwo PKK i ogłosiło plan rozpoczęcia negocjacji pokojowych. Bojownicy zamierzają zwołać nadzwyczajny kongres, ale oczekują, że Öcalan będzie osobiście zaangażowany w jego organizację. To ich wstępny warunek.

„Negocjacje są nieuniknione, a warunki bardzo sprzyjające", uważa Mala Bakhtiar, kurdyjski polityk z Iraku. Dowódca peszmergów, znajomy Öcalana, w telewizyjnej rozmowie na kanale Rudaw powiedział, że choć Turcja przez 40 lat z całych sił próbowała, nigdy nie udało się jej pokonać PKK, tym bardziej należy więc uszanować to, że organizacja podążyła za słowami lidera. Polityk przypomniał, że już w 1993 r. namawiał Öcalana, by porzucił walkę zbrojną. „W tamtym czasie przywódcy PKK mieli inny pogląd", podsumował.

W kurdyjskich mediach mówi się też o tym, co tureckie wolą pomijać: że to nie jest pierwsze wezwanie lidera PKK do pokoju. „Na długo przed tą wiadomością PKK była gotowa na pokój – zauważył Khalil Ataj, były członek kierownictwa tej organizacji. – Apo już w 1997 r. był gotowy na pokój, gdy otrzymał list od tureckiego premiera Necmettina Erbakana".

Z drugiej strony – twierdzą analitycy – PKK powstała z powodu zaprzeczania tożsamości kurdyjskiej. Teraz, gdy nikt już tego nie robi, jej istnienie staje pod znakiem zapytania.

eprasa.pl 8b496024aa

Przed domem opowiadaczy w Diyarbakırze.

Dengbêj Evi w Diyarbakırze – dom kurdyjskich opowiadaczy historii przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Zmiana prawa?

Sądzi się, że PKK rozwiąże się po nadzwyczajnym kongresie, ale nie wiadomo, kiedy miałby on się odbyć. Ponadto samo wezwanie do pokoju to za mało. Co z byłymi bojownikami? Co z tymi, którzy dziś odsiadują wyroki w tureckich więzieniach? Kurdyjscy analitycy uważają, że potrzebne będą zmiany w tureckim kodeksie karnym i prawie antyterrorystycznym. „Niektóre prawa mogą zostać zmienione, aby umożliwić uwolnienie niektórych członków PKK z więzienia, podczas gdy inni mogą zostać przeniesieni do regionu Kurdystanu lub krajów skandynawskich – uważa Zirjan Rojhelati z Rudaw Reaserch Center.

Dokąd miałby się udać sam Öcalan, gdyby rzeczywiście opuścił więzienie? W Turcji nie mógłby przecież zostać. Może do Syrii? Już kiedyś tam mieszkał. Zbiegł w 1980 r., chwilę przed wojskowym zamachem stanu. Szefował już wtedy Partii Pracujących Kurdystanu, marksistowskiemu ugrupowaniu, którego utworzenie poprzedził wielomiesięczny maraton po kurdyjskich wioskach i miastach, gdzie Öcalan przekonywał o konieczności walki o kurdyjską tożsamość. Trudno uwierzyć, że ten sam człowiek pragnął dawniej wstąpić do tureckiej armii, ale tak było. Odrzucono go, skupił się więc na studiowaniu politologii i zafascynował ideologią marksizmu i leninizmu. To wtedy pierwszy raz trafił za kratki za dystrybuowanie rewolucyjnych ulotek. Wszelkie przejawy komunizmu były bowiem w Turcji ostro tępione.

Samo wezwanie do pokoju to za mało. Co z byłymi bojownikami? Co z tymi, którzy dziś odsiadują wyroki w tureckich więzieniach?

Bojówki na wskroś lewicowej PKK od razu zaangażowały się w trwające już od jakiegoś czasu walki między lewicą a prawicowymi nacjonalistami, w których imieniu zabijała – również działaczy kurdyjskich – organizacja znana jako Szare Wilki. Ale PKK zwalczała też tzw. wrogów wewnętrznych, czyli Kurdów o umiarkowanych i prawicowych poglądach, liderów plemiennych i posiadaczy ziemskich, w myśl zasady „kto nie jest z nami, jest przeciw nam”. Rozlew krwi został na chwilę powstrzymany przez wojskowy zamach stanu we wrześniu 1980 r. Öcalan jednak uciekł wraz z towarzyszami w przededniu przewrotu i znalazł schronienie w Syrii, gdzie pozwolono mu działać i szkolić bojowników. W 1982 r. PKK zadecydowała o rozpoczęciu wojny partyzanckiej z Turcją i wkrótce zaczęła wcielać ten plan w życie. Ulice znowu spłynęły krwią zarówno kurdyjskich bojowników, jak i tureckich żołnierzy.

Pojmanie Öcalana w 1999 r. okazało się prawdziwą sensacją. Lider PKK, wydalony z Syrii, zbiegł do Kenii i to tam dopadli go agenci tureckiego wywiadu. Ich samolot został przemalowany tak, by udawał maszynę, którą Apo miał wylecieć do Holandii, z cypryjsko-greckim paszportem wystawionym na nazwisko Lazaros Mavros. Konwój z greckiej ambasady, w której ukrywał się zbieg, został podmieniony przez inne auta. Öcalan do końca sądził, że wsiada do właściwego samolotu. Podczas procesu przyznał się do winy. Nie wypierał się walki zbrojnej ani ambicji separatystycznych.

Marcelina Szumer-Brysz

FOT. MARCELINA SZUMER-BRYSZ (4)

eprasa.pl 8b496024aa

Bastion demokracji walczącej

Mateusz Mazzini

Dlaczego instytucje w Brazylii wytrzymały atak skrajnej prawicy?

Podobieństwa są tak wyraźne, że trudno uwierzyć w ich przypadkowość. Słusznie, bo chodzi nie o zwykłe zbieżności polityczne, lecz o przykłady strategii realizowanej za pomocą tych samych instrumentów, z tych samych pobudek, choć w dwóch różnych krajach.

Bliźniacze historie

Prawicowy populista dochodzi do władzy legalnie, na fali powolnego rozkładu umowy społecznej, pogłębiania się nierówności oraz spadku zaufania do poprzednich, mainstreamowych formacji. Podczas pierwszej kadencji szybko pokazuje, że nie ma pojęcia o rządzeniu. Antagonizuje zagranicznych sojuszników, osłabia instytucje, nie wierzy w praworządność. Jest przy okazji prezydentem antynaukowym, a że jego rządy przypadają na pandemię koronawirusa, sprzeciw wobec zachodniej medycyny połączony z katastrofalnym zarządzaniem kryzysowym kosztuje życie setek tysięcy współobywateli. Jednocześnie próbuje tworzyć nowy model rządzenia, pozbawiony idei, skrajnie oportunistyczny, nastawiony na zysk. Model ten eksportuje wszędzie, gdzie się da.

Problemy zaczynają się jednak wraz z walką o reelekcję. Elektorat jest zmęczony pandemicznymi kryzysami, chce zmian. Gospodarka się kurczy, inwestycje publiczne stoją w miejscu. Nawet najbogatsi zaczynają wspierać rywali populisty, mimo że wprowadził ulgi podatkowe właśnie dla tych zamożnych, szybko zapominając o swoich pierwotnych, uboższych wyborcach. Urzędujący prezydent może nie jest najwybitniejszym umysłem swoich czasów, ale dynamikę zmian politycznych rozumie doskonale. Wie, że jeśli straci władzę, oznaczać to będzie także utratę parasola ochronnego przed wymiarem sprawiedliwości. Jeśli przyjdą inni, zaczną węszyć. Postawią zarzuty, być może wtrącą do więzienia. Bo materiału im nie zabraknie. Co innego z wolą polityczną, tu istnieją wątpliwości. Wniosek jest jeden, trzeba zrobić wszystko, dosłownie wszystko, żeby przy władzy się utrzymać.

> Jair Bolsonaro nawet gdyby chciał, nie mógłby walczyć o prezydenturę w najbliższych wyborach. Ma zakaz ubiegania się o funkcje publiczne do 2030 r.

Rozpoczyna się więc dwutorowa kampania (dez)informacyjna. Z jednej strony, podkopujemy wiarygodność niezależnych instytucji państwowych. Jeszcze przed wyborami alarmujemy, że zostaną one sfałszowane, a przygotowania do tego już trwają. Maszyny zostały zhakowane, urzędnicy przekupieni, przeciwna strona nie gra czysto. Z drugiej – mobilizujemy najzagorzalszy elektorat do walki, rozumianej jako walka fizyczna, na śmierć i życie. Pod szyldem obrony państwa i demokracji zagrzewamy do bojkotu ewentualnej nowej władzy. A kiedy najgorszy scenariusz zaczyna się urzeczywistniać, spuszczamy psy ze smyczy. Pozwalamy im zaatakować budynek parlamentu w stolicy, sugerując, że to jeden z tych momentów „teraz albo nigdy". Rywali trzeba zatrzymać każdym sposobem. Niestety dla prezydenta populisty, to się nie udaje. Władza wraca do mainstreamu, zaczyna się okres rozliczeń.

Do tego momentu możemy mówić o podobieństwach. Na pierwszy rzut oka przytoczona historyjka to opis pierwszej kadencji Donalda Trumpa. Ale nie tylko – jak ulał pasuje bowiem do Jaira Bolsonara, nieprzypadkowo nazywanego przecież „Trumpem tropików". Jeden inspirował się drugim, chętnie razem się fotografowali, nawet ich synowie, Donald Jr i Eduardo, współpracowali przy organizacji konserwatywnej międzynarodówki spod znaku MAGA. Długo ich trajektorie na siebie nachodziły, dzielili ten sam los. Obaj też przegrali wybory z doświadczonymi przeciwnikami, którzy w dodatku reprezentowali opcję najbardziej przez Trumpa i Bolsonara znienawidzoną – klasyczny główny nurt czasów minionych. Politykę dziś wręcz archaiczną, uprawianą za pomocą instytucji i wehikułów partyjnych, a nie mediów społecznościowych.

Tym, co różni obu populistów, są ich losy po tragicznej w skutkach porażce. Trump przetrwał nawałnicę, zachował zasoby finansowe, wrócił jeszcze silniejszy i robi wszystko, by już nigdy nie przegrać, może nawet likwidując wybory i demokrację jako taką. Bolsonaro na razie o takiej perspektywie może pomarzyć.

Skreślony Bolsonaro

Dlaczego w największym kraju Ameryki Łacińskiej, czwartej największej demokracji świata, o populacji przekraczającej 200 mln obywateli, udało się obronić instytucje państwowe przed zamachem stanu? Dlaczego – choć to przecież demokracja znacznie młodsza od amerykańskiej, z sięgającą drugiej połowy XX w. historią brutalnej dyktatury wojskowej – w Brazylii prawdopodobieństwo powrotu populisty do władzy jest w tej chwili małe? Dlaczego brazylijscy prokuratorzy konsekwentnie dążą

eprasa.pl 8b496024aa

Jair Bolsonaro nieprzypadkowo nazywany jest „Trumpem tropików". Nz. spotkanie w Białym Domu, marzec 2019 r.

do postawienia byłemu prezydentowi zarzutów kryminalnych, a tamtejszy sąd najwyższy wszedł w otwarty spór z Elonem Muskiem i nie ugiął się pod presją jego szantaży? Dlaczego brazylijska demokracja wytrwała, podczas gdy ta amerykańska może niebawem przestać istnieć?

Może dlatego, że samo pojęcie demokracji znaczy coś zupełnie innego w kraju, który musiał ją sobie wywalczyć, a pamięć o tej walce jest żywa w społeczeństwie. Bo demokracja nie jest pojęciem uniwersalnym i nie oznacza wszędzie tego samego.

To ważna prawda na temat świata polityki. I faktycznie nie ma w nim terminów uniwersalnych. Prawo, państwo, ustrój demokratyczny czy dyktatura mogą oznaczać różne rzeczy w różnych kontekstach. Gdyby o definicję dyktatury zapytać Chilijczyków, czyli naród na 17 lat zniewolony przez Augusta Pinocheta, dyktatura miałaby także wymiar ekonomiczny. Za zmianą ustroju politycznego i jego militaryzacją poszła bowiem zmiana doktryny gospodarczej. Pinochet utorował drogę do neoliberalnej utopii, która stworzyła trudny do zarządzania dzisiaj kraj z gigantycznymi nierównościami materialnymi. Opresja może być wprowadzana z karabinem w ręku, ale także odczuwalna w portfelu.

Tak samo jest z demokracją, co widać najlepiej na przykładzie różnych dróg Bolsonara i Trumpa. Brazylijski wymiar sprawiedliwości ewidentnie posługuje się definicją demokracji, w której nie mieści się podburzanie zwolenników do zamachu stanu. To demokracja o wyraźnie zarysowanych granicach, a już na pewno nie bezzębna. Wręcz przeciwnie, zapożyczając to pojęcie od Donalda Tuska, bez zawahania można określić brazylijskie państwo w 2025 r. mianem demokracji walczącej, a więc takiej, która nie tylko się broni, ale też potrafi zaatakować.

Bolsonaro głosi, że jest pewien swojej niewinności i nie może się doczekać procesu.

Jair Bolsonaro nawet gdyby chciał, nie mógłby walczyć o stanowisko w najbliższych wyborach prezydenckich, zaplanowanych na 2026 r. Ma zakaz ubiegania się o funkcje publiczne do 2030 r., nałożony przez brazylijską komisję wyborczą w czerwcu 2023 r. Powodem decyzji było rozpowszechnianie przez niego nieprawdziwych informacji dotyczących systemu wyborczego w kraju. A że Bolsonaro robił to także w rozmowach z ambasadorami innych państw, komisja uznała takie zachowania za działanie na szkodę kraju.

Dodatkowo Bolsonaro dopuścił się oszustw w czasie pandemii, sfałszował nawet swój paszport szczepionkowy – z tego powodu zabrano mu normalny paszport, uniemożliwiając podróże zagraniczne. Urzędnicy nie zawahali się przed nałożeniem kar również dlatego, że dowody obciążające Bolsonara były niezbite. Świadkowie zeznawali, że przekonywał ich do teorii o sfałszowanych wyborach. Swoimi rewelacjami dzielił się także z elektoratem, wysyłając podobne treści bezpośrednio do wyborców poprzez media społecznościowe.

Jak populista z populistą

Bolsonaro próbuje oczywiście zakaz zdjąć, ale szanse ma mizerne. Kampania przed przyszłorocznymi

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 8b496024aa

wyborami już powoli się rozkręca, a były prezydent, choć pozostaje popularny, nie byłby dziś faworytem. Nie zmienia tego nawet kryzys zaufania wobec obecnej władzy i lewicowego przywódcy, Inacia Luli da Silvy. Lula jest słaby, dosłownie i w przenośni – ma ogromne problemy zdrowotne, niedawno przeszedł poważną operację czaszki. Bolsonaro mimo to go atakuje, próbując w ten sposób zmobilizować elektorat.

Ogromne nadzieje wiązał też z powrotem do władzy Trumpa, nie tylko na poziomie analogii. Brazylijski populista dosłownie liczy, że Biały Dom będzie wywierał na Brazylijczyków presję, by dopuścili eksprezydenta do wyścigu wyborczego. Zresztą na pewnym poziomie to już się dzieje, bo amerykański przywódca wypisuje gniewne teksty pod adresem brazylijskich sędziów na należącej do niego platformie społecznościowej Truth Social.

Po drugiej stronie stoi jednak poważny oponent, raczej niesklonny do kompromisów. Alexandre de Moraes, dziś sędzia sądu najwyższego, a wcześniej członek państwowej komisji wyborczej, czyli instytucji, którą populiści najchętniej zrównaliby z ziemią. To on wydał otwartą wojnę zarówno Muskowi, jak i Bolsonarowi.

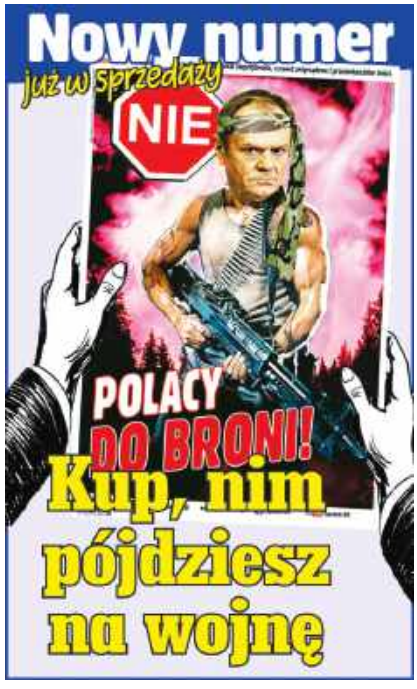

W sprawie tego drugiego prowadził śledztwo dotyczące malwersacji w czasach pandemii, tworząc opozycję wobec prezydenta jeszcze przed wyborami z 2022 r. To również on zagroził zablokowaniem Twittera/X w Brazylii, gdy krajowe przedstawicielstwo należącej do Muska platformy odmawiało wykonywania wyroków sądów dotyczących usunięcia wpisów nawołujących do przemocy i zawierających mowę nienawiści. To oczywiście system naczyń połączonych, bo źródłem konfliktu z Twitterem jest właśnie planowany przez Bolsonara zamach stanu.

Wpisy, które miały zniknąć z platformy, dotyczyły apeli byłego prezydenta o niedopuszczenie administracji Luli do władzy. Musk nie chciał na to się zgodzić, więc de Moraes nie tylko wydał zakaz działania Twittera na terenie Brazylii, ale też zagroził wysokimi mandatami każdemu użytkownikowi, który chciałby ten zakaz ominąć za pomocą VPN. Choć sam Elon Musk z pieniędzmi już się nie liczy, to dla spółki utrata dostępu do brazylijskiego rynku – czyli ponad 22 mln użytkowników – byłaby sporym ciosem. Ostatecznie to siłowanie się na rękę wygrał de Moraes, bo platforma kontrowersyjne wpisy usunęła. Musk się wycofał, zwyciężyła demokracja.

Niepewna przyszłość

A to nie koniec, bo przyszłość Jaira Bolsonara może się rozstrzygnąć dopiero teraz. Wraz z 36 innymi osobami ma usłyszeć zarzuty uczestnictwa w zbrojnej próbie obalenia rządu. Dokładna treść zarzutów nie jest znana, bo akt oskarżenia został utajniony, a zgodę na posadzenie byłego prezydenta na ławie oskarżonych musi jeszcze wyrazić sąd najwyższy. Znowu dowody są silniejsze niż w śledztwie przeciwko Trumpowi w związku z atakiem na Kapitol z 6 stycznia 2021 r. Wynikają po części ze specyfiki uprawiania polityki w krajach Ameryki Łacińskiej.

Bardzo popularną metodą komunikacji z elektoratem są tam grupy czy kanały na komunikatorze WhatsApp, na których czasami pojawiają się wiadomości od samych polityków. Właśnie tak było w przypadku Bolsonara, mobilizującego w ten sposób elektorat. Nie będzie zatem trudno powiązać go z atakiem na budynek parlamentu w Brasílii ze stycznia 2022 r. Już nie mówiąc o dowodach poważniejszych, np. zeznaniach dowódców sił zbrojnych, którzy potwierdzają, że Bolsonaro szukał u nich poparcia dla swoich planów.

Trump też został postawiony przed sądem. I świetnie to wykorzystał. Zebrał miliony na kampanię, budując przy okazji wizerunek ofiary prześladowań politycznych.

Z procesem wiąże się oczywiście ogromne ryzyko polityczne i być może w tym miejscu drogi Bolsonara i Trumpa znów się zbiegną. Obecny prezydent USA też przecież został postawiony przed sądem. I świetnie to wykorzystał. Zebrał miliony na kampanię, budując przy okazji wizerunek ofiary prześladowań politycznych. Mówił tak nawet wtedy, gdy procesy nie dotyczyły jego jako prezydenta, tylko jego zeznań podatkowych czy opłacania milczenia gwiazdy filmów porno. Takie rozróżnienie było bez znaczenia, geniusz mediowy Trumpa pozwolił mu wykorzystać sytuację. Podobnie może być z Bolsonarem, który już zaczyna stosowne zabiegi. Mówi, że jest pewien swojej niewinności, a procesu nie może się doczekać.

Pytanie, czy zdąży. Na wybory w 2026 r. już pewnie nie, ale w roku 2030 jeszcze mógłby spróbować. Będzie miał 74 lata. Dużo, ale może nie za dużo. Kluczowy okaże się więc ewentualny wyrok skazujący. Bo już teraz widać, że w Brazylii demokrację definiuje się bardzo sztywno. I co za tym idzie, dla skazańców chcących zostać prezydentami nie ma w niej miejsca.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8b496024aa

Boy nadal aktualny

Nie znosił moralizatorstwa, a tych, którzy temu się oddawali, nazywał amatorami-kaznodziejami

Rozmawia Adam Jaśkow

Odnoszę wrażenie, że pani biografia Boya cieszy się większą popularnością niż poprzednie książki, „Panny z »Wesela«", „Muzy Młodej Polski" czy nawet biografia Wyspiańskiego.

– Pod względem sprzedanych egzemplarzy na pewno, natomiast odczuwam niedosyt rozmów o Boyu i wokół Boya, tekstów poświęconych jego działalności i sprawom, o które walczył. To są, niestety, wciąż nasze sprawy – nie jego, ale nasze, bo, jak się okazuje, po niemal stu latach pozostają aktualne. Mam wrażenie, że w powszechnym odbiorze Żeleński tak bardzo zrósł się z anegdotą i legendą 20-lecia międzywojennego, że z pewnym przymusem dopuszczamy do siebie to, że był postacią pełną sprzeczności, a tamta epoka, na którą patrzymy z sentymentem, to także okres ostrych porachunków politycznych, kryzys gospodarczy, konflikty na tle narodowościowym, prywatny i publiczny antysemityzm.

Pani książki dotyczą specyficznego okresu w historii kultury i Krakowa, który znów stał się centrum życia kulturalnego i intelektualnego Polaków, przestał być miastem prowincjonalnym.

– To prawda, ale patrzę na to miasto głównie przez pryzmat moich bohaterów i bohaterek, a także atmosfery, którą tworzyli. Pod tym względem Kraków jest dla mnie dokumentem czasu i epoki.

Moim zdaniem istnieje pewne podobieństwo między postawami intelektualnymi Tadeusza Żeleńskiego i Stanisława Wyspiańskiego, np. w kwestii ich stosunku do tradycji, historii, choć każdy z nich wyrażał to na swój sposób.

MONIKA ŚLIWIŃSKA
– założycielka strony internetowej o Tadeuszu Boyu-Żeleńskim i autorka jego biografii „Książę" (Wydawnictwo Literackie)

Monika Śliwińska – laureatka Nagrody Klio III stopnia w 2015 r. w kategorii autorskiej za książkę „Muzy Młodej Polski" o siostrach Pareńskich. Nominowana do Nagrody Identitas 2018 za książkę „Wyspiański. Dopóki starczy życia". Laureatka Krakowskiej Książki Miesiąca Lutego 2021 za „Panny z »Wesela«" o siostrach Mikołajczykównach, za którą otrzymała również Nagrodę Artystyczną Miasta Lublin za 2021 r. i znalazła się w finale Nagrody Literackiej Nike 2021 r.

– Dzieliło ich pięć lat – kiedy Wyspiański zdawał maturę, Żeleński kończył trzecią klasę. To duża różnica. Łączyło ich jednak wspólne Gimnazjum św. Anny, kadra pedagogiczna i program, w którym kładziono duży nacisk na literaturę romantyzmu, kult Mickiewicza, patriotyzm w duchu romantycznym. Po latach jako dojrzali twórcy wracają w swoich dziełach literackich do tamtych zagadnień: diagnozują nasze problemy społeczne i problemy z polskością. I chociaż Wyspiański pisze w latach poprzedzających odzyskanie niepodległości, a Żeleński już w wolnej Polsce, to obaj na różny sposób nawołują do przebudzenia, mówią, że czas grobów i martyrologii się skończył, że trzeba na nowo zinterpretować własną tożsamość narodową. Wyspiański mówi to poprzez „Wesele", „Akropolis", „Wyzwolenie" i „Legion", gdzie istotną rolę odgrywa figura Mickiewicza. Żeleński poprzez recenzje teatralne, w których pisze wprost, że utwory powstałe w czasach niewoli nie wytrzymują próby czasu, że literatura powinna odzyskać niepodległość, bo czujemy się przytłoczeni poezją bagnetów i dramatami udręczonej polskiej duszy.

O Wyspiańskim mówiono, że jest sumieniem narodu. Diagnoza, którą postawił w „Weselu", do dziś przytłacza aktualnością. Po odzyskaniu niepodległości takim autorytetem był Stefan Żeromski, który w swoich utworach oddawał nastroje tamtego czasu. I teraz może zaskoczę część osób czytających, ale po jego śmierci wielu chciało widzieć w tej roli Żeleńskiego, przed czym on osobiście się wzbraniał.

Nie wiemy, czy Boy był ateistą, na pewno był antyklerykałem, i to chyba co najmniej od czasów studiów. Choć wychowywany był raczej

eprasa.pl 8b496024aa

w wierze katolickiej. Czy można określić, kiedy ukształtowały się jego poglądy? Na pewno był modernistą, istotna była dla niego wiedza naukowa.

– Poglądy człowieka kształtują się przez całe życie, a zdolność do przemiany pod wpływem procesów życiowych i wewnętrzne przyzwolenie na to są oznaką jego dojrzałości. Trudno mi wypowiadać się w kwestii cudzych poglądów opartych na wierze. Znane jest stanowisko Boya wobec ekspansji Kościoła, a równolegle nie zaskoczyło mnie to, że utrzymywał kontakty z osobami duchownymi ani to, że po oficjalnym potwierdzeniu śmierci Zofia Żeleńska zamówiła mszę w jego intencji w warszawskim kościele św. Anny. Na własnej linii życia Żeleński był innym człowiekiem w Krakowie, Warszawie i we Lwowie, ale wszystkie te okresy spajał jego racjonalizm i wiara w wartości humanistyczne.

Mimo pochodzenia krytykował też konserwatywne struktury społeczne. O ile pamiętam, brał udział w konkursie na pamiętniki chłopskie i robotnicze, a z jednym uczestnikiem nawiązał dłuższą listowną relację. W wielu recenzjach rozwijał kontekst społeczny, krytykując nierówności.

– Krytykował fałsz i obłudę, które dostrzegał w sarmackich sentymentach przywoływanych przez konserwatystów jako symbol polskości. Nie znosił moralizatorstwa, a tych, którzy temu się oddawali, nazywał amatorami-kaznodziejami. Jednocześnie, tak jak pan zauważył, był bardzo uwrażliwiony na nierówności społeczne i jego zapatrywania na te sprawy przebijają się także w recenzjach. Pamiętam serdeczny list, który napisał do Urke Nachalnika, znanego przestępcy recydywisty, pod wrażeniem jego książki biograficznej. Ale wcześniej, bo w 1930 r. przeczytał „Życiorys własny robotnika", książkę Jakuba Wojciechowskiego nagrodzoną w konkursie Polskiego Instytutu Socjologicznego, i napisał do autora. Tak nawiązała się między nimi pewnego rodzaju zażyłość i korespondencja, która trwała co najmniej siedem lat. Żeleński wysoko oceniał umiejętności pisarskie Wojciechowskiego, może nawet zbyt wysoko. Podsyłał mu książki z Biblioteki Boya, które Wojciechowski czytał. Stale zachęcał go też do pisania, zabiegał o gratyfikacje dla niego, umieszczał jego opowiadania w „Kurierze Porannym".

Był postacią pełną sprzeczności, a tamta epoka to także okres ostrych porachunków politycznych, kryzys gospodarczy, konflikty na tle narodowościowym, prywatny i publiczny antysemityzm.

Największa aktywność publicystyczna Boya przypadła na okres próby konsolidacji systemu prawnego Rzeczypospolitej, gdy działała Komisja Kodyfikacyjna. Jej uczestnicy okazali się nad wyraz nowocześni, choć nie przełożyło się to na wprowadzone przepisy. W „Piekle kobiet" Boy cytuje prawnika Aleksandra Lednickiego: „Uważam, że tu się ścierają dwa światopoglądy: jeden z końca XIX w., reprezentujący liberalizm, demokrację i sprowadzenie do minimum ingerencji państwa w życie osobiste obywateli. (...) Drugi biegun to powojenna reakcja przeciw zepsuciu obyczajów, obrona społeczeństwa i – w rezultacie – nawrót do państw policyjnych XVIII w.".

– Kiedy Żeleński rozpoczął walkę o humanitarne paragrafy, Polska znajdowała się w szczególnym momencie: ponad 10 lat po zakończeniu I wojny światowej u nas nadal obowiązywały kodeksy państw zaborczych. Rozpoczęcie pierwszej wielkiej kampanii o nowoczesne ustawodawstwo cywilne, a zaraz potem o prawa kobiet, w momencie, kiedy Komisja Kodyfikacyjna Rzeczypospolitej Polskiej pracowała nad nowymi zapisami, było niczym innym jak wołaniem o podjęcie ogólnopolskiej dyskusji i zaangażowanie w sprawy własnego kraju. Moment był dobry, bo w składzie Komisji Kodyfikacyjnej zdania na temat karalności aborcji były podzielone. Presja opinii publicznej mogła dużo zmienić. Ostatecznie zwycięstwo Boya w tych kwestiach było minimalne. Kodeks karny z 1932 r. wprawdzie uwzględnił wskazania medyczne i prawne, ale pomijał postulowane przez niego społeczne przesłanki do terminacji ciąży. Podobnie rzecz miała się z zapisami obniżającymi karę więzienia za aborcję, które przecież nie rozwiązywały problemu. Śluby cywilne w Polsce pojawiły się dopiero po wojnie.

W kampaniach prowadzonych przez Żeleńskiego na łamach prasy, w której publikował równolegle felietony teatralne, istotne jest to, w jaki sposób stara się kierować czytelniczki i czytelników na drogę dojrzałości obywatelskiej i samostanowienia. Jego kampanie prawne o wprowadzenie ślubów cywilnych, dekryminalizację aborcji i związków jednopłciowych to nic innego jak nawoływanie do przebudzenia – jak u Wyspiańskiego – do tego, abyśmy nie byli bierni i wzięli odpowiedzialność za ustawodawstwo kraju, w którym żyjemy.

Twórczość Boya mimo wyraźnego światopoglądu nie wpisywała się w ówczesne podziały polityczne, choć Żeleński obracał się w środowisku piłsudczyków. Przynajmniej do czasu.

– Dopóki nie zabrał się do publicystyki społecznej, a więc do 1929 r., był pisarzem popularnym i cenionym

FOT. NATALIA WIERZBICKA, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 8b496024aa

za działalność translatorską. O jego przekładach pisali z uznaniem późniejsi przeciwnicy: Adam Grzymała-Siedlecki i Stanisław Miłaszewski. Ale równolegle, mam wrażenie, był też w jakiś sposób lekceważony, niebrany na serio, zbywany uwagami w stylu „ten kochany Boy!". Pierwsza kampania o reformę prawa cywilnego mogła jeszcze być przyjęta przez obóz narodowościowy z zaskoczeniem, padały pytania, po co on to robi – i przypuszczenia: że jest to autopromocja, gra z czytelnikami, bo rzeczywiście w odpowiedzi na jego felietony przychodziło do redakcji bardzo dużo listów. I ta kampania – trzeba o tym pamiętać – wyszła bezpośrednio z fotela recenzenta. Pretekstem do pierwszego tekstu była sztuka Katajewa o dwóch niedobranych małżeństwach. Sytuacja diametralnie się zmieniła, kiedy jeszcze w tym samym roku Boy rozpoczął kolejną kampanię o prawa kobiet i świadome macierzyństwo. Był do niej doskonale przygotowany, przytaczał argumenty życiowe, socjologiczne, prawne i medyczne. Wszystko to razem wywołało furię środowisk katolickich i narodowościowych.

Boy piętnował obłudę społeczną, kiedy pytał publicznie, ile dzieci mają lekarze, prawnicy i politycy. Po niemal stu latach brzmi to znajomo.

Jego poglądy i dziś pozostają aktualne, a mimo upływu niemal stu lat dla niektórych nawet radykalne. To chyba więcej mówi o naszym społeczeństwie niż o Boyu.

– To prawda, pod tym względem Tadeusz Boy-Żeleński okazał się równie przenikliwy w diagnozowaniu problemów współczesnej Polski co Wyspiański. Nawet lepszy, bo jego diagnozy są także stanowiskiem lekarza. Kiedy walczył o dekryminalizację aborcji, równolegle domagał się uwzględnienia wskazań medycznych i społecznych, wyliczał elementy polityki socjalnej, które mogłyby obniżyć statystyki nielegalnych zabiegów, krytykował niechęć lekarzy do edukacji kobiet w zakresie antykoncepcji, podkreślał, że prawo ściga jedynie kobiety. Piętnował obłudę społeczną, kiedy pytał publicznie, ile dzieci mają lekarze, prawnicy i politycy. Wszystko to po niemal stu latach brzmi znajomo.

W wywiadzie dla „Culture" Agnieszka Warnke zapytała panią, czy muzy Młodej Polski poradziłyby sobie w dzisiejszej Polsce. Opowiedziała pani, że niektóre nie gorzej niż współczesne kobiety. Sądzę, że te przez panią opisane całkiem nieźle. A jak poradziłby sobie Boy?

– Kampanie Boya i historia współczesna Polski pokazują, że pełne prawa obywatelskie, wolność wyboru, możliwość samostanowienia o sobie, rozdział państwa od Kościoła to wrażliwe wartości, które należy pielęgnować, bo tak naprawdę nic nie jest nam dane na zawsze.

Adam Jaśkow

eprasa.pl 8b496024aa

Masz talent, daleko zajdziesz

Byłam świadkiem, ile pieniędzy potrafił wydać Elton John. Ale jakie ma to znaczenie, skoro kupił mój obraz?

Joanna Sarapata

Moja szafa pękała w szwach. W przerwach na lunch, zamiast jeść, buszowałam po butikach. Tłumaczyłam sobie, że wychodzę do ludzi i muszę dobrze wyglądać. Zakochałam się w ubraniach Dolce&Gabbana, Martina Margieli i Ann Demeulemeester. Wyrzuciłam stare szerokie suknie od Laury Ashley. Mieszkałam przecież w Saint-Tropez, moda była tu inna. W moim życiu skończył się okres romantycznych sukienek, a przyszedł czas na obcisłe kiecki, przeźroczystości i seksowny wygląd. Chris był wtedy najlepiej ubranym dzieckiem w miasteczku. A Pascal najlepiej ubranym mężem. (...)

W butiku Cartiera przytrafiło mi się wiele ciekawych przygód. Mogłam obserwować ludzi, szybko stałam się psychologiem. Wystarczyło kilka sekund, a już wiedziałam, czy uda mi się namówić klienta na duży wydatek. Gdy przychodzili mężczyźni kupić coś dla damy swojego serca, od razu wyczuwałam, czy prezent jest dla żony, czy dla kochanki. Przychodziły kobiety w średnim wieku z kartami kredytowymi swoich mężów, by odreagować wakacyjny stres, kolejnym brylantem zasłonić wiek i zmarszczki. One też wydawały fortuny. Przychodziły zakochane pary; jak facet szalał z miłości, czyścił witryny z wszystkiego, co możliwe.

Któregoś dnia do butiku wszedł elegancki pan o egzotycznej urodzie i nerwowo się rozglądał.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytałam po angielsku.

Pan jeszcze raz się rozejrzał i ściszonym tonem, choć w butiku nie było nikogo oprócz mnie i Danne, powiedział:

– Księżna Tajlandii zaszczyci dziś panie swoją obecnością.

– Doskonale, zapraszamy.

Co mogłam odpowiedzieć? W butiku gościłyśmy wiele osobistości, ale księżnej Tajlandii jeszcze u nas nie było.

– Księżna przyjedzie ze swoją świtą – dodał egzotyczny pan. I tu spojrzał na nas uważnym wzrokiem. – W żadnym wypadku nie można się do niej odwrócić plecami.

Spojrzałyśmy na siebie z Danne (koleżanką z pracy). Świetnie, świetnie, tylko jak podamy jej coś z witryny, nie odwracając się plecami? Butik nie był duży. Jaka ta świta? Ile osób? Już byłyśmy zdenerwowane. A pan dorzucił jeszcze na pożegnanie.

– Proszę się nie zdziwić, ale jak księżna będzie wchodzić, jej dwórki obrzucą ją płatkami róż.

Bałagan nam zrobili w tym butiku nieziemski. Płatki róż wirowały wszędzie. Sprzątałyśmy potem z pół dnia. Nawet szkoda nam było wyrzucać te płatki, bo były świeże i delikatne. Ile róż na to poszło!

Razem z księżną zjawiło się 15 osób. Kiedy tylko chciałyśmy się odwrócić i wyjąć coś z witryny, pan groźnym szeptem syczał:

– Please. Twarzą do księżnej! Twarzą do księżnej!

Gdy świta opuściła butik, siadłyśmy z Danne wśród tych płatków kompletnie oszołomione. Ale księżna zakupiła biżuterię za kilkaset tysięcy franków, więc się opłaciło.

Kiedy później Cartier przeniósł się na place de la Garonne, któregoś upalnego dnia do butiku wszedł brat Pascala, Laurent, z wysoką, śliczną, długowłosą dziewczyną. Podeszłam się przywitać.

– To moja piękna bratowa – przedstawił mnie Laurent. I zwrócił się do dziewczyny. – Mówiłem ci, że jest malarką, wspaniale rysuje.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie rękę.

– Diana Widmaier Picasso.

– Jo, Diana jest wnuczką Picassa – pośpieszył z wyjaśnieniem Laurent.

– Widziała u mnie twoje rysunki i bardzo chciała cię poznać.

Wnuczka Picassa widziała moje rysunki! Zrobiło mi się miło.

– Czy wystawia gdzieś pani swoje prace? – spytała Diana. – Chciałabym zobaczyć więcej. I chciałabym coś kupić.

Mieszkając w Saint-Tropez, kilka razy wystawiałam swoje obrazy w galerii sztuki mojego przyjaciela malarza Henriego Sié na rue du Clocher, ale akurat w tamtym czasie w galerii wisiały tylko jego pejzaże. Od czasu jednak, gdy pewien wielki artysta kupił moje obrazy, które zobaczył w butiku – za chwilę o tym opowiem – zawsze miałam kilka rysunków w szufladzie i te właśnie pokazałam Dianie.

Życie nauczyło mnie, że wszystko jest możliwe. Każdego dnia i o każdej godzinie.

Diana długo i z zainteresowaniem oglądała moje rysunki. Wybrała dwa.

eprasa.pl 8b496024aa

– Czy mogłabym je kupić?

– A czy mogłabym ci je podarować? – spytałam ucieszona.

– Ale…

Wręczyłam jej rysunki.

– Cieszę się, że będą u ciebie. To dla mnie zaszczyt.

Diana uścisnęła mnie serdecznie na pożegnanie. Cudowne było to spotkanie.

Diana Widmaier Picasso jest dziś jednym z najbardziej szanowanych historyków sztuki na świecie. Specjalizuje się w sztuce współczesnej. Ale zanim poznałam Dianę, jeszcze gdy Cartier mieściło się na rue de la Ponche, wydarzyło się coś niezwykłego.

•

Był lipiec, a może sierpień 1990 r. Słońce od rana dawało się we znaki. Nie minęła dziewiąta, a upał już był niemiłosierny. Przybiegłam do pracy prawie pustymi uliczkami. O tej porze turyści jeszcze spali po szampańskiej nocy. Tylko bywalcy kultowego klubu nocnego Les Caves du Roy, którzy balety kończyli o poranku, błąkali się po miasteczku w poszukiwaniu mocnego espresso.

Otworzyłam drzwi butiku, powitał mnie półmrok, zawsze na noc opuszczałyśmy żaluzje. Odruchowo nacisnęłam dzwonek. Dobrze, działa. Był to pierwszy butik na rue de la Ponche, który miał dzwonek przy drzwiach. Rok wcześniej, krótko przed tym, jak rozpoczęłam pracę u Cartiera, nieznani sprawcy wpadli do butiku, związali sprzedawców i ukradli wszystko, co było w witrynach. Od tego czasu, gdy ruch był niewielki, klienci musieli dzwonić do drzwi. Czy to eleganckie? Wszystko jedno. Danne powtarzała jak zdarta płyta:

– Kwestia bezpieczeństwa. Kwestia bezpieczeństwa. (…)

Piłam kawę na zapleczu, gdy nagle usłyszałam dzwonek do drzwi.

Poderwałam się na równe nogi. Kto to mógł być o tej porze?

Danne nigdy przed dziesiątą nie zaszczycała butiku swoją obecnością. Podbiegłam zaaferowana do drzwi i przez okno obok zobaczyłam ciemnowłosego, niewysokiego mężczyznę z trzydniowym zarostem, koszulą rozpiętą do pępka i butelką piwa w ręku. Kątem oka zauważyłam, że prawą nogę ma w gipsie. Chyba

mnie zobaczył. Dzwonek odezwał się ponownie, tym razem w jego dźwięku było czuć zniecierpliwienie. A niech mnie, pomyślałam, z tą nogą w gipsie w razie czego nigdzie mi nie ucieknie.

Otworzyłam drzwi. Buchnął we mnie zapach alkoholu, poczułam się, jakbym w jednej sekundzie wypiła szklankę piwa. Facet był podchmielony, ale przytomny.

– Wiem, że otwieracie o 10 – zaczął. – Ale muszę kupić ważny prezent.

Jakoś się uspokoiłam.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Usiadł w fotelu przy jednym z dwóch stojących naprzeciw wejścia stołów.

– Napije się pan kawy?

– A ma pani szampana?

– Jasne, że mam!

Jak w butiku Cartiera miałoby nie być szampana! Z zaplecza przyniosłam zmrożoną butelkę Dom Pérignon. Podałam ją obcemu jak zaczarowana.

– Otworzę, proszę przynieść dwa kieliszki.

– Nie piję w pracy – powiedziałam ostrożnie.

– Jak pani się dowie, co chcę zamówić, na pewno się pani napije. A przynajmniej będzie się to pani należało. Dużo tu dziś pieniędzy zostawię.

Poszłam po kieliszki. Wprawnym ruchem otworzył butelkę, rozlał musujący płyn. Upiłam trochę, magiczny nektar rozlał się po moim ciele. Ktoś kiedyś powiedział, że gdyby kobiety co rano piły jeden kieliszek szampana, byłyby szczęśliwsze.

– Chciałbym kupić 10 złotych zegarków Santos.

Czy to szampan zakręcił mi w głowie, czy ta wiadomość? Przecież taka sprzedaż się nie zdarza! (…) Zajrzałam do sejfu. W środku znajdowały się tylko cztery Santosy. Nieznajomy znów stał przy mnie z pełnymi kieliszkami. A co tam! Wypiłam i podniosłam słuchawkę telefonu, by zadzwonić do głównego butiku Cartiera w Paryżu.

– Potrzebuję sześciu Santosów.

– Na kiedy? – Telefon w Paryżu odebrała kierowniczka butiku, którą znałam, bo już wielokrotnie składałam zamówienia, gdy w Saint-Tropez czegoś zabrakło.

eprasa.pl 8b496024aa

– Na kiedy pan potrzebuje tych zegarków? – zwróciłam się do nieznajomego.

– Na jutro.

– Na jutro – powtórzyłam do słuchawki.

– To niemożliwe – odpowiedział głos z Paryża. – A co to w ogóle za klient?

Zasłoniłam usta ręką, żeby nie mógł mnie usłyszeć.

– No nie wiem, nie wygląda… W rozpiętej koszuli, z nogą w gipsie. (…)

– To niemożliwe – przekazałam informację z Paryża nieznajomemu.

– To niech im pani powie, że to dla Johna Reida.

John Reid? John Reid? Nic mi to nie mówiło, ale grzecznie powtórzyłam. W Paryżu zapadła cisza. A potem łamiącym się głosem pani kierowniczka powiedziała:

– Zegarki będą u was w butiku jutro o 11 rano. – I dodała jeszcze. – Powodzenia, Joanna, świetna sprzedaż. Gratuluję. (…)

W głowie mi się kręciło, od Johna Reida, który nie wiem kim jest, ale postawił Paryż na nogi, od jego nogi w gipsie, od dziesięciu zegarków Santos, od prowizji, którą dostanę za taką sprzedaż. Pokręciłam głową.

– Ze mną się nie napijesz?

Znów wypiłam. Podał mi kartę.

– Może zapłacę za te cztery zegarki.

Wpadłam w panikę. W tamtych czasach karty przeciągało się przez specjalne urządzenie, zwane przez nas „żelazkiem", i trzeba było prosić bank o autoryzację. 200 tys. franków nie w kij dmuchał. Przecież nie dam mu zegarków, dopóki nie przyjdzie autoryzacja. Co robić?

Szampan! Może otworzę mu drugiego szampana i jakoś go zatrzymam. Tymczasem nieznajomy rozglądał się po sklepie.

– Czyje są te rysunki? – zapytał, wskazując na moje obrazy wiszące w butiku.

– A takiej jednej artystki z Saint-Tropez – odpowiedziałam.

John Reid przystanął przy jednym z obrazów.

– Podoba mi się – powiedział. – Czy mogę go kupić?

Pokiwałam głową. Za dużo szczęścia na raz. Zdjęłam obraz ze ściany. Na zapleczu zadźwięczał fax. Bank. Jest autoryzacja. Reid ponownie podał mi kartę. Zapytał, ile za ten obraz. Palnęłam:

– 5 tys. franków.

Znów musiałam dzwonić do Cartiera, czy mogę na ich konto przelać pieniądze za swój obraz. Kiedy w końcu uporałam się z biurokracją, a fax po raz kolejny wypluł z siebie potwierdzenie transakcji, nieznajomy zbierał się do wyjścia. Druga butelka szampana była do połowy pusta.

– Wiesz co – już mówił do mnie na ty – przyjdę jutro po te sześć zegarków ze swoim podopiecznym. Około dwunastej. Czy mogłabyś załatwić, by przyszła ta artystka? Kupimy pewnie też ten drugi obraz. Są świetne.

No i co teraz zrobić? Już nie mogłam się ukrywać.

– To ja jestem tą artystką – przyznałam cicho.

Spojrzał na mnie jak na wariatkę.

– Dlaczego nie chciałaś tego powiedzieć?

– Bo się wstydziłam.

– Ciekawe czego?

– Bo studiowałam na Beaux-Arts w Paryżu, a teraz pracuję w tym butiku w Saint-Tropez… – w sumie nie wiedziałam, co mówić.

– Powinnaś malować i sprzedawać swoje obrazy. Masz talent – powiedział tonem znawcy. – A tak w ogóle, to skąd jesteś? Słyszę akcent…

– Z Polski.

– Z Polski – powtórzył. – A to ciekawe. Będziesz jutro, gdy przyjdziemy?

– Będę. Oczywiście.

Nieznajomy, a w zasadzie już znajomy, pogrzebał w kieszeni.

– To moja wizytówka – podał mi elegancki kartonik. – Nazywam się John Reid. Jestem agentem Eltona Johna. Będę tu jutro z Eltonem. (…) Do jutra. A – zatrzymał się na chwilę w drzwiach. – Załatw, by było tu jutro 10 dużych pierścieni, najlepiej z kamieniami w różnych kolorach. Elton chciałby kupić prezenty swoim asystentkom.

I już go nie było.W butiku zapanowała cisza. Czy to się w ogóle wydarzyło? Agent Eltona Johna? Jutro tu będzie Elton John? Jedna z największych gwiazd show-biznesu? Kupi mój obraz? (…) Nie wiem, jak w ogóle dotrwałam do następnego dnia.

eprasa.pl 8b496024aa

Zegarki z Paryża przyszły punktualnie, pierścienie też, bo w całym tym szale jednak zdążyłam je zamówić.

Od 11 stałyśmy z Danne na baczność, niecierpliwie wyglądając przez okno. Szczęśliwie nie było tego ranka klientów, bo nie wiem, czy potrafiłybyśmy ich obsłużyć. Około 12 na końcu prowadzącej do butiku uliczki zamajaczyły dwie postacie. John Reid, już w świeżej koszuli, nadal z nogą w gipsie, i niewysoki facecik w fioletowej bluzce, fioletowych skórzanych szortach, fioletowym kapelusiku, fioletowych okularach i fioletowych butach. Parsknęłam nerwowym śmiechem. Jasny fiolet, jasna cholera. Stałam za ladą i w zasadzie nie wiedziałam, czy zostać, czy uciec. On wyglądał jak kolorowy ptak. Nie, on wyglądał, jakby był z innej planety. Jak nadprzyrodzone zjawisko.

– Idą, Danne. Oni naprawdę idą.

Danne była wniebowzięta.

– No, Elton John jak żywy.

– Salut, mon amie! – krzyknął od progu John Reid. – To ja i Elton. Przyszliśmy po zegarki.

– Salut! – krzyknęłam, choć ze zdenerwowania głos wiązł mi w gardle.

Na szczęście nadciągnęła Danne z szampanem w ręku i kieliszkami.

– Zapraszamy serdecznie – powiedziała swoim francuskim angielskim. Próbowała być swobodna, choć francuska sztywność wychodziła z każdego szczegółu jej stroju.

John wziął szampana z jej rąk, otworzył fachowym ruchem, rozlał do kieliszków, upiliśmy wszyscy po dużym łyku. Lody zostały przełamane.

Podczas gdy Danne pakowała zegarki i certyfikaty, pobiegłam zamknąć drzwi i przysłonić okna. Już pojawili się pierwsi ciekawscy. Podobno ktoś zobaczył Eltona Johna i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na ulicy pojawiła się ekipa telewizyjna.

– Elton – zwrócił się John do Eltona. – Mówiłem ci, że Żoana to artystka, ale dorabia u Cartiera. – Tu puścił do mnie oko. – Pokażesz nam swoje rysunki. Ja już jeden wczoraj kupiłem. – Tu ponownie zwrócił się do fioletowego Eltona.

Przygotowałam się na taką okoliczność. Elton John długo oglądał moje szkice wykonane na dużych kartonach.

– Malujesz tylko kobiety? – spytał.

– Tak.

– A dlaczego nie malujesz mężczyzn?

– Mąż się nie zgadza – odpowiedziałam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. John rozlał resztę szampana. Danne przybiegła z pierścieniami. Elton wybrał 10 z różnymi kamieniami. Sam miał po jednym wielkim pierścieniu na każdym palcu. I co było niesamowite, każdy kamień, choć w różnym kolorze miał coś wspólnego z fioletem.

Jestem zachwycony tymi obrazami – powiedział Elton i wybrał największy. Zapłacił dużo więcej, niż był wart.

– Twoje sekretarki będą zachwycone. – John Reid się roześmiał.

Elton zauważył mój wzrok na swoich upierścienionych palcach.

– Lubisz szlachetne kamienie? – spytał mnie.

– Tak, zwłaszcza hemorode – odpowiedziałam, oczywiście prezentując kolejny językowy lapsus. Szmaragdy po francusku to emorode, ja powiedziałam hemorode, czyli nie szmaragdy, ale hemoroidy. Znów wybuchnęli śmiechem. Gdy zdałam sobie sprawę z błędu, śmiechem wybuchłam i ja.

Mój cały świat kręcił się wokół Chrisa. Ale kiedy zaczął dorastać, zrozumiałam, że potrzebuję też czegoś dla siebie. Wtedy, w Saint-Tropez, czułam, że jeśli zostanę dalej w domu, zwariuję, oszaleję, wpadnę w depresję i nie przydam się już nikomu.

– A ja jestem zachwycony tymi obrazami – powiedział Elton i wybrał największy. Zapłacił dużo więcej, niż był wart. Kiedy się krygowałam, że cena jest za wysoka, John złapał mnie za rękę.

– Jo, mówiłem ci, masz talent, daleko zajdziesz. Wiem, co mówię, jestem menedżerem i znam się na artystach. To na dobry początek.

Elton wrzucił do plastikowej torby swoje zegarki i pierścienie, John wziął rysunek pod pachę.

– Miłe panie – powiedział. – Dziękujemy za wspaniały początek dnia.

Pomachali nam na pożegnanie. Zostałam z plikiem banknotów w ręku, Danne z pustym kieliszkiem. Jeszcze długo patrzyłyśmy, jak idą rue de la Ponche. Ocknęłyśmy się, dopiero gdy fioletowa plama zniknęła nam z oczu. (…)

Prowizja z zakupów Eltona Johna i Johna Reida była ogromna. (…)

John Reid, dowiedziałam się o tym później, poznał Eltona Johna w 1970 r. Najpierw byli kochankami, a kiedy namiętność się skończyła, John został agentem Eltona. Po drodze przez jakiś czas był też menedżerem zespołu Queen. Jak widać, towarzyszył Eltonowi nie tylko w zawodowych poczynaniach. W 1998 r., czyli osiem lat po naszym spotkaniu w butiku Cartiera, wybuchł skandal, który poróżnił obu panów. Ktoś, podobno w śmietniku, znalazł listę z wydatkami Eltona Johna i sprzedał ją brukowemu brytyjskiemu dziennikowi „Daily Mirror". Nie trzeba mówić, że zakupy gwiazdy opiewały na niebotyczne kwoty. Elton John od zawsze był szalonym zakupoholikiem. O ujawnienie wydatków oskarżył Johna Reida, który musiał mu zapłacić ponad 3 mln funtów za niedopełnienie swoich obowiązków. Piękna przyjaźń i współpraca zakończyła się nieprzyjemnie.

Byłam świadkiem, ile pieniędzy potrafił wydać Elton John. Ale jakie ma to znaczenie, skoro kupił mój obraz? To jedno z najważniejszych spotkań w moim życiu. Przechowuję to wspomnienie jak skarb. Wszystko jest możliwe. Wszystko.

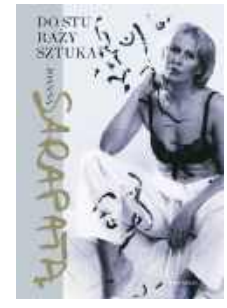

Fragmenty książki Joanny Sarapaty *Do stu razy sztuka*, Świat Książki, Warszawa 2024

FOT. ARCHIWUM RODZINNE AUTORKI

eprasa.pl 8b496024aa

NA EKRANACH

Bond w ludzkim wydaniu

Oglądanie Daniela Craiga – symbolu męskości, testosteronu i heteroseksualizmu w „Bondach" – w roli geja uganiającego się za niedostępnym chłopakiem jest wyjątkowo przyjemne. Craig świetnie się odnajduje w tej konwencji i bawi postacią, przypominając, że stać go na znacznie więcej niż prężenie mięśni i wstrząsanie martini. Aktor zamknął już etap bycia 007 także poprzez to, jak wygląda jego ciało. To mężczyzna w średnim wieku, który musi liczyć się z tym, że jego cielesność stoi na przeszkodzie spełnieniu w ramionach młodszego kochanka. Potyczki bohatera ze starzeniem się są najciekawsze w filmie zabierającym nas do Meksyku lat 50., mekki lewicowych intelektualistów i osób LGBT, które uciekły z USA przed polowaniem na czarownice. To przeciekawe tło niewiele jednak reżysera interesuje. Dla niego liczy się przetworzenie odlotowej literatury Williama S. Burroughsa w odlotowy film. Jest więc mnóstwo intensywnych kolorów, radykalny montaż i rozpasane scenografie. Trudno nie docenić wizualnego haju, ale treść nie nadąża za formą. W pewnym momencie seans zaczyna nużyć i nawet Bond nie jest w stanie tego uratować.

Artur Zaborski

„Queer", reż. Luca Guadagnino, prod. USA, Włochy, w kinach od 21 marca

MIĘDZY OKŁADKAMI

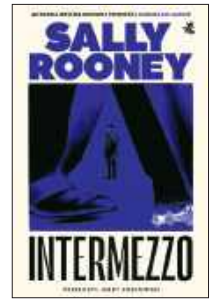

Sally Rooney

Intermezzo

W.A.B., Warszawa 2025

Królowa tzw. literatury środka wraca z nową powieścią. Mamy tutaj historię dwóch braci, którzy mierzą się z żałobą, ale i szukają miłości. Tytułowe intermezzo to w muzyce wstawka, przejście pomiędzy scenami czy aktami opery, a w szachach – niespodziewany ruch. I tacy są bohaterowie: zawieszeni, bardzo niepewni, w drodze. Niestety, sama opowieść, którą snuje Rooney, jest powtarzalna, a łamy powieści (znów) wypełnia tanie filozofowanie. Fani pisarki, a takich jest sporo, i tak sięgną po tę pozycję. Dla nieobytych z prozą autorki „Normalnych ludzi" poziom pretensjonalności może być nieznośny.

Rafał Pikuła

KURTYNA W GÓRĘ

Uśmiechy na zdjęciu

Czterdziestoparoletni chorwacki dramaturg Ivor Martinić już dawno przebił się do Europy. Teraz zanosi się na to i w Polsce po premierze dramatu „Mój syn chodzi, tylko trochę wolniej". Martinić specjalizuje się w dramacie rodzinnym. Poddaje wnikliwej analizie relacje między najbliższymi, odsłaniając i mroczne, i jasne miejsca. W wystawionej w warszawskim Ateneum sztuce na plan pierwszy wysuwa się tragedia unieruchomionego na wózku dwudziestoparoletniego syna. Ten cios uderza najsilniej w matkę (Agata Kulesza), która nie może się pogodzić z wyrokiem losu – wciąż próbuje ukrywać niesprawność syna. Jej życie legło w gruzach. Rodzinę dotykają i inne dramaty, takie jak postępujący zanik pamięci babci (Maria Ciunelis). Nieudane związki i rozczarowanie życiem towarzyszy niemal wszystkim: siostrze głównej bohaterki (Magdalena Schejbal), jej pogubionemu mężowi (Przemysław Bluszcz), rozgoryczonemu ojcu (Janusz Łagodziński) czy grającemu rolę szczęśliwca szwagrowi (Adam Cywka).

O tym wszystkim opowiada Iwona Kempa bez czułostkowości. W ponurym wnętrzu, przy długim, pustym stole, toczy się życie bez wielkich szans. Paradoksalnie to właśnie niepełnosprawny syn (Paweł Gasztold-Wierzbicki) odnajduje w nim sens mimo swoich ograniczeń, a kochająca go autystyczna dziewczyna (przekonująca Karolina Charkiewicz) widzi w nim wybranka. Trudny do zdefiniowania rodzaj czułości między nimi, tak jak pierwsza miłość siostry (Paulina Gałązka), wprowadza jaśniejsze akcenty do opowieści o pozrywanych więziach. Reżyserka na koniec ustawia bohaterów do fotografii. Wiadomo, z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu.

Tomasz Miłkowski

Ivor Martinić, „Mój syn chodzi, trochę wolniej", tłumaczenie Gabriela Abrasowicz, reżyseria Iwona Kempa, Scena 20 Teatru Ateneum, prapremiera polska 1 marca 2025

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, GUTEK FILM, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8b496024aa

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Szaleństwo i nadzieja

Trzęsienie ziemi w Europie i wielkie emocje – „tata" nas zostawił, musimy sobie radzić sami. Jesteśmy przecież dorośli i mamy bogatą historię, która przypomina, jak byliśmy wojowniczy – często za bardzo. A Polska zbroi się na potęgę. Okropne, ale chyba nie ma rady. Przychodzi czas, że zaczynamy się bać o naszych chłopców. Tusk zapowiada powszechne szkolenia wojskowe. Premier jak bóg wojny przemawiał w Sejmie. Kaczyński i jego banda w kłopocie. Nie mogą nie zgodzić się z Tuskiem, a to przecież zdrajca. Kaczyński więc burczy do mikrofonów, że musi się zmienić „cała pedagogika społeczna", trzeba skończyć z „pedagogiką tchórzostwa", musi być „powrót do etosu rycerskiego". Mówi to ktoś, kto do złudzenia przypomina giermka Don Kichota, Sancho Pansę.

•

Janusz Waluś, polski emigrant mieszkający w RPA, jest mordercą, dostał karę śmierci, zamienioną na dożywocie. Zamordował ciemnoskórego działacza antyapartheidowego Chrisa Haniego. Wyszedł po 30 latach i wrócił do Polski. I, jak się okazuje, nie zmienił poglądów. Witał go na lotnisku Grzegorz Braun, a Dariusz Matecki, poseł PiS, którego właśnie zapuszkowano, witał go na Facebooku. Generalnie dla naszych narodowców Waluś to ostatni „żołnierz wyklęty". Od Walusia odcina się mieszkająca w Polsce córka, która ma liberalne poglądy: „Przez wiele lat walczyłam, żeby ojciec miał prawo wrócić do swojej rodziny. Teraz okazało się, że ten człowiek może być niebezpieczny dla kraju, który ja kocham. Chce przyłożyć rękę do faszyzmu i rasizmu". Warto wiedzieć, jakich idoli ma nasza narodowa prawica – po idolach ich poznasz.

•

Żyjąc w stanie ciągłego obrzydzenia do PiS, nie zauważyliśmy, że rośnie w siłę Konfederacja. I nagle Mentzen goni Nawrockiego. Obaj odrażający i siebie warci. Najlepiej, gdyby te dwa drapieżniki pożarły się nawzajem w walce o prezydenturę. Któryś jednak przeżyje, a wtedy istnieje groźba, że elektorat zjedzonego zagłosuje na tego, co pożarł. Na razie konkurują ze sobą, ale są przecież podobni. Mentzen bardziej młodzieżowy, czasami trochę anarchistyczny, co się podoba młodym. Mojego starszego syna nie fascynuje, ale bawi, Franek może nawet jest jego zwolennikiem, ma 14 lat i czas byłoby zmądrzeć. Dlatego trudno jednak być spokojnym o wynik wyborów prezydenckich. Jeśli Mentzen przegoni Nawrockiego, w drugiej turze wyborcy PiS zagłosują na niego, w odwrotnej sytuacji konfederaci o wiele rzadziej będą głosować na Nawrockiego. Wielu brzydzi się PiS. W interesie Trzaskowskiego jest więc, aby jego konkurentem był Nawrocki. A Trzaskowski uparcie mówi zbyt szybko – zrobiłem, co mogłem, by mu to przekazać, ale straciłem już nadzieję, że zwolni i wpuści między słowa trochę tlenu.

•

Idąc Chmielną, trafiłem na plac Pięciu Rogów. Nie tak dawno rewitalizowano to miejsce, nie najlepiej, za wiele betonu. Stoi tam gigantyczne, błękitne jajo. Drży i wydaje z siebie dźwięki wykluwającego się pisklaka. Autorką rzeźby jest Joanna Rajkowska, palma tej artystki jest na rondzie de Gaulle'a. Nad jajem, ku uciesze gawiedzi, znęca się Mentzen. Kpi z tego, ile kosztowało. Nie wie, że nie wolno żałować pieniędzy na sztukę, szczególnie tę uliczną, która ociepla miasto. Ale Menzten tego nie pojmie nigdy. Uważa, że to kukułcze jajo podrzucone miastu przez liberałów. I jaka to sztuka – zwykłe jajo!

Żyjąc w stanie ciągłego obrzydzenia do PiS, nie zauważyliśmy, że rośnie w siłę Konfederacja.

•

Wracając do Dariusza Mateckiego, kolejnego męczennika PiS: Mariusz Gosek, który mógłby dostać wyrok za sam wygląd, wyjątkowy dureń, wyrastający na czołowego pisowskiego osła, pisze na Facebooku: „Zamknęliście wielkiego patriotę, wojownika o konserwatywną Polskę, Ojca dwuletniego Witusia. Ja już Wam nie wybaczę! To koniec podawania ręki na sejmowym korytarzu. Stajecie się moimi wrogami. Dla Nas hańbą jest utrata honoru, więzienia w wyniku politycznych decyzji waszego reżimu, przetrwamy – zniesiemy nawet i wasze tortury. Czołem Wielkiej Polsce!". Matecki ma sześć poważnych zarzutów. I chamskimi wpisami przyczynił się do samobójczej śmierci syna posłanki Magdaleny Filiks. Rzeczywiście, wielki patriota.

•

Tydzień temu w puencie felietonu napisałem, że Trump jest tak szalony i nieprzewidywalny, że nawet bym się nie zdziwił, gdyby doprowadził do zgniłego pokoju. Kiedy już tekst wysłałem, pomyślałem, że to głupia puenta, ale osiągnęliśmy w polityce taki stan szaleństwa, że głupie puenty są realne. I teraz, gdy piszę te słowa, mamy wiadomość, że Amerykanie i Ukraińcy dogadali się w Arabii Saudyjskiej. Czekamy zatem na reakcję Putina – nie jest wcale pewne, jak się zachowa. Ale jest nadzieja. Wcześniej jej nie było. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8b496024aa

Wojciech Kuczok

Europejskie puchary i polski jarmark

Mamy dwie drużyny w ćwierćfinale Ligi Konferencji! Po raz ostatni dwie polskie ekipy dotarły do ćwierćfinału europejskich pucharów w jednej edycji 54 lata temu. Górnik Zabrze musiał wtedy uznać wyższość Manchesteru City, ale dopiero po trzecim meczu na neutralnym obiekcie, a Legia odpadła z Atlético Madryt pomimo remisowego bilansu dwumeczu (bramki wyjazdowe liczyły się wtedy podwójnie).

Jagiellonia, aktualni mistrzowie Polski, awans zdobyła po koszmarnym rewanżu w Brugii, przez półtorej godziny walcząc o przetrwanie z ekipą, której tydzień wcześniej władowała trzy bramki w dziesięć minut. Taka labilność jest trudna do wytłumaczenia i nie zwiastuje sukcesów w czekających białostoczan potyczkach z Betisem. Legia heroicznie walczyła o wygraną, w dramatycznych okolicznościach rehabilitując się za wszystkie dotychczasowe klęski dopiero po dogrywce w spotkaniu z norweskim Molde. Teraz czeka ją nagroda w postaci dwumeczu z londyńską Chelsea. Będzie jeszcze okazja tym się ponapawać przed kolejną rundą. Bez względu na iluzoryczne szanse naszych drużyn na kolejnym szczeblu cieszmy się i radujmy z tego, co mamy.

•

Tymczasem w najważniejszym ze światowych pucharów działo się w zeszłym tygodniu wiele rzeczy niebywałych. Na przykład w Madrycie. Diabli! Znowu to samo. Fatum tego chce, tak być musi, taki jest podział ról w tej rywalizacji i nie sposób go odmienić, nie da się oszukać przeznaczenia – już po raz piąty Atlético odpadło z Realem w Lidze Mistrzów, choć tym razem było bliżej niż kiedykolwiek. Wydawało się, że teraz nie brakuje niczego, Los Colchoneros odrobili straty z pierwszego spotkania już w pierwszej akcji, po 30 sekundach od gwizdka rozpoczynającego mecz, a potem zwarci w obronie i zawzięci w kontratakach wielokrotnie sprawdzali refleks Thibaut Courtois. Ale wygrać z Realem różnicą dwóch goli się nie udało, potrzebne były karne, przed którymi kibice Atlético drżeli, pomni finału Champions League sprzed dziewięciu lat, kiedy to Jan Oblak wpuścił wszystko. Tym razem słoweński bramkarz żył na linii i robił, co mógł – jedną jedenastkę obronił, drugą obronił nieomal, ale przeciwnicy nie byliby wcale lepsi, gdyby nie pech, nieprawdopodobieństwo zupełne, kuriozum absolutne. Julián Álvarez, najlepszy napastnik gospodarzy, wyjątkowo aktywny i zadziorny, najczęściej tego dnia nękający bramkarza Realu, podczas wykonywania rzutu karnego się poślizgnął… Piłka co prawda wpadła pod poprzeczkę, ale rychło gol został anulowany przez VAR, bo Argentyńczyk przy ostatecznie nieszczęśliwym strzale dotknął piłki obiema stopami.

Przepis jest oczywisty i dopóki futbol nie zechce się upodobnić do hokeja, gdzie karne są po prostu akcją sam na sam z bramkarzem, zawodnik może dotknąć piłki ustawionej na 11. metrze tylko raz; tyle że wykroczenie Álvareza byłoby niezauważalne w dobie przedvarowej – a tu diabli skryli się w szczegółach niedostrzegalnych okiem nieuzbrojonym w powtórki, zbliżenia i gremium wideoweryfikacyjne.

Mecz prowadził Szymon Marciniak, najlepszy polski sędzia, jeden z najlepszych arbitrów w dziejach piłki nożnej, człowiek, który nader często VAR-om się nie kłania; mógł uznać, że „takich rzeczy w takim momencie się nie gwiżdże", byłoby to zgodne z duchem gry. Nie uznał. O, diabli!

Kibice na Wanda Metropolitano pogodzeni już są chyba z losem, który kpi z nich, nie pytając o drogę do triumfu w najważniejszym z europejskich pucharów – wiadomo, że przez Real ta droga nie wiedzie. Simeone po meczu natychmiast wyskoczył do swoich piłkarzy i zaciekle bił im brawo, zachęcał też publikę do owacji, bo w środę jego drużyna zrobiła wszystko, co było w jej mocy, ale Realowi pomagają w opałach nawet siły nadprzyrodzone – nie da się nic wskórać wobec takich kaprysów Nemezis. W prawie stuletniej historii zmagań Atlético z Realem pięciokrotnie o rozstrzygnięciu decydowały serie jedenastek – oczywiście zawsze to Królewscy wychodzili z nich zwycięsko. Jeśli statystyka kłamie, to nie w tym przypadku: bycie kibicem Materacarzy w Madrycie skazuje na pogodzenie się ze statusem tych drugich, zawsze drugich, nieomal zawsze przegranych, bo jeśli Atlético od wielkiego dzwonu coś kosztem Realu wygrywało, były to triumfy pocieszenia.

W jednej ósmej Ligi Mistrzów jeszcze jeden mecz wyłonił zwycięzców dopiero po serii karnych – w Liverpoolu udało się odmienić los paryżanom, którzy, choć lepsi tydzień wcześniej, pechowo przegrali. Tym razem kompletne nieporozumienie dwójki obrońców i bramkarza zgrabnie wykorzystał Ousmane Dembélé, ale na wyrównaniu stanu dwumeczu się zakończyło. Paryżanie byli lepsi, bo w karnych świetnie poradził sobie Gianluigi Donnarumma, opoka reprezentacji Włoch, godny następca legend Zoffa i Buffona. Można się zżymać na petrodolary, którymi

Polska myśl szkoleniowa: tanio wyszkolić, drogo sprzedać albo ściągnąć na promocji, a potem drogo wypuścić. Sukcesy sportowe celem samym w sobie nie są.

eprasa.pl 8b496024aa

Afimico Pululu z Jagiellonii Białystok i Erick Nunes z Cercle Brugge walczą o piłkę w meczu rewanżowym jednej ósmej finału Ligi Konferencji. 13 marca 2025 r.

zbudowano potęgę PSG, ale trzeba przyznać, że w przeciwieństwie do innych gigantów europejskiej piłki paryżanie obecnie dbają o narodowy trzon składu, zwłaszcza w ofensywie, gdzie wciąż błyszczą Francuzi, choć do Serie A odszedł Randal Kolo Muani: jest Dembélé, a oprócz niego młode perełki: Désiré Doué i Bradley Barcola, na skrzydle nastoletni Warren Zaïre-Emery, a w defensywie niezastąpiony Presnel Kimpembe i Lucas Hernández – to już połowa galowego składu reprezentacji Francji.

•

Wracając do Polaków, jeśli pomstujemy na malejącą rangę naszych gwiazd w europejskich klubach, wypada zauważyć, że w obecnej edycji Ligi Mistrzów wcale nie jest tak źle – nawet Jakub Moder się obudził i błyskawicznie zyskał taką pozycję w Feyenoordzie, że pozwolono mu wykonać (skutecznie) rzut karny w meczu przeciw Interowi. Aż sześciu Polaków będzie miało szansę zagrać w ćwierćfinałach. Szczęsny i Lewandowski w FCB są pewniakami, Zalewski i Zieliński – jak się podleczą, powinni dostać szansę z ławki Interu, podobnie jak Matty Cash w Aston Villi. Kiwior może wejść tylko w sytuacji awaryjnej, z powodu jakiejś plagi kontuzji obrony Arsenalu (bo trudno przypuszczać, by londyńczycy załatwili sprawę jednym meczem z Realem, tak jak to zrobili w Eindhoven).

Sześciu Polaków – to i tak więcej, niż wychodzi zwykle w pierwszym składzie Jagiellonii czy Legii. Problem zatem niekoniecznie tkwi w tym, że nasi piłkarze są marginalizowani w klubach zagranicznych – stanowią mniejszość także w rodzimych ekipach. Niemal połowa zawodników zgłoszonych do gry w Ekstraklasie to obcokrajowcy. Jeśli policzyć czas gry Polaków, naszym wypada tylko 48%. Co gorsza, w ostatniej dekadzie ten odsetek radykalnie spadł i wciąż się zmniejsza.

PZPN właśnie zniósł przepis o obowiązkowej grze młodzieżowców w klubach Ekstraklasy, nie podsuwając w zamian żadnej zachęty do tego, by zamiast z europejskich grajków pozyskanych na wyprzedażach, budować składy ze zdolnych Polaków. Na problem geszefciarskiej mentalności zarządów naszych klubów zwrócił właśnie uwagę Zbigniew Boniek – u nas piłkarzy szkoli się po to, by ich wypromować i zawczasu, czyli przed upływem kontraktu, dobrze sprzedać na Zachód. W klubach wciąż nie wierzy się w zarobki, które przynieść mogą sukcesy w Europie – wszak Jagiellonia już wprost gotuje się, aby za parę milionów euro opchnąć swoją największą gwiazdę, Angolczyka Afimica Pululu, choć z jego udziałem mogłaby także w przyszłym sezonie zarobić za kolejne pucharowe awanse pieniądze znacznie większe.

Mamy duże, nowoczesne areny, ale mentalnie jesteśmy wciąż Jarmarkiem Europa, który się rozkładał na trybunach dawnego Stadionu Dziesięciolecia.

Polska myśl szkoleniowa: tanio wyszkolić, drogo sprzedać albo ściągnąć na promocji, a potem drogo wypuścić; jak się trafią jakieś sukcesy sportowe, to przy okazji, one celem samym w sobie nie są. Mamy duże, nowoczesne areny, ale mentalnie jesteśmy wciąż Jarmarkiem Europa, który się rozkładał na trybunach dawnego Stadionu Dziesięciolecia. ■

FOT. DAVID CATRY/ISOSPORT BRUGGE/EAST NEWS

eprasa.pl 8b496024aa

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Postprawdy

Dezinformacja wcale nie musi być intencjonalnym sabotażem, częściej jest bezwiedna, wynika z głupoty, niekompetencji i pośpiechu. Nie znajduję tu pociechy, bo to wciąż wybór między pożywieniem naturalnie zepsutym a celowo zatrutym – jedno i drugie jest karmą ze śmietnika. Kocopoły i fake newsy nie są dziennikarską kompromitacją, pracownicy mediów nie boją się już od dawna, że napiszą coś głupiego, lękają się nade wszystko, czy aby nie będzie za mądrze – lapsusów nikt nie zauważy, ale za „natłok naukowych faktów" można wylecieć z roboty, bo to odstrasza.

Przed laty zaproszono mnie eksperymentalnie na kilka godzin do współprowadzenia internetowego serwisu informacyjnego, co spowodowało błyskawiczny spadek słupków klikalności. Wydawało mi się, że wydarzenia najistotniejsze z mojego punktu widzenia wystarczy podać sauté. Myliłem się w dwójnasób, po pierwsze – szacując skalę istotności poszczególnych faktów, po drugie – ignorując metody sprzedawania informacji.

Przed kilkoma dniami miałem bezpośrednio okazję przyjrzeć się, jak media w epoce clickbaitów manipulują faktami, które nie mają większego znaczenia, o ile nie są podane w wystarczająco sensacyjnej panierce. Rzetelna informacja sprzedaje się znacznie gorzej lub zgoła wcale, a z tej przyczyny dopuszczalna jest całkowita dowolność w przeinaczaniu faktów. One wprawdzie po czasie są prostowane, ale z cicha i pro forma, bo to jakby w rubryce „dziewczyna tygodnia" zamiast gołej baby była naga prawda. Radio Erewań zatem nadaje jak za dawnych lat, tyle że niegdyś było mityczną parodią dziennikarstwa w służbie propagandy, a dzisiaj jest szarą rzeczywistością portali i programów informacyjnych. Jak w starym dowcipie: „Czy to prawda, że na placu Czerwonym rozdają samochody? Radio Erewań odpowiada: tak, to prawda, ale nie samochody, tylko rowery, nie na placu Czerwonym, tylko w okolicach Dworca Warszawskiego i nie rozdają, tylko kradną".

Parę dni temu kilku znajomych podczas eksploracji jaskini w jednej z dolinek podkrakowskich przeżyło niebezpieczny incydent – podczas powrotu z nowo odkrytych partii, dostępnych przez nieobszerny komin, jeden z grotołazów został odcięty od wyjścia. Obsunął mu się spod nóg wielki głaz, zaklinował w szczelinie i zatkał drogę powrotną. Odkrywanie nowych podziemnych przestrzeni zawsze wiąże się z ryzykiem, bo w dziewiczym terenie skalnym siłą rzeczy osobiście sprawdzamy stabilność otoczenia. Speleolog utkwił nad korkiem skalnym i nijak nie dało się usunąć ani skruszyć kamienia. Pozostała część ekipy wezwała na pomoc jurajski GOPR i po kilku godzinach prac górniczych w trudnym terenie udało się przebić drogę powrotną, chłopak wyszedł z tego bez szwanku, wylazł z groty o własnych siłach. Koniec przygody, nikomu nic się nie stało, ale wszyscy najedli się nieco strachu. A teraz odtworzę etapy relacjonowania tego wydarzenia przez media. Pierwsza informacja: „W Małopolsce zawaliła się jaskinia, są liczni poszkodowani", potem korekta: „W jaskini zawalił się strop. Pod gruzami są nieprzytomni grotołazi", i dalej: „Uwięziona w czeluściach. Kobieta zakleszczona między skałami. Trwa akcja ratunkowa". Wszystko działo się wczesnym wieczorem, w prime timie, dopiero późną nocą, kiedy akcja ratunkowa dobiegła końca, ogłoszono mało malownicze i bezkrwawe fakty. Ale tę erratę ludzkość nażarta śmieciowymi informacjami już przespała.

W latach 90. świetnie sprzedawały się w Polsce stworzone przez Aleksandra Minkowskiego „Skandale" – pismo, w którym sprzedawano fake newsy w skali przekraczającej nawet dzisiejsze zdolności sztucznej inteligencji i realnego skretynienia. Brać literacka świetnie się bawiła, przychodząc do redakcji i wymyślając artykuły o tym, jak to odcięta ludzka głowa potrafiła przeżyć 20 dni, pisząc reportaże z odebrania porodu yeti czy prezentując reklamy maści na porost zębów. Biznes przynosił zawrotne dochody, bo społeczeństwo karmione przez 40 lat propagandą socjalistyczną było przyzwyczajone do tego, że prasa kłamie, ale w sposób wysoce nieatrakcyjny. Minkowski zaś uznał, że kłamstwo trzeba przyodziać w kolorowe fatałaszki i nie bać się odlotu poza bandę, skoro czytelnicy pragną oderwać się od rzeczywistości. Odrywał więc ich bez wysiłku, za to z godną pozazdroszczenia werwą.

Pamiętam też, jak na studiach zdarzyło się mojemu koledze, skądinąd miłośnikowi „Mikołajka", przerwać przeraźliwie nudny wykład jakiegoś drugorzędnego i bardzo nielubianego przez cały nasz rok rutyniarza akademickiego: kumpel nagle zaczął usilnie przekonywać pana profesora, że kura jest ssakiem. Wykładowca kazał mu wyjść albo przestać się wygłupiać, ale wtedy zaczęli dołączać pozostali studenci, a kiedy już całkiem spora gromadka stanęła w obronie gruczołów mlecznych drobiu, profesor się poddał: „Dobra, wygraliście, dotąd nie miałem świadomości, że kury są ssakami, a teraz proszę mi pozwolić kontynuować wykład". Po chwili ciszy kumpel doprecyzował: „Właściwie to nie wszystkie kury są ssakami". Profesor wyszedł z sali i już nigdy do nas nie wrócił. Tak oto znaleźliśmy się w epoce postprawdy, zanim jeszcze ktokolwiek o niej słyszał. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8b496024aa

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach

1

NA TROPIE DINOZAURÓW

Pustynia Gobi nie tylko przypomina legendarne bohaterskie czyny wojowników mongolskich, lecz także fascynuje historią tajemniczego zniknięcia dinozaurów. Znajdują się tam złoża skamielin, jedne z najbogatszych na kuli ziemskiej, będące świadectwem świata, który 70 mln lat temu przestał istnieć.

Swego czasu wybrałem się na tę trzecią pod względem wielkości pustynię, rozciągającą się na długości 1750 km. Na najbardziej urocze miejsce, pełne intensywnej czerwieni, trafiłem w skalistym masywie Bajandzag – Płomiennych Klifach. To, co tam zobaczyłem, potwierdza, że dinozaur nie był szalonym wymysłem amerykańskiego miliardera, którego Steven Spielberg ożywił w „Parku Jurajskim".

Jako pierwszy przybył tu w 1922 r. amerykański paleontolog Roy Chapman Andrews. Po II wojnie światowej przyjeżdżało wielu badaczy rosyjskich. A Polka, prof. Zofia Kielan-Jaworowska, znalazła odciśnięty w kamieniu, decydujący moment tytanicznej walki, którą stoczyli dwaj gigantyczni przeciwnicy.

JACEK PAŁKIEWICZ – reporter, eksplorator, autor licznych książek, odkrywca źródła Amazonki; www.palkiewicz.com

eprasa.pl 8b496024aa

2

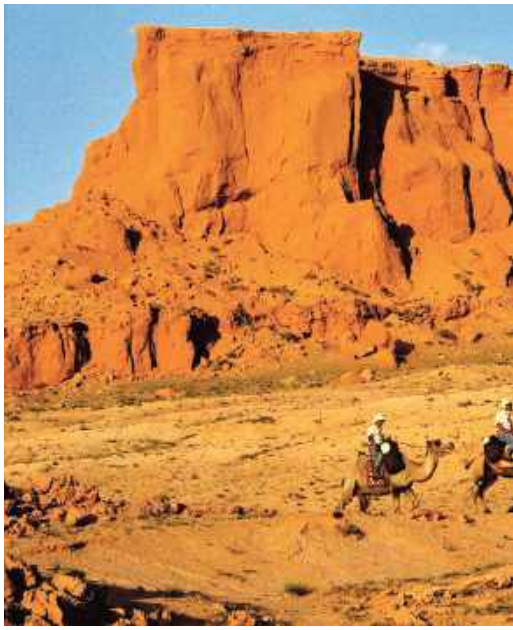

5

8

9

eprasa.pl 8b49b024aa

1. W karawanie jednogarbnych baktrianów.
2. Galimim żył 150-60 mln lat temu.
3. Bajandzag, Płonące Klify, atrakcja Mongolii.
4. Ochrona przed upałem.
5. Przygotowanie kolacji.
6. W ciągu jednego dnia pokonujemy 30 km.
7. Kosmonauta Gürragczaa, uczestnik wyprawy.
8. Emocjonujące odkrycie.
9. Chińska herbata.
10. Orientacja w terenie.

ZDJĘCIA Z ARCHIWUM AUTORA

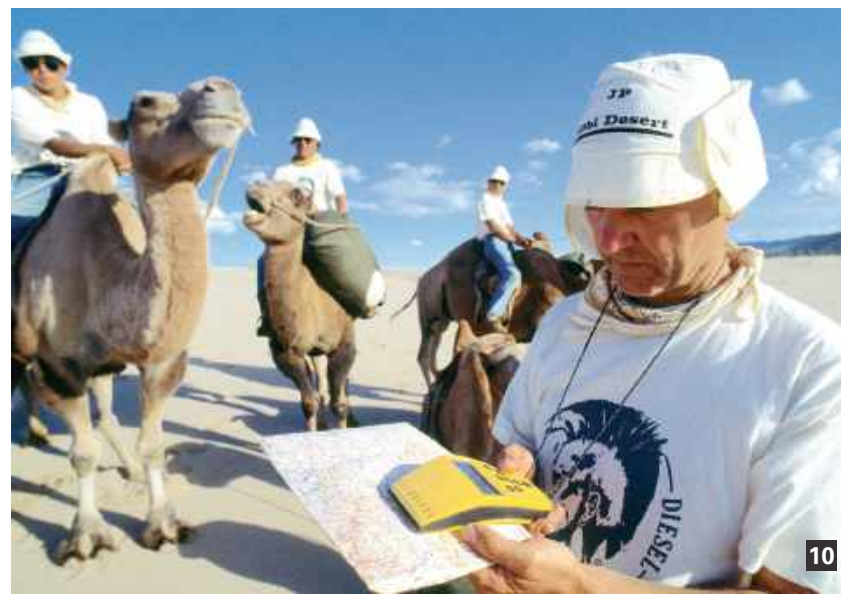

eprasa.pl 8b496024aa

Chrystian Ślusarczyk

Od zachcianki do biznesu

Niespodziewana sława czekolady z Dubaju

Czekoladowym pionierem jest alpejska Szwajcaria, przynajmniej wielu z nas ma to zakodowane. W 1819 r. przedsiębiorca François-Louis Cailler przekształcił dawny młyn nad Jeziorem Genewskim w pierwszą fabrykę czekolady na świecie. I, jak głosi historia, „dzięki zmechanizowanej produkcji w zakładzie czekolada szybko stała się łatwo dostępna dla zwykłego zjadacza chleba". Trudno temu zaprzeczyć.

To samo dotyczy Belgii, gdzie w podobnym okresie eksperymenty holenderskiego chemika Coenraada Johannesa van Houtena doprowadziły do wzrostu zainteresowania kakao, pralinkami i w końcu tabliczkami czekolady. Także czekolada belgijska o holenderskich korzeniach „błyskawicznie podbiła świat".

Dziś pojęcie szybkości jest inne. Szwajcarom, Belgom i innym nacjom dwa wieki temu potrzeba było lat na wypromowanie ich produktu. Czekoladzie z Dubaju wystarczyło kilkanaście minut.

Potęga sieci

Globalna sieć jest wykorzystywana na wiele sposobów, a jej zasięgi okazują się naprawdę ogromne. Jak słodka może być potęga internetu, przekonała się Sarah Hamouda, brytyjsko-egipska emigrantka i przedsiębiorczyni od dziewięciu lat mieszkająca w Dubaju. To ona stała się matką chrzestną czekolady dubajskiej.

Gdy czekolada przekroczyła granice Dubaju, wiele firm zaczęło wprowadzać własne wersje, zarówno luksusowe marki jak Lindt, jak i tańsze sklepy w rodzaju Lidla.

Jak wiadomo, kobiety w ciąży miewają rozmaite zachcianki. W naszych szerokościach geograficznych stereotypowo mogą to być kiszone ogórki, w świecie arabskim coś innego. Stworzoną z potrzeby chwili przez Sarah „ciążową zachciankę", jak niektórzy mówią złośliwie, trzy lata temu zaczęła produkować firma Fix Dessert Chocolatier. To, co wymyśliła Sarah, stanowi mieszankę cukiernictwa Zachodu i smakołyków Orientu. Firma z Dubaju nie zdecydowała się jednak na globalną akcję podbicia rynku. Ani szefostwu firmy, ani Sarah nie przyszło do głowy, skąd nadejdzie wsparcie.

Choć do sieci codziennie trafiają setki innych produktów i przepisów, filmik użytkowniczki Marii Vehery na TikToku potraktowany został inaczej. Dlaczego? Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Na filmiku, który w 2024 r. podbił świat, widać brunetkę siedzącą w samochodzie. Dziewczyna powoli odpakowuje kolejne tabliczki czekolady, przełamuje je i gryzie. Na nagraniu słychać jedynie odgłosy delektowania się – mlaskanie i chrupanie. To wystarczyło, by filmik w zaskakująco krótkim czasie obejrzało… 10 mln internautów. Miliony spragnionych skosztowania tego samego, co je tajemnicza dziewczyna.

Filmik powstał w konwencji ASMR. I być może tu należałoby dopatrywać się sukcesu prezentowanej w nim czekolady. ASMR (Autonomous Sensory Meridian Response) to niełatwa do przetłumaczenia nazwa zjawiska przyjemnego mrowienia w okolicach głowy, szyi i innych obszarów ciała. Bardziej odważni nazywają to „orgazmem mózgu". Być może w przypadku fenomenu czekolady mamy do czynienia z czymś podobnym?

Co w środku i dlaczego takie dobre

Dziś, gdy Zachód walczy z nadmiarem kalorii, redukuje cukier, gdzie tylko się da, i szuka zamienników, w Dubaju powstał produkt nieliczący się z zasadami zdrowego żywienia. W zależności od tego, w którym

eprasa.pl 8b496024aa

arabskim kraju powstaje, nosi nazwę *knafeh* lub *kunafa*. Wywodzi się z Nablusu, dziś w Autonomii Palestyńskiej. Sarah „pożeniła" orientalny deser z dobrej jakości czekoladą. Nazwała go oryginalną angielsko-arabską grą słów „Can't Get Knafeh of It", gdzie słowo *enough* (wystarczająco) zastąpiono podobnie brzmiącą nazwą *knafeh*.

Czekolada dubajska składa się w dużej mierze z nadzienia, które znacząco wpływa na cenę całości. Co zawiera słynny farsz? Nitkowate ciasto *kadayif* (w zależności od kraju nazwa ta nieznacznie się różni), przypominające cienki makaron zanurzony w bardzo słodkim syropie, a także zmielone pistacje. W czekoladzie dubajskiej znajdziemy sporo lokalnych przypraw: kardamon, cynamon, szafran, oraz płatki róż czy sezam. W niektórych odmianach pojawiają się też daktyle. Jak należy się domyślać, czekolada dubajska jest bardzo słodka.

Oryginalna czekolada dubajska jest produkowana ręcznie w Dubaju. Wysokiej jakości czekoladę dostarcza głównie szwajcarska firma Max Felchlin AG. Początkowo hit można było kupić jedynie w wybranych luksusowych sklepach w Dubaju. Gdy czekolada przekroczyła granice emiratu, wiele znanych firm zaczęło wprowadzać własne wersje na europejski rynek, zarówno luksusowe marki, jak Lindt, jak i tańsze sklepy w rodzaju Lidla i Aldi. Jedynym europejskim dystrybutorem oryginalnej czekolady dubajskiej jest Andreas Wilmers. Niemiecki biznesmen rozpętał prawdziwą burzę prawną. W jej wyniku Lindt zmienił nazwę swojego produktu z „czekolada dubajska" na „czekolada w stylu dubajskim".

Orientalny delikates kosztuje. Wysoka cena związana jest z tym, że potrzeba do niego co najmniej kilku produktów najwyższej jakości. Choć dzisiaj nie ma problemów z kupnem czekolady dubajskiej, jeszcze nie tak dawno klienci wyrażali niezadowolenie z powodu jej niedoborów na rynku. Nie brakowało oskarżeń, nawet pod adresem samej Sarah. Zarzucano jej i producentowi, że w niezbyt uczciwy sposób budują popularność marki.

Ile zatem kosztuje dubajski przysmak? Najtańsze, standardowe 100-gramowe tabliczki można kupić za 39 zł. Na rynku jednak, głównie w sklepach internetowych, dominują tabliczki 300-gramowe i większe. Samo nadzienie jest ciężkie i stworzenie klasycznej 100-gramowej czekolady nie należy do łatwych. Choć może to wydawać się nieprawdopodobne, nie brakuje czekolad dubajskich w cenie 150-170 zł za 100 g. Kto nie jest przekonany, czy orientalny hit przypadnie mu do gustu, może się skusić na 37-gramowe batoniki już od 9,99 zł.

Sarah Hamouda, brytyjsko-egipska emigrantka i przedsiębiorczyni od dziewięciu lat mieszkająca w Dubaju, stała się matką chrzestną czekolady dubajskiej.

Schengen i czekolada

Nieoczywistą karierę czekolada dubajska zrobiła w Bułgarii, gdzie jak w wielu krajach organizowane są konkursy na najpopularniejsze słowo roku. Nikogo nie zaskoczyło, że w 2024 r. na najwyższym stopniu podium znalazło się Schengen. Bułgaria i Rumunia weszły w końcu do elitarnej strefy wolnego podróżowania. Ubieganie się o przyjęcie trwało wyjątkowo długo, a w minionym roku nazwę małej miejscowości w Luksemburgu powtarzano aż do znudzenia. Za słowem Schengen opowiedziało się 37% Bułgarów. Zaskoczeniem było za to drugie miejsce. Aż 26% Bułgarów wskazało wyrażenie czekolada dubajska! Smakołyk wyprzedził nawet nazwisko nowego prezydenta USA!

Skąd taki wybór? Czekolada dubajska jest w Bułgarii symbolem luksusu. Media używały tej nazwy w kontekście poważnego kryzysu politycznego, z którego kraj długo nie mógł wyjść. Mówiono: „Szanse na stworzenie rządu są takie jak te, że każdy Bułgar zje czekoladę dubajską". Czekolada dubajska zaczęła oznaczać coś niezrozumiałego, co sławę zdobyło w trudnych do wytłumaczenia okolicznościach. Na przykład niektórzy średnio rozgarnięci politycy „zyskali popularność niczym czekolada dubajska", czyli nie wiadomo jak. Przez cały rok 2024 smakołyk z Dubaju symbolizował też drożyznę, co w Bułgarii przełożyło się na popularne hasło „drogie jak czekolada dubajska". Porównanie to dotyczy np. cen artykułów spożywczych w dużych sieciówkach oraz paliw.

Jak widać, sukces biznesowy odnieść można w najmniej spodziewany sposób. A globalna sieć za jakiś czas na pewno dostarczy nam kolejnych, jeszcze bardziej intrygujących rozwiązań marketingowych. ■

Nieoczywistą karierę czekolada dubajska zrobiła w Bułgarii, zajmując drugie miejsce w konkursie na słowo roku 2024.

FOT. SHUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8b496024aa

Nieuchwytny jak borsuk

Jest jednym z 12 ssaków drapieżnych żyjących w Puszczy Białowieskiej

Rafał Kowalczyk

Poznawanie tajemnic życia borsuków jest niezwykle trudne. Prowadzą one dość skryty tryb życia, przez większość dnia ukrywając się w norach. Są aktywne jedynie nocą. Zazwyczaj rzadko spotykamy borsuki podczas terenowych wędrówek. Można je podglądać tylko, kiedy wieczorami wychodzą ze swoich nor na żerowanie. Borsuk jest jednym z 12 ssaków drapieżnych żyjących w Puszczy Białowieskiej. Umyka przed dużymi drapieżnikami – wilkiem i rysiem – choć rzadko pada ich ofiarą. Konkuruje z dwoma innymi drapieżnikami średniej wielkości użytkującymi nory – lisem i jenotem. Żyje obok kilku innych, jak kuna domowa i kuna leśna, wydra, tchórz, norka amerykańska, gronostaj i łasica, z którymi ma mniej wspólnego, choć należy do tej samej rodziny łasicowatych.

Pod koniec lat 80. moi starsi koledzy rozpoczęli kompleksowe badania wymienionych wyżej gatunków. Prace te zaowocowały dziesiątkami publikacji, w tym napisaną przez kierujących badaniami Bogumiłę i Włodzimierza Jędrzejewskich monografią na temat ssaków drapieżnych Puszczy Białowieskiej. (…) Swoją karierę w zespole badającym te gatunki rozpocząłem na początku lat 90. w projekcie rysiowym, ale kilka lat później przypadło mi w udziale zbadanie trzech gatunków: borsuka, lisa i jenota, które, jak przypuszczaliśmy, miały wiele ze sobą wspólnego. Na podstawie tych obserwacji powstał mój doktorat na temat borsuka, a badania nad jenotem były drugimi, po fińskich, dotyczącymi tego gatunku, które wykonano w Europie.

Metody badawcze, które wtedy stosowano, obejmowały zbieranie odchodów w celu poznania diety borsuków i pobieranie próbek gleby, które pomagało określić dostępność dżdżownic, czyli podstawowego pokarmu tych drapieżników, ale przede wszystkim telemetrię, której byliśmy prekursorami w Polsce.

By założyć zwierzęciu obrożę z nadajnikiem radiotelemetrycznym, trzeba je najpierw odłowić. W wypadku borsuków miało to być stosunkowo proste – wcześniej przeczytałem wiele publikacji o borsukach na Wyspach Brytyjskich, gdzie drapieżniki te masowo odławiano do pułapek klatkowych. Pierwsze próby odłowu podjąłem właśnie z kilkunastoma ochotnikami z Anglii, których do Białowieży razem z paroma klatkami do odłowu przywiózł mój późniejszy długoletni współpracownik i przyjaciel Simon Roper. W ciągu dnia sprawdzaliśmy ustawione przy norach borsuczych pułapki, wieczorami prowadziliśmy tam obserwacje. Jako przynętę stosowaliśmy to, co działało w warunkach angielskich, czyli orzeszki ziemne. Po kilku dniach bezskutecznych prób odłowu uznaliśmy, że białowieskie borsuki nie znają smaku orzeszków, więc czas na polskie przysmaki, a więc dżem malinowy z płatkami owsianymi, miód, a nawet szynkę. Okazało się, że przynęty te dość szybko znikały z klatek, podbierane przez gryzonie, sójki, a nawet osy i szerszenie, którym szczególnie zasmakowały plastry wędliny.

Po dwóch tygodniach bez żadnych rezultatów Anglicy wrócili do domu, a ja zostałem z problemem: jak złapać borsuki z Puszczy Białowieskiej? Okazały się one tak odmienne od prawie „udomowionych" brytyjskich kuzynów, i to nie tylko w podatności na złapanie, ale jak się potem okazało, także pod względem zachowania i ekologii. Ukuliśmy wtedy nawet termin: „pierwotne borsuki z pierwotnego lasu".

Po nieudanych próbach schwytania borsuków udałem się na Wyspy Brytyjskie, które są mekką studiów nad tym gatunkiem, aby poznać metodykę badań, spotkać czołowych naukowców i zdobyć doświadczenie. Pierwsze kroki skierowałem do stacji badawczej w Woodchester Park w zachodniej Anglii, gdzie od 20 lat obserwacje prowadził współautor znanej borsuczej monografii – Chris Cheeseman. Po przyjeździe (…) następnego ranka zostałem zabrany na sprawdzenie pułapek przy norach.

Jakież było moje zdumienie, gdy zobaczyłem, że w połowie pułapek

eprasa.pl 8b496024aa

stojących przy każdej ze sprawdzanych nor tkwi borsuk. To wskazywało również na to, że borsucze klany na Wyspach Brytyjskich liczyły wiele osobników. Po załadowaniu pułapek z drapieżnikami do samochodu terenowego pojechaliśmy do stacji badawczej. Tam moje zdziwienie sięgnęło zenitu, bo zobaczyłem taśmę do badania borsuków. Tak, taśmę – kolejne osobniki transportowano bowiem od stanowiska do stanowiska, gdzie współpracownicy Chrisa poddawali je określonym procedurom.

Cały cykl zaczynał się od podania borsukom środków usypiających. Potem sprawdzano indywidualny numer wytatuowany na podbrzuszu zwierzęcia lub go nadawano, jeśli dany osobnik został odłowiony po raz pierwszy. Następnie za pomocą metalowych szczotek sczesywano ze zwierząt pasożyty zewnętrzne do worków foliowych. Po ważeniu i mierzeniu następowały oględziny zewnętrzne w poszukiwaniu ran, bo angielskie borsuki w zatłoczonych norach dość często kąsają się i drapią. Potem pobierano krew z żyły jarzmowej na szyi do różnego rodzaju testów, również związanych z badaniem na obecność gruźlicy bydlęcej – borsuki są jednym z jej rezerwuarów na Wyspach Brytyjskich. Stanowią przez to zagrożenie dla stad zwierząt hodowlanych, gdyż zazwyczaj poszukiwały dżdżownic właśnie na pastwiskach. Cały proces kończył się podaniem do odbytu specyfiku wywołującego defekację w celu pozyskania borsuczych odchodów do dalszych badań, m.in. nad dietą i pasożytami tych drapieżników. Po wszystkim borsuki były pozostawiane do wybudzenia i odwożone do odpowiedniej nory.

Drugim miejscem, które odwiedziłem podczas tamtej wizyty, był Uniwersytet Oksfordzki, gdzie pod kierownictwem prof. Davida Macdonalda – słynnego badacza drapieżników – prowadzi się obserwacje borsuków zasiedlających nie mniej słynne Wytham Woods. Borsucze nory znajdują się tam na obrzeżach lasu, a terytoria są rozmieszczone wokół nich i obejmują także tereny otwarte.

Żadna z tych wizyt nie przybliżyła mnie jednak do tego, jak odławiać borsuki w Puszczy Białowieskiej. Należało zastosować inną metodę – tu pomocne okazały się pułapki chwytające za łapę, które stosowaliśmy do odłowu rysiów. Ustawiliśmy je w pewnej odległości od nor, na widocznych ścieżkach, którymi borsuki zazwyczaj wędrowały w głąb lasu. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać, bo już następnego wieczora sygnał odbierany drogą radiową z systemu alarmowego, w który wyposażyliśmy każdą pułapkę, wskazywał, że coś się złapało. Nora, z której dochodził sygnał, znajdowała się niedaleko Białowieży, więc dość szybko dotarliśmy na miejsce. Prawie skakaliśmy ze szczęścia, gdy w pułapce zobaczyliśmy obiekt naszych badań.

Borsuki prowadzą skryty tryb życia, przez większość dnia ukrywając się w norach. Są aktywne jedynie nocą.

Tym razem był to borsuk, choć czasem okazywało się, że z borsuczych ścieżek korzystają również inne zwierzęta. Nie było problemu, gdy schwytaliśmy jenota lub lisa, bo tym drapieżnikom też zakładaliśmy obroże telemetryczne. Gorzej, gdy w pułapce utkwił dzik.

Mieliśmy zatem pierwszego borsuka i wyglądało na to, że już wiemy, jak je łapać. Zresztą podobne problemy mieli inni badacze z kontynentalnej Europy. Okazuje się, że borsuki poza Wyspami Brytyjskimi były jakieś inne, z pewnością nieufne w stosunku do klatek. W sumie w ciągu trzech lat udało nam się odłowić 13 borsuków, którym założyliśmy obroże telemetryczne. Pochodziły one z siedmiu sąsiadujących ze sobą grup rodzinnych. W każdym z tych klanów śledziliśmy od jednego do trzech zwierząt, namierzając je zazwyczaj w ciągu dnia w norze lub innej kryjówce i wieczorem lub w nocy podczas żerowania. Raz na jakiś czas śledziliśmy również borsuki przez całą dobę, a raczej przez 12 godzin, bo szybko uznaliśmy, że nie ma sensu tego robić w ciągu dnia, kiedy borsuki zazwyczaj nie opuszczają swoich nor.

W czasie takich sesji namierzaliśmy borsuki co 15 minut, zazwyczaj z dwóch miejsc, tak aby na skrzyżowaniu kierunków, z których dochodził sygnał z obroży, wykreślić na mapie ich pozycję. Wymagało to dość dużej aktywności z naszej strony, bo co 15 minut należało wykonać namiar i szybko się przemieścić, by zapisać następny. O ile w zagospodarowanej części Puszczy Białowieskiej sieć dróg i linii oddziałowych była wystarczająca do śledzenia borsuków z wykorzystaniem samochodu, o tyle na obszarze ochrony ścisłej wymagało to więcej wysiłku. Tam posługiwaliśmy się rowerem, co przy skąpej sieci dróg sprawiało, że czasem trzeba było solidnie się napedałować, co w dość trudnym terenie, na dodatek nocą, nie było wcale takie proste.

W sumie wykonaliśmy 60 całonocnych serii śledzenia borsuków i zebraliśmy ponad 8,5 tys. namiarów ich pozycji. W dobie stosowanych obecnie obroży GPS, które nie wymagają pracy obserwatora, nie wydaje się to zbyt wielkim wyczynem, ale biorąc pod uwagę tysiące kilometrów przejechanych samochodem i rowerem oraz setki godzin spędzonych na śledzeniu borsuków w trudnym terenie nocą, był to kawał dobrze wykonanej pracy badawczej. Pozwoliła nam ona poznać wiele sekretów życia borsuków i determinujących je czynników, takich jak warunki pogodowe czy dostępność pokarmu.

Namiary umożliwiły nam zbadanie wielkości areałów osobniczych i terytoriów rodzinnych, długość dobowych wędrówek i prędkość przemieszczania się, sposób użytkowania terytoriów oraz nor i innych kryjówek, wybiórczość środowiskową, aktywność dobową oraz roczną, a także migrację oraz śmiertelność borsuków.

Fragmenty książki Rafała Kowalczyka i Pawła Średzińskiego *Borsuk. Władca ciemności. Biografia Nieautoryzowana*, Paśny Buriat, Suwałki 2025

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8b496024aa

JOLKA

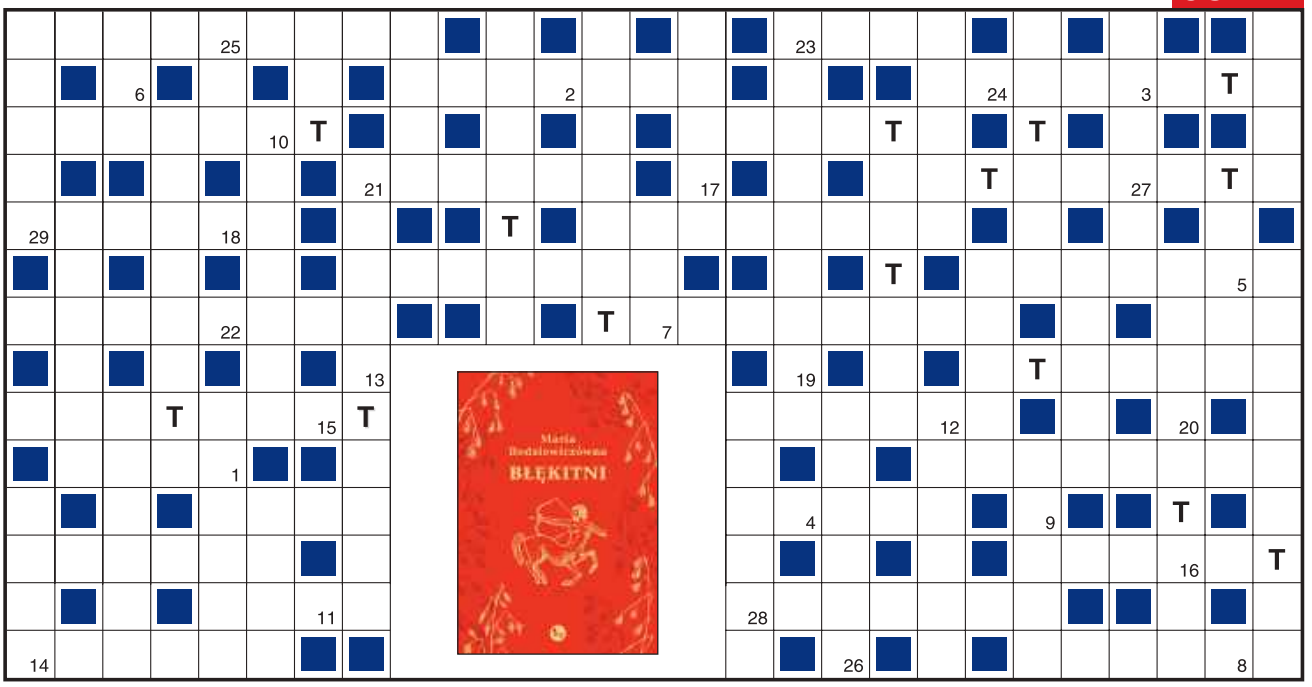

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą końcowe hasło.

- stolica Ghany
- z zapałem się udziela
- jasna cera do niego porównywana
- wymarły morski głowonóg
- Wielkie z Kubą i Jamajką
- masywny pies z wysuniętą żuchwą
- co się z nim mija, jest zbędne, bez sensu
- urzędowała na Mysiej
- górne siekacze słonia
- wojenny sabotaż
- karta z błaznem
- uzyskał w USA patent na żarówkę
- końcówka biegu, wyścigu
- ustrojona gałąź lub drzewko na powitanie wiosny
- hreczka, tatarka
- głąb kapusty, kolba kukurydzy
- czynsz
- płyta czytana laserem
- Hałabała z książki Lucyny Krzemienieckiej
- projektant mody
- przysiad na zgiętych nogach
- paliwo do odymiania pszczół
- między Rakiem a Panną
- pionowy blok tekstu na kolumnie
- malec przy klępie
- samotna, gorzka, co wilży oko w pieśni Moniuszki
- imię pszczółki z dobranocki
- elegancik, strojniś
- narośl na pęcinie konia
- bojowy środek zapalający
- ukarana za chełpienie się dziećmi
- leci z nich zmęczony
- i namiotowy, i Wielkiej Polski
- ramię, odgałęzienie
- motorower Rometu jak pies gończy
- obramowanie, obwódka
- niegdysiejszy autobus międzymiastowy
- Rafał Blechacz lub Adam Makowicz
- przysiad na jednej nodze, z drugą wyprostowaną
- przewrót przez głowę bez niego to salto
- mody lub siły, głupoty
- coś, co budzi nieodpartą chęć
- aluzje, napomknienia, niedomówienia
- granica mieszkania
- pobiera pieniądze po utracie zdrowia
- jazda między przeszkodami
- Brillat-Savarin lub Makłowicz
- góry z Karkonoszami
- odcisk palca lub trop
- sposób działania, sztuka wojenna
- aktor Jerzy, pisarz Roman
- autorka dzieła
- bierze udział
- dzika gruszka, która musi się odleżeć
- luźny żakiet lub marynarka
- dyrygent Antoni, dziennikarz Radomir
- …do garażu – nie zastawiać go
- intencja, zamysł
- nie każda na lepsze
- król z kolumny

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1213”. Do rozlosowania książki „Błękitni” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 23 marca 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1210” z nr. 9: *Brak odwagi ma szybkie nogi*. Nagrody otrzymują: Katarzyna Bochenek z Zabrza, Wojciech Kłosowski z Warszawy, Adam Wnęk z Olsztyna.

eprasa.pl 8b496024aa

Piękne kobiety chcą do Polski

Kilka słów o sztuce wydawania wiz. W czasach PiS rozwinęła się ona w sposób szczególny. Po pierwsze, Polska straciła wpływ na to, kto o naszą wizę może się starać. Decydowały o tym firmy zewnętrzne, które przejęły kontrolę nad kolejkami chętnych. Ci, którzy firmom zapłacili, mogli w tej kolejce przesuwać się do przodu, inni tej szansy nie mieli.

Po drugie, wprowadzono system poleceń – słano je z Warszawy konsulom, by przyznawali wizy osobom wskazanym przez centralę. Teraz okazuje się, że był to mechanizm korupcyjny…

Po trzecie, kierownictwo MSZ oszalało na punkcie wydawania wiz. W latach 2020-2023 Polska wydała 47% wszystkich wiz wydanych w strefie Schengen. I zapowiadano, że ich liczba jeszcze się zwiększy. Miało temu służyć powołanie centrum wizowego w Łodzi, w którym planowano zatrudnić 160 osób i wydawać 400 tys. wiz rocznie – z pominięciem konsulów, co z dumą zapowiadał ówczesny szef MSZ Zbigniew Rau.

Teraz mamy ruch w drugą stronę. Firmy zewnętrzne zostały wyproszone, decyzje wizowe to znów domena konsula i ogólnie jest nacisk na mniejszą liczbę wiz, co w MSZ określa się pięknym sformułowaniem: „Odzyskujemy kontrolę nad procesem wydawania wiz”. Można się wzruszyć…

Ale w historii MSZ to nic nowego. Były bowiem czasy, kiedy wiz przyznawaliśmy jak na lekarstwo i każdy konsul miał w centrali łatwiej, jeśli odmówił wizy, niż jak ją przyznał. Na tej podstawie był oceniany. A to skutkowało różnymi historiami…

W ministerstwie popularne są wspomnienia dyplomatyczne Jacka Perlina, byłego ambasadora w Kolumbii – opowiada się je jak najpiękniejsze dykteryjki. Dotyczą one czasów niedawnych, ale jeszcze sprzed PiS, kiedy lepiej było wiz odmawiać. Według jakich kryteriów? To już nikogo nie obchodziło. Konsulowie zatem sami sobie te kryteria wymyślali. I tak oto Perlin dwa razy zetknął się z konsekwentnym, choć z zupełnie różnych powodów, odmawianiem wiz młodym i ładnym kobietom. Oto jego opowieść: „Za pierwszym razem rzecz dotyczyła Peru. Byłem wówczas kierownikiem placówki w sąsiedniej Kolumbii. Zadzwonił wtedy do mnie znajomy, który organizował konkursy piękności, z pytaniem, czy może znam panią konsul w Limie. Przypadkowo znałem, byłem nawet przez jakiś czas jej przełożonym. Okazało się, że pani konsul odmówiła wizy do Polski miss Peru, zupełnie nie wiadomo dlaczego, gdyż miss spełniała wszystkie warunki, tzn. miała zaproszenie, wykupiony bilet w dwie strony, zarezerwowany i opłacony hotel. Zadzwoniłem do pani konsul, która zaczęła coś bez sensu bredzić. Po małym śledztwie dowiedziałem się, że odkąd objęła urząd przed trzema laty, ani jedna młoda i ładna kobieta nie dostała wizy. Przyczyna była prosta: pani konsul nie lubiła młodych i ładnych kobiet, bo sama już nie była młoda, a jej uroda przeminęła.

Drugi przypadek to była Tajlandia. Tam z kolei urzędował młody konsul, na pewno gej, choć to chyba nie miało akurat znaczenia. On z kolei nie ukrywał, a wręcz chełpił się tym, że nigdy nie dał i nie da wizy młodej i ładnej kobiecie. Na pytanie dlaczego, odpowiadał: »Bo jest ryzyko, że taka będzie się prostytuować«. Gdy opowiedziałem o tym konsulowi brytyjskiemu, odparł: »A ja nigdy nie odmówiłem i nie odmówię wizy młodej i ładnej kobiecie. Robię to z pobudek patriotycznych, jest szansa, że przyczynię się w ten sposób do poprawienia urody przyszłych pokoleń Brytyjek«”.

Panie ambasadorze, czekamy na kolejne historie.

Attaché

Grenlandzkie wybory parlamentarne wygrała opozycyjna partia Demokraci, według której należy „śpieszyć się powoli” w kwestii niepodległości wyspy. Nz. lokal wyborczy w Nuuk, 11 marca 2025 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 8b496024aa

PENETRACJE

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Na groźbach się nie skończyło. Wiemy, że do niektórych z rozmówców „Press" dzwoniono i pisano. Nie były to miłe telefony. Jako że sam byłem negatywnym bohaterem tekstu złożonego prawie wyłącznie z anonimowych relacji, wiem, że problemem nie są wypowiedzi anonimowe, ale te prawdziwe. Zastanawiające, że większość atakujących nas za anonimy w tekście Kowalczyka to te same osoby, które autorce tekstu sprzed dwóch lat o „Press" uwierzyły w każde, także anonimowe słowo.

PROF. BOGDAN DE BARBARO,
PSYCHIATRA, PSYCHOTERAPEUTA

Warto zadać sobie pytanie, jaka jest we mnie dominująca narracja na temat siebie i swojego życia. Bo jeżeli będę o sobie myślał, że jest mi dobrze, to będę w rzeczywistości wyławiał te fragmenty, które będą potwierdzały, że to, co myślę, jest prawdą. Są jednak ludzie, którzy nawet wygrywając w totka, nadal będą uważali, że jest im źle albo że jest to tylko jednorazowy przypadek i nie ma z czego się cieszyć. Bardzo mi się podoba idea minimalizmu. Jeśli rozumieć ją jako antykonsumpcjonizm, to jest to wersja, w której człowiek może zanurzać się w sprawy głębsze niż to, co się w tym sezonie nosi. Bo jeśli przestaję być niewolnikiem pytania, co jest teraz modne, przybywa mi przestrzeni na szczęście. A tę przestrzeń mogę zagospodarować namysłem nad sprawami głębszymi, nad dolą i niedolą innych ludzi.

ADAM KOMOROWSKI,
DZIENNIKARZ

Zmorą dowcipu jest zewnętrzny nakaz. Nie pamiętam, by Mleczko kiedykolwiek podporządkował się jakimś zewnętrznym dyrektywom wskazującym osoby czy sytuacje, które należy obśmiać. Jak każdy z nas nie jest wolny od politycznych namiętności, ale nie można powiedzieć, że kiedykolwiek ulegał politycznym naciskom czy, trudniejszym do okiełznania, salonowym modom. (...) Tak się składa, że na ulicy św. Jana w Krakowie, gdzie Mleczko ma swoją galerię, mieszkałem ponad pół wieku. Przechodzę nadal bardzo często obok niej i widzę w środku klientów. To miejsce osobliwe, wszyscy tam są uśmiechnięci i zdają się być sobie życzliwi. Takie miejsca w naszym kraju to rzadkość. Sztuka Mleczki, jego poczucie humoru łagodzi obyczaje, żart nie złości, ale jest katalizatorem solidarności uśmiechu.

DAWID SZURMIEJ,
AKTOR, REŻYSER, PRODUCENT

Tata Szymon Szurmiej był chyba bardziej zwariowany ode mnie. Nie wiem, ile w tym prawdy, ponoć jeździł czołgiem, przejechał całą Syberię, prowadził samolot, był wicemistrzem Dolnego Śląska w boksie... Kiedy się urodziłem, był już po sześćdziesiątce. Mimo to mieliśmy fenomenalne relacje, przyjacielskie. Dla taty nie było ważne, kim jesteś: prezydentem, sprzątaczką, ministrem, kierowcą, wszystkich traktował na równi. Tę postawę przejąłem po nim. Poza tym nauczył mnie pozytywnego podejścia do życia. Zasady, że jeśli tego nie umiem, to się nauczę. (...) Tata mi pokazał, że warto spełniać drobne, zabawne, niepozorne marzenia. Niekoniecznie trzeba czerpać z życia garściami, ale warto je smakować.

FOT. AMEM, SARKA FARKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA

eprasa.pl 8b496024aa

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter

1. P O R + S E T =
2. J A R + F E Z =

Wyrazy z **siedmiu** liter

3. R A T A + M A N =
4. G L O N + Ż E R =

Wyrazy z **ośmiu** liter

5. S M O K + E T Y K =
6. H A K I + C E N T =

ROZWIĄZANIA: STOPER, FREZJA, AMARANT, ŻONGLER, KOSMETYK, TECHNIKA

Aby język giętki…

JERZY BACZYŃSKI O POLITYCE TRUMPA
Można mieć jakąś nadzieję, że polityka Trumpa i jego ekipy jest jak amoniak: pachnie brzydko, ale otrzeźwia.

ANDRZEJ LEDER O ALGORYTMACH
Trzeba wyrwać komunikację społeczną z rąk korporacji medialnych i spod kontroli tworzonych przez nie algorytmów.

MAŁGORZATA SZUMOWSKA O ROBIENIU FILMÓW
Coś mnie prowadzi – jakaś intuicja, szósty zmysł. Zawsze chciałam robić filmy.

BEATA PAWLIKOWSKA O BYŁYM MĘŻU WOJCIECHU CEJROWSKIM
To nie był dobry związek. Nie lubiliśmy się. Ja nie lubiłam jego programu w telewizji, a on nie znosił moich książek.

PATRYCJA VOLNY O OJCU JACKU KACZMARSKIM
Bywał okrutny tylko po alkoholu, a pił na okrągło. Potrafił bardzo mocno zranić mnie słowem, którym świetnie władał.

GRAŻYNA BARSZCZEWSKA O ZABIEGACH
Gdybym ponaciągała się na idealną gładź, nadmuchała policzki i usta, nie zagrałabym np. babci Eugenii w „Tangu", tylko co najwyżej byłą ambasador USA.

JAN HOLOUBEK O STUK-PUK
Stukam palcami w cokolwiek, na co trafi ręka. Moje nieustanne rytmizowanie to immanentna część mnie.

MAGDA MOŁEK O WSTAWANIU
Pierwsza wstaję, ostatnia się kładę. Znam niewiele kobiet, które wstają drugie.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 8b496024aa

UTAMARO

Drzeworyty japońskie z kolekcji Muzeum Narodowego w Krakowie

Kobieta pisząca list, ok. 1803-1804

Osome i Hisamatsu, ok. 1803-1804

Utamaro Kitagawa (1754-1806) uchodził za znawcę i piewcę kobiecego piękna, był też jednym z pierwszych japońskich artystów, którymi zafascynował się świat zachodni w XIX w. Jego osiągnięcia stylistyczno-formalne, m.in. zbliżenia sylwetek, od ukazywania ich do kolan po całkowicie nowatorskie portretowe ujęcia twarzy, określane jako *ōkubi-e* (obrazy wielkich głów), zaważyły na późniejszym podejściu innych japońskich artystów do portretowania postaci.

Narracja wystawy została oparta na klasycznych kategoriach tematycznych, takich jak *bijinga* – portrety pięknych kobiet, czy *boshi-e* – obrazy matek z dziećmi, prezentujące ich wspólne zabawy, często z dużym poczuciem humoru.

Muzeum Narodowe w Krakowie
gmach główny, al. 3 maja 1
do 15 czerwca

Kobieta z chłopcem w masce, ok. 1802

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Kobiety ubierające chłopca w jego pierwsze hakama, ok. 1799

eprasa.pl 8b496024aa

eprasa.pl 8b496024aa

WARSZAWSKI

TEATR CAPITOL

RETRO IMPREZKA

W każdą środę po spektaklu na Dużej Scenie!

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl •

Łóżko pełne cudzoziemców
środa , 2 kwietnia
godz.19:00

Boeing Boeing
środa, 9 kwietnia
godz.19:00

O co biega?
środa, 30 kwietnia
godz.19:00

Patroni Medialni

Rzeczpospolita · Tele Tydzień · Kobiety · ams · Familie.pl · Przegląd

Partnerzy Teatru

Gatta · Zapato · kicket · Aktywna Warszawa · Strefa Music · Gmzo

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 8b496024aa